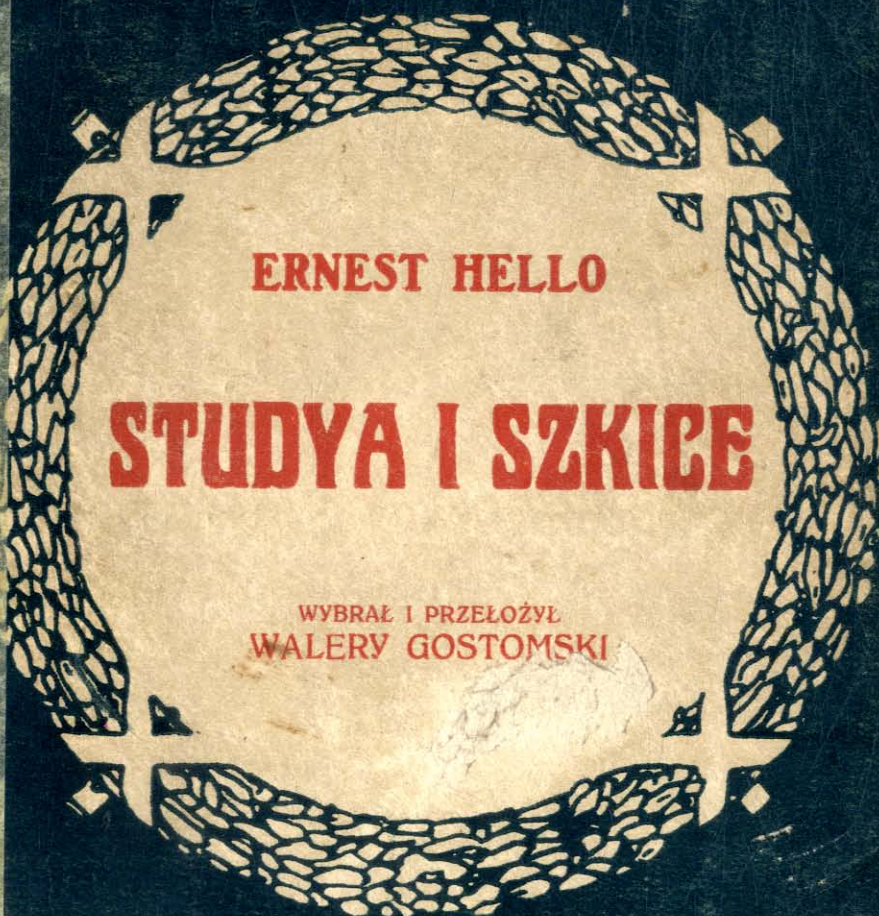




ERNEST HELLO

STUDYA I SZKICE

WYBRAŁ I PRZEŁOŻYŁ
WALERY GOSTOMSKI

Symposien XVII. Hello.



21/Bzr.
ERNEST HELLO

STUDYA I SZKICE

WYBRAŁ I PRZEŁOŻYŁ
WALERY GOSTOMSKI
Z PRZEDMOWĄ TŁÓMACZA

LWÓW 1912.
NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO.
WARSZAWA. — E. WENDE I SKA.



74742

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0271357

ODBITO W Drukarni „PRASA” LWÓW SOKOŁA 4.

K-249/76/74742



ERNEST HELLO urodził się 1828. roku w Bretanii, jako syn wysokiego urzędnika sądowego, potomek jednej z tych poważnych patrycyszowskich rodzin, które w swej krwi i tradycji przechowały wiele najcenniejszych przymiotów starodawnego mieszczaństwa francuskiego.

Typowy Bretończyk, pełen ducha religijnego, z naturą entuzjastyczną, a niewzruszenie wierną swym plemiennym i tradycyjnym ideałom, — z wychowania domowego wyniósł silnie ugruntowane zasady wiary i moralności, a w szkołach otrzymał bardzo staranne i wszechstronne wykształcenie. Ożenił się w dość młodym wieku z kobietą zdolną zrozumieć należycie i umiejącą popierać skutecznie jego dążenia, streszczające się w pracy i działalności pisarskiej, pojętej jako wysokie, nieomal apostołskie poświadczenie.

O ile jednak doznawał silnego dla tych dążeń poparcia w życiu domowym i rodzinnym, o tyle

w życiu publicznem napotykał na swej drodze same zawody i niepowodzenia. Czasopismo *Le Croisé*, którego wydawnictwo rozpoczął w r. 1858. po krótkim bardzo istnieniu upadło, rozliczne artykuły, studia i szkice, które następnie zamieszczał w dziennikach paryskich, przechodziły niepostrzeżenie, wielki pisarz-artysta, jeden z mistrzów słowa francuskiego w uprzywilejowanej jego stolicy, w Paryżu, ognisku wszechświatowego rozgłosu, ćwierć wieku przeszło żył i działał zupełnie prawie nieznanymi i dopiero po upływie drugiej ćwierci wieku spóźniona pośmiertna sława opromieniła jego imię.

To dziwne zapoznanie daje się wyjaśnić charakterem człowieka i pisarza w stosunku do epoki i otaczającej sfery społecznej. Działalność jego przypada głównie za czasów drugiego cesarstwa, w dobie stopniowego rozpanoszenia się we Francji, a za jej przykładem w całej Europie praktycznego materializmu, strojącego się często w teorii nieszczerej, frazeologicznej ideologii. Nieposzlakowanie szczerzy, prawdomówny idealista, obcy wszelkim kompromisom z dążeniami epoki materialistycznego używania i dyletanckiego sceptycyzmu — czyż mógł być przez nią zrozumiany i oceniony należycie? — tem bardziej, gdy w pismach nigdy nie schlebiał ani dogadzał jej gustom i upodobaniom.

Gdybyż swoje sprzeczne z duchem czasu idee, swe satyryczne przeciw duchowi czasu wycieczki chciał, czy umiał przywdziać w odpowiadające

współczesnym gustom i modom szaty artystycznego obrazowania lub naukowych doktryn, możeby mu wybaczone treść niemiłą dla formy, imponującej uczoną powagą lub pociągającej beletrystycznymi powabami. Niestety, Hello nie miał w sobie nic z pedanta naukowego ani dyletanckiego belletrysty. O gusty, mody i prądy czasu zgoła się nie troszczył. Był bezwzględny rzecznikiem idei i samorodnym talentem pisarskim, jednym z najoryginalniejszych, najbardziej indywidualnych w naszej epoce. Nie tylko myśl, ale i cała istota jego przebywała wciąż w sferach oderwanych idei, nie tylko przemyślał, ale przeżywał je całą mocą i pełnią swego jestestwa. Dzięki temu zdołał je nam unacznić z przedziwną mocą i plastyką, z żarem namiętności miłującego serca, w świetnych blaskach czystej, przejasnej swej duszy. Jest to jeden z najświetniejszych rzeczników idei religijno-moralnych chrześcijaństwa, istny poeta chrześcijańskiej duszy, plastyczny odtwórca najgórniejszych jej wzlotów, najbardziej wybujałych entuzjasmów.

Przy takim stosunku do umiłowanych idei, nie mógł ich rozwijać w racjonalnem umotywowaniu, ani odtwarzać w szerokiem obrazowaniu artystycznym. Wyrzucał je z siebie z istic apostolskim zapalem, nie troszcząc się zgoła o twory artystyczne, o konstrukcje myślowe, jakie stąd mogły powstać. Wynikłe z tego sposobu tworzenia pisma jego to przeważnie zbiory aforyzmów, maksym, błyskawicznych

rzutów myśli, o przebogatej treści i przedziwnie zwężłej formie. Czasem mają one iście przysłowioną dosadność, czasem przewiewane są tchnieniem dytyrambiczych uniesień i zachwyków, zawsze, mimo pozornej urywkowości, mają w sobie pełnię natchnienia i jedność indywidualnej, przedziwnie całokształtnej natury duchowej.

„Książka ta” — mówi Hello w przedmowie do najważniejszego ze swych dzieł — „jednolita jest istotowo, różnolita przypadkowo... Chciałem tu pokazać życie, wiedzę i sztukę jako trzy zwierciadła, w których to samo odbiło się oblicze, jako trzy gałęzie tego samego drzewa, jako artykuły tego samego prawa, które brzmi: jedność w porządku przyrodzonym, jedność w porządku nadprzyrodzonym”.

Jest to zasadnicze, religijno-moralne prawo zarazem duszy i twórczości wielkiego pisarza chrześcijańskiego, określające wewnętrzną istotę wszystkich jego tworów, od pierwszego do ostatniego.

Pierwsze w kolei czasu to pismo polemiczne zwrócone przeciw Renanowi p. t. „Renan, Niemcy i ateizm XIX. wieku” (1858). Z późniejszych najważniejsze nosi tytuł „Człowiek” (1871.) i zawiera w szeregu krótkich studyów i szkiców główne idee i poglądy autora dotyczące moralnej, uczuciowej i ideowej strony natury ludzkiej. W ślad za tym pojawiają się inne pisma, wysnute z różnych, ale zawsze bardzo górnych, przeważnie idealno-moral-

nych sfer życia ludzkiego. Naprzód „Fizyognomie świętych” (1875.), czyli zbiór krótkich, dosadnych charakterystyk czczonych przez Kościół bohaterów chrześcijaństwa, następnie „Słowa Boże” (1878.), szereg myśli i uwag, stanowiących rozwinięcie różnych tekstów Pisma Ś-go; „Opowieści nadzwyczajne” (1879.), krótkie tendencyjne nowelle, mniej udatne, jako z natury rzeczy nie odpowiadające wrodzonym uzdolnieniom autora; wreszcie „Szale wagi” (1880.), ostatnie za życia jego wydane dzieło, pełen genialnych rzutów myśli zbiór studyów i szkiców krytycznych.

Po śmierci autora wydano jeszcze dwa dzieła: „Filozofia i ateizm”, gdzie pomieszczono kilka mniejszych prac poprzednio wydanych, oraz „Wiek”, zbiór rzeczy nigdy przedtem nie drukowanych.

Pisma Ernesta Hello, to jego życie, — działalność jego pisarska, to czyny żywota jednej z najbogatszych, najbardziej samoistnych i jednolitych indywidualności duchowych naszej epoki. Poza doniosłymi faktami rozwoju wewnętrznego, których przedziwnie wyraziste, silne i żywe odbicie znajdujemy w głoszonych przezeń ideach — był jego zewnętrzny nie obfitował w zdarzenia; cichy, skupiony w sobie był pisarza-myśliciela, tak daleki od gwałtownych, a płaskich poziomów rzeczywistości współczesnej, tak całkowicie spędzony na górnych wyżynach ideału.

Przemieszkował Hello naprzemian w Paryżu

gdzie wśród wrzawy literackiej czasów drugiego cesarstwa daremnie szukał odgłosu dla swych myśli i uczuć, lub w ojczyściej Bretonii, gdzie zasłuchany w odwieczne szумы oceanu i w echa prastarych tradycji, w harmonijnym z nimi współbrzmieniu z własnego jestestwa snuł wątek ideowy tak na wskroś samoistny w swej treści i formie, tak odrębny od głównych prądów umysłowości współczesnej.

Odosobniony jako pisarz, odosobniał się też Hello jako człowiek w swem życiu prywatnem — jeden więcej rys charakterystyczny tej jednolitej, zawsze zgodnej z sobą indywidualności duchowej. Poczytywany za dziwaka i oryginała w swej sferze towarzyskiej, nie troszcząc się zgoła o formy i konwenanse światowe, szczery, prawdziwy, bezwzględnie wierny sobie i swym przekonaniom wśród wszelkich kłamstw, fałszów i kompromisów otaczającego świata — nie dziw, że ani żyć, ani porozumieć się z nim nie był zdolny, pozostał mu obcy jako człowiek i jako pisarz — nieznany żył i tworzył, nieznany umarł w r. 1886. i do dziś dnia należy do najmniej popularnych i poczytnych pisarzy francuskich tak we własnej ojczyźnie, jak i poza jej granicami.

Sądzę jednak, że jest on z liczby tych, którym wiekowa trwałość wpływów i oddziaływań wynagradza szczupły zakres rozpowszechnienia w dobie współczesnej, którym sądzono żyć i jaśnieć w czasach odległych, gdy wiele szeroko rozświetlonych dzisiaj gwiazd literackich od dawna pogaśnie. Mamy

już niejaki zadatki tej pośmiertnej wielkiego pisarza nieśmiertelności. Obecna doba bliższa mu jest ideowo, zdolniejsza go zrozumieć i ocenić, aniżeli ta niedawno upłyniona, wśród której żyć i działać mu przyszło. Różne jego myśli, poglądy, opinie, brzmiały niedawno jeszcze paradoksalnie, ostatnimi czasy coraz chętniejszych znajdują słuchaczy, jego wybujały, bezwzględny idealizm, tak jaskrawo odbijający od realno-pozywistycznych wyobrażeń z drugiej połowy zeszłego wieku, o wiele zgodniejszy jest w zasadniczym swym tonie z dzisiejszymi prądami antypozytywistycznej reakcji, a jego szczera, samorodna oryginalność jakże imponuje nieraz wielu upędzającym się raczej za oryginalnością aniżeli istotnie ją posiadającym umysłem współczesnym.

U nas w Polsce Hello pomimo kilku przekładów poszczególnych jego pism mało jeszcze jest znany. Niniejszy przekład zawiera różne cenniejsze i szerszego znaczenia rzeczy wyjęte z czterech głównych zbiorów: „Człowiek“, „Wiek“, „Szale wagi“ i „Słowa Boże“, tak dobrane i złożone, aby mogły dać ogólne wyobrażenie polskiemu czytelnikowi o głównych rysach charakterystycznych niepospolitego człowieka i pisarza.

I.

ŻYCIE.

Sfinks.

I.

Starożytność pogańska, która wszędzie wyciskała piętno swego zepsucia, mogłaby nam udzielać szczególnie nauk, gdybyśmy nie ulegali ułudnym jej urokom. Uwielbienie dla niej, które nam nakazują, zwodzi nas dwojako. Naprzód każe ono czcić co jest godne pogardy. Następnie przeszkadza odkryć w głębi kłamstwa prawdę w nim zawartą. Aby odnieść korzyść z kłamstwa, trzeba je znać do głębi, trzeba je na wskrós przeniknąć, trzeba być chemikiem, wydobywającym z trucizny ukrytą w niej drogocenną substancję.

W trojaki sposób można postąpić z trucizną.

Pierwszy polega na tem, aby ją połknąć. Jest to sposób ogólnie praktykowany. Ludzie wielbią starożytność, połykają truciznę i umierają.

Drugi sposób polega na odrzuceniu trującej substancji, bez zbadania onej. Staje się ona wtedy nieużyteczną. Tak postępują ci, którzy w ostatnich czasach potępiłi wogóle całą starożytność.

Trzeci sposób polega na tem, aby poddać truciznę rozbiorowi, przyswoić sobie jej tajemnicę, wydrzeć jej serce. Wtedy można znaleźć drogocenną substancję w truciznie, a prawdę w historii.

II.

„Jakaż prawda nie da się odnaleźć w pogaństwie“, mówił de Maistre.

I na poparcie swego zdania cytuje mnóstwo przykładów. Wylicza tajemnice, które starożytność zdradziła. Bo starożytność zdradza powierzone sobie tajemnice, zdradza dwojakim sposobem: ujawnia je i psuje.

Owóż do liczby tajemnic, zdradzonych przez starożytność, de Maistre mógłby zaliczyć Sfinksa.

Sfinks jest to potwór, który daje do odgadnięcia zagadkę Przeznaczenia. Kto nie odgadnie zagadki, zostanie pożarty. Cóż bardziej niedorzecznego? Ale coś głębszego, gdyby ludzie umieli w tem czytać!

„Zgadywać!“ — Jest to jedno z osobliwszych słów w języku ludzkim. Albowiem rzecz, którą wyraża, zdaje się nie zależeć od woli ludzkiej. A jednak rzecz ta posiada dla człowieka przejmującą dreszczem doniosłość. Dla dokonania jej nie ma znanego sposobu, a jednakowoż nikt nie zdoła wyrazić, na jaki ciężki żal naraża się ten, który jej nie dokona.

Dzieje prawdy i dzieje błędu pełne są spotkań dziwnych i wydarzeń, wydających się przypadkowemi.

Życie miesza razem osoby, rzeczy, dobro i zło, mierność, wielkie dobro, wielkie zło, wzniosłość, potworność: wszystko to płacze się ze sobą, ociera się o siebie. Ziemia, która jest szarą, zdaje się wszystko pokrywać swym szarym płaszczem. Ludzie na pozór bardzo są do siebie podobni. Ubranie wytwarza sztuczne między nimi różniące rysy, zwyczajnie wytwarzają inne różnice, lękliwość wytwarza jeszcze inne, udawanie jeszcze inne, nieuctwo jeszcze inne: ludzie żyją pozorami.

Niezliczone zasłony kryją przed nami rzeczywistość ludzi. Nie wyjawiają oni swych tajemnic; dla oka innych zachowują swój mundur.

Człowiek, patrzący z okna na ludną ulicę, mógłby się przerazić, gdyby pomyślał o wspaniałych lub straszliwych rzeczywistościach, które przechodzą przed jego oczami, nie wyjawiając swych imion, przebrane, ukryte, utajone głęboko — podobne jedne do drugich, jeśli polegać na pozorach.

Ale przerażenie patrzącego na ten tłum bez głosu wzmogłoby się jeszcze, gdyby sobie w duszy powiedział:

— Życie moje zależy może od jednego z tych ludzi, przechodzących przed memi oknami. Być może, człowiek, którego potrzebuję, być może, człowiek, któremu ja jestem potrzebny, stoi tam u drzwi moich. Ale mnóstwo ludzi stoi u drzwi moich. Jeśli ten, o którym mówię, znajduje się między nimi, po jakim znaku go rozpoznam?

Życie prywatne ludzi, życie publiczne narodów, instynkt tajemny, literatura, romans, historia, wspomnienia przeszłości, potrzeby teraźniejszości, oczekiwania przyszłości: wszystko ostrzega człowieka, że może być potrzeba zgadywać, a nie ma prawidła, aby dobrze zgadywać.

Stąd zagadka sfinksowa.

III.

Widok rzeczy, które odgadnąć należy, a które nie dają się odgadnąć, zawiódł starożytność na brzeg otchłani, a otchłań pociągnęła swą ofiarę. Ta otchłań, to fatalizm. Na brzegu fatalizmu, nachylony nad przepaścią, leży Sfinks w postaci tajemniczej i straszliwej.

Gdyby fatalizm był prawdą, wszystkie zagadnienia byłyby nierozwiązalne, a jedyną na nie odpowiedzią stałaby się rozpacz.

Ale na ogół zagadnienia, zdające się wywoływać odpowiedź rozpaczliwą, są to zagadnienia źle postawione, a odpowiedzi rozpaczliwe są często o tyle powierzchowne, o ile wydają się głębokimi.

IV.

W każdej chwili jest na tym świecie ilość nieznaną do wynalezienia, jakieś X, wielkie X, które szydzi z wszelkich środków algebry.

Sfinks starożytny chciał, aby nie było odpowiedzi. Ale odpowiedź jest i możemy zabić sfinksa.

Co zrobić, aby odgadnąć?

Oto zbliża się nędzarz i prosi o jałmużnę.

A gdyby to był Anioł boży?

A gdyby to był morderca?

Co zrobić, aby odgadnąć? Czy potrzeba wysiłku myśli, nadzwyczajnego aktu inteligencji?

Wcale nie. Oto jest tajemnica:

Odgadnąć, to kochać!

Zapytajcie tych wszystkich, którzy umieli zgadywać, co czynili. Kochali, oto wszystko!

Inteligencja, pozostawiona sama sobie, puszcza się na ocean myśli. Problem życia staje przed nią, a jeżeli igła magnesowa nie wskazuje północy, jeśli busola ulega perturbacyom, inteligencja może łatwo dojść w praktyce do zwątpienia — w teorii do fatalizmu. Sfinks starożytny to inteligencja bezsilna, dochodząca do rozpacz i rzucająca się w otchłań śmierci.

Miłość lepiej zna swą drogę. Dochodzi w praktyce do światła, w teorii do sprawiedliwości.

V.

Oto prawda godna podziwu: nagroda udzielona temu, który zgaduje, odmówiona temu, który nie zgaduje, nagroda niedostępna wahającej się myśli wspomnianego wyżej widza, patrzącego z okna, owa nagroda udzielona lub odmówiona zawiera najwyższą sprawiedliwość, przewyższającą o wiele tę, która głośno oznajmia swe zasady.

Ten, który zgaduje, jest nagrodzony, ponieważ zgaduje ten, kto kocha.

Ten, który nie zgaduje, nie jest nagrodzony, ponieważ nie zgaduje ten, kto nie kocha.

Ten, który miłuje wielkość i który miłuje opuszczonych, skoro przejdzie koło jednego z nich, rozpoznaje w nim wielkość, jeśli ta znajduje się w nim istotnie.

Ten, który przechodzi obok człowieka potrzebującego, pozna jego potrzeby, jeśli go kocha. Ten, który przechodzi obok człowieka, którego potrzebuje, rozpoznaje tego, którego szukał, jeśli ma dosyć miłości, by nie zazdrościć mu zajmowanego przezeń stanowiska, stanowiska pozwalającego mu dawać i przebaczać.

Wieża Babel.

Gdy rzucę okiem dokoła siebie na wiedzę filozoficzną lub na to, co taką nazwę nosi, spostrzegam, że ogólny stan umysłów daje się streścić w jednym wyrazie: zamęt.

Prawda jest rozwiązaniem zagadnień.

Co się tyczy błędu, ma on wobec danych zagadnień rozliczne sposoby postępowania. Przybiera

różne postawy, bo na drodze do nicości wiele znajduje się stacyi. Rozróżniam trzy główne. Na pierwszej stacyi błąd mówi: Oto jest rozwiązanie zagadnienia, — i daje rozwiązanie fałszywe. Na drugiej stacyi błąd nie próbuje nawet rozwiązać zagadnienia, ale stara się je sformułować i mówi: Oto zagadnienie, ale jest ono nierozwiązalne. Na trzeciej stacyi, nie zdolny ani postawić, ani rozwiązać zagadnienia, wygłasza tylko puste słowa bez związku.

Na pierwszej stacyi napotykamy system, przybierający pozory zasadniczości, udający niewzruszoność, aby przedrzeźniać postawę prawdy.

Na drugiej stacyi napotykamy jawną niemoc.

Na trzeciej stacyi słyszymy bredzenie gorączkowe.

Rzućmy okiem na dzieje świata, ujrzymy w nich postęp tego, co piętnujemy.

Przedewszystkiem człowiek musi cześć oddawać, człowiek zaczyna zawsze od czci i uwielbienia.

Atoli, podczas gdy dziedzictwo święte przechowywało się nietknięte tylko u ludu wybranego, ku czemu zwróciła ludzkość swoje uwielbienie?

Wiecie, co^o mówi historia: oto wskazuje nam palcem woła Apisa.

Ludzkość poczęła wielbić przyrodę i to jest istotą poganizmu.

Człowiek uczuł się słabym i zagrożonym wobec przyrody, widział działalność, której nie był sprawcą i cześć jej począł oddawać, aby ją sobie przejednać.

Przypisywać przedmiotom widzialnym i zewnętrznym własną wolę i osobistość potężną, czcić te twory, jak gdyby one same w sobie miały źródło życia — oto jest pogaństwo.

Pogaństwo czci rzeczy zewnętrzne, królestwo zwierzęce, królestwo roślinne, wszelkie nie — ja człowieka. Nagle człowiek, który bił pokłony przed cebulą, podnosi się i, zmieniając przedmiot swego bałwochwalstwa, gardzi rzeczami widzialnymi i poczyną wielbić siebie samego w swem życiu intelektualnem i w swej myśli własnej, jak gdyby sam w sobie miał źródło życia. I oto jest racjonalizm. Racjonalizm, którego Fichte najzupełniejszym jest przedstawicielem, polega na wielbieniu własnego ja, czyli intelektualnego i moralnego życia człowieka. Jest to wyższa forma bałwochwalstwa.

Ale człowiek, uwielbiający samego siebie, nie jest zadowolony ze swego bóstwa. Nie jest zadowolony ani z bóstwa greckiego, którem jest natura, ani z bóstwa racjonalistycznego, którem jest człowiek; wytwarza sobie przeto jeszcze jedno bóstwo, będące połączeniem obu wyżej wymienionych.

Racjonalizm i poganizm zespolone są ze sobą, dają panteizm.

Panteizm jest jednoczesnem uwielbieniem życia zwierzęcego i moralnego życia człowieka, jednoczesnem uwielbieniem człowieka i natury, jako potęg identycznych w swej istocie i w swem rozwinięciu,

jako różnych objawów jedynej substancji, w sobie samej mającej źródło życia.

Panteizm przedstawia nam błąd w jego formie najwyższej i absolutnej: jest to szczyt nicości.

Poganizm, racjonalizm, panteizm — oto błędy, z których umysł nas może sobie zdać sprawę, błędy usystematyzowane, błędy mające swoje imię. — Zwracam szczególną uwagę na tę ostatnią okoliczność. — Poganizm, racjonalizm, panteizm usiłują zarówno rozwiązać zagadnienie.

Weźmy teraz pod uwagę drugi rodzaj błędu. Przybyliśmy na drugą stację.

II.

Poganizm ma wrogiego sąsiada, racjonalizm ma wrogiego sąsiada, panteizm ma wrogiego sąsiada. Ten sąsiad wspólny, ten wróg wspólny: to sceptycyzm.

Trzy wymienione wyżej doktryny mają w sobie ziarno, z którego wyrasta sceptycyzm.

Mitologia grecka, Fichte, Spinoza, Plato i Schelling noszą w swem łonie Pyrrona, który prędzej czy później musi się z nich narodzić.

Gdy błąd nosi miano sceptycyzmu, nie rości już żadnej pretensji do chwały rozwiązania, chce tylko stawiać zagadnienia i na każde pytanie ducha ludzkiego odpowiada pytaniem: cóż mogę wiedzieć?

Wszelako sceptycyzm ma jeszcze imię, zowie się sceptycyzmem. Ma jeszcze świadomość swego jes-

testwa; wie, że nic nie wie. Jest zatem pod nim jakaś podstawa.

Bossuet, aby śledzić za postępem pośmiertnego rozkładu ciała, wystawia sobie je w trumnie. Przez pewien czas wiadomo, co to jest: jest to trup. Trup ma nazwę, ale po upływie tego czasu słowo ludzkie staje zakłopotane wobec niewiedzieć czegoś, co nie ma już nazwy w żadnym języku. Nie ma już trupa: pozostaje jakieś nic, czy też jakieś niewiedzieć co.

Śledźmy podobnie za postępem rozkładu w świecie niewidzialnym. Widzieliśmy wyżej i nazwaliśmy właściwymi nazwami różne trupy.

Atoli teraz, gdy Schelling umarł, gdy Niemcy pogrążone w śnie śmiertelnym, oczekują zmartwychwstania, co robi błąd? gdzie się znajduje?

Znajduje się na trzeciej stacji.

Weźcie mikroskop. Czy widzicie tam w dole uwijające się wciąż te nieskończenie maleńkie istotki? To są mali ludzie dzisiejsi, którzy już nawet czytać zapomnieli. Wy, którzy moglibyście być wielcy, gdybyście byli chcieli zgiąć kolana, Fichte, Schellingu, Heglu, o! jakże jesteście ukarani! Buntowaliście się na wyżynach, a oto kara dotknęła was nawet w tych, co się tam na dole uwijają. Co to za jedni? co robią? co mówią? Mówią coś, ale nic nie oznajmniają. Niepodobna ani określić, ani nazwać nawet ich błędu. Wstąpili w dziedzinę owego niewiedzieć czegoś, o którym wyżej mowa.

A jednak trzech ludzi genialni powstali ongi

w Niemczech. Fichte, Schelling, Hegel głosili swe poglądy.

Jakże się stało, że stąd nietylko nie wynikła prawda, ani nawet żadna szkoła błędu, żadna szkoła, mogąca nosić to miano? Dlaczego ci, którzy wymieniają imię Hegla, jako imię swego ojca duchowego, są tylko śmiesznymi szkolarzami? A przede wszystkim dlaczego Niemcy nie uwieńczyły się prawdą? Co takiego stało się tam na wyżynach? Na wyżynach, gdzie tak dobrze byłoby modlić się. Niemcy znieważały Kościół, przed którym cedry na szczytach Libanu, pod grozą śmierci, zniżyć muszą najwznioślejsze swe wierchołki. I Niemcy dotknięte zostały karą: pozostały bezpłodne. Bunt dokonał się w świecie niewidzialnym: kara uderza nasze oczy. Mamy ją przed sobą jako naukę. Fichte, Schelling, Hegel niczego nie dokonali.

Bóg, który nie pozbywa się nigdy swej niezawisłości ni swej chwały, odmówił im swoich tajemnic.

Dlaczegoż więc dał im geniusz, skoro mieli go zmarnować bezpłodnie? Może dlatego, aby świat ujrzał, dokąd zachodzi geniusz ludzki, gdy o własnych tylko idzie siłach.

Inne jeszcze pytanie. Pojmujemy, że nie znaleźli prawdy, ale dlaczego nie pozostawili jakiegś pomnikowej szkoły błędu?

Przyczyna tego bardzo prosta i bardzo głęboka. Wyczerpali błąd. Hegel dał ostateczny wyciąg błędu i zawarł go całkowicie w jednym słowie. Jego for-

muła wypisana jest na drzwiach szkoły szatana, który teraz wyśmiewa się z naśladowców i wzywa ich, aby prześcignęli mistrza. Szatan rozpoznał siebie w formule heglowskiej, uczcił ją jako rzecz sobie przynależną, bo Pycha, Szatan i Hegel ten sam wydają okrzyk: *Byt i Nicość są tożsamością*.

Ponieważ mistrzowie niemieccy nie schylili się dość nisko, aby być słyszanyymi od uczniów francuskich, którzy wogóle niewysokiego są wzrostu i tępego słuchu, więc biedni uczniowie w okrutnym znaleźli się kłopotcie. Ażeby powtórzyć lekcję, trzeba było ją słyszeć. Owóż jeden pochwycił taki wyraz, inny owaki, ten zapamiętał przymiotnik, tamten rzeczownik. I cóż z tego wynikło? Zeszyli jakoś te strzępy porozrywane; ale owe urywki zdań, obok siebie umieszczone, nie miały sensu, a uczniowie nie spostrzegli tego wcale.

Uczniowie uczniów, tworzący pewną część publiczności francuskiej, zawołali jak w molierowskim *Lekarzu mimo woli*: To tak piękne, że nic tego nie rozumiemy!...

Jakoż istotnie, odgrywając komedię w języku niezrozumiałym tak dla publiczności, jak i dla siebie samych, aktorowie bez obawy mogli wygłaszać wszelkie wyrazy, jakie tylko ślina im do ust przyniosła.

Charakterystyczną cechą wielu tych, co we Francji plotą o filozofii, jest nieuctwo, nieomal że cudowne.

Ponieważ fundamenty gmachu nie zostały zało-

zone, więc każdy na chybił trafił rzuca kamień na kupę w przypuszczeniu, że z tych wszystkich kamieni może sam przez się powstać budynek. Niepodobieństwem byłoby tym ludziom ani porozumieć się, ani też zwalczać się nawzajem; nie mogą oni ani zawrzeć pokoju, ani prowadzić wojny.

Spytajcie ich, co to jest Bóg.

Nie mają o Nim żadnego pojęcia, bądź prawdziwego, bądź fałszywego, a jeśli chcecie sięgnąć do głębi ich myśli lub tego, co oni nazywają swą myślą, zobaczycie, że Bóg jest dla nich abstrakcją: — ale sami oni o tem nie wiedzą, bo z niczego nie zdają sobie sprawy w sposób dokładny. Spytajcie ich, czy uznają Boga katechizmu będącego zarazem Bogiem wiedzy?

— Niezupełnie.

Spytajcie ich, czy Go odrzucają?

— Niezupełnie.

Czy chcą innego?

— Niekoniecznie.

Czy nie chcą żadnego?

— I to nie.

Istota, którą sobie wyobrażają, jeśli wogóle do czegokolwiek jest podobna, jest jakimś uroczystym kształtem nicości.

Ciągniemy dalej ich katechizm, którym zastąpili katechizm właściwy.

— Czy Jezus Chrystus jest Bogiem?

— Niezupełnie.

— Więc nie jest Bogiem?

— Nie mówię tego zupełnie; posuwasz się za daleko. Chrystus jest czemś podobnym nieco do Boga; ponieważ jednak nie wiem, czym jest Bóg, nie mogę więc powiedzieć dokładnie, czy Chrystus jest zupełnie tem samem co Bóg; z tem wszystkiem jestem chrześcijaninem.

— Więc czy Chrystus jest Bogiem tak jak Kościół naucza?

— Niezupełnie; zresztą nie biorę tego wyrażenia w tem samem znaczeniu, co ty.

— Jakiego wyrażenia?

— Wyrażenia: Chrystus jest Bogiem.

— W jakimże znaczeniu więc je bierzesz?

— W znaczeniu nowoczesnem, w znaczeniu szerokiem, w znaczeniu filozoficznem.

— Jakież to jest owo znaczenie nowoczesne, znaczenie szerokie, znaczenie filozoficzne?

— Zbyt mię do muru przypierasz. Jestem chrześcijaninem, a nie katolikiem.

— Więc jesteś protestantem?

— Niekoniecznie.

— Czemże więc jesteś? Każdy człowiek, głoszący się chrześcijaninem, jeśli nie jest katolikiem, musi być uznany za protestanta.

— Ja wyznaję religii przyszłości.

— Czyż myślisz, że Bóg ulegnie zmianie lub ustąpi miejsca innemu bogu?

— Niezupełnie tak. Idziesz znowu zadaleko.

Podobny dyalog możecie zawsze usłyszeć, gdy zechcecie, wyjąwszy tylko zawartą w nim dobroduszną naiwność, którą tu przypisuję przeciwnikowi, a która zastąpiona będzie przez uroczystą pedanterę. Istota rzeczy jednak pozostanie ta sama.

Przeciwnik wasz zaprzeczać będzie sobie samemu w tej samej prawie mierze, co i wam zaprzecza. Daremnie szukać będziecie jego doktryny, nie znajdziecie jej. Gdy będzie wam się zdawało, że już ją trzymacie, wymknie się wam, zmieni swą postać, jeżeli wogóle to, co nie istnieje, może ulegać zmianom.

Chcecie posiąść tajemnicę tej rzeczy, która nie powinna być mieć imienia, ponieważ nie ma bytu, posiadającego jedynie prawo do imienia — rzeczy, która uchodzi za filozofię u czytelników *Przeglądu dwóch światów*? Chcecie wiedzieć, co to jest za doktryna? Jest to drobna moneta formuły heglowskiej, przeznaczona na użytek tych, którzy nie mogą znieść całkowitej sumy jej wyników.

Jest to praktyka teorii heglowskiej, przeznaczona na użytek tych, którzy nie mają siły spojrzeć wprost w oblicze teorii.

Byt i Nicość są tożsamością, powiedział mistrz.

Mówmy cokolwiek na chybi trafi, powtarzają uczniowie.

A nie sądźcie, że rozumieją oni związek, łączący ich z Heglem.

Oni absolutnie nic nie rozumieją.

Posłuszni są prawu, które ich na dół popycha,
ale nie rozumieją ani tego prawa, ani wogóle żadnej
rzeczy.

A jednak publiczność współczesna patrzy i zachwyca się; należy powiedzieć raczej: zachwycała się, gdyż obecnie przestała się już zachwycać, i zubożniejsza zupełnie tak dla Bytu jak i dla Nicości, zapadła w sen. Ale to postępowanie wątpliwej wartości.

Czas już, aby zrozumiała, że sobie z niej za-
drwiono; czas powiedzieć trupom, zawalającym
drogę: Ustąpcie przed życiem! ustąpcie przed świa-
tłem! ludzkość nie chce gnić razem z wami. Oto
głowa potężna znalazła formułę i syntezę błędu.
Odtąd wszelki błąd jest tylko powtórzeniem.

Idźcie precz! idźcie precz niefortunni uczniowie, niezdolni wydać należycie lekcji źle wyuczonej w języku, którego sami nie rozumiecie. Idźcie precz, i starajcie się, aby o was zapomniano, bo jeśli przypadkiem jakiś erudyta przypomni sobie o was za lat dziesięć, trudno powiedzieć, z jak potężnym wybuchem śmiechu wymieni wasze imiona. Liczyliście na noc wiecznotrwałą, a oto dzień już świta. Idźcie precz! Jesteście umarli. Z licznej zastępy słuchaczy pozostała wam tylko garstka dobrodusznym mieszczuchów, słuchających was z otwartymi ustami. Są to ci, co nie dosłyszeli jeszcze odzywającej się zdaleka pobudki przebudzenia. Jesteście umarli, zu-

pełnie umarli i łaska Boża nie wskrzesi was dnia
przeciego. Dotykam pulsu Europy i czuję, że ona
pragnie żyć: a zatem jesteście umarli. Wasz kamień
grobowy nie należy do tych, które mogą być pod-
niesione; myśl ludzka musiałaby zagasnąć, gdyby
nie zastąpiła próżni pełnią, a Hegla — prawdą.

Jedna tylko jest rzecz młoda na ziemi, a tą jest chrześcijaństwo.

Jego wrogowie obecni przez swoją mierność pozwalają nam widzieć dokładnie próżnię błędu. Okazują go takim, jakim jest: zawiłą nicością.

Korzystajmyż z ich uczynności. Jeśli nie słuchaliśmy świadectwa prawdy, posłuchajmy świadectwa błędu, posłuchajmy głosu zgnilizny: ma ona właściwą sobie wymowę.

Jeśli nie chce być podobną do robaka mogilnego, który umiera, gdy go oddalą od trupów, niechże wiedza uczyni wysiłek, jaki czynią kwiaty: niech szuka słońca! Niech idzie do Galilei! Tam oczekuje ją wieczna młodość; tam anioł na nią czeka, aby ją poprowadzić ku Temu, którego poszukuje, a który jest Nieśmiertelny Zmartwychwstały.

Słaba strona wiedzy współczesnej.

Wiedza w dziewiętnastym wieku pracowała nie-
zmieennie, poczyniła niezliczone odkrycia. Nie myślę
wcale zmniejszać znaczenia tych odkryć, ale sądzę,
że wielka zachodzi potrzeba określić bliżej ich na-
turę.

Mają one jeden charakter ogólny, charakter przygotowania; nigdy, ale to nigdy, nie noszą cech wyniku.

Zmierzają one wszystkie do zmniejszenia odległości, dążą do jedności fizycznej.

A tymczasem nigdy, nigdy, rozdział między ludźmi nie był tak wielki, tak wyraźny, tak ostry, tak krzyczący.

Para i elektryczność czynią wszystko co mogą, aby nas zjednoczyć, a nigdy nie byliśmy bardziej, nie byliśmy głębiej rozerwani.

Mikroskop i teleskop czynią cuda prawdziwe. Bieg planet i kropla wody, pole walk niewidzialnych żyjątek, odkryły nam swe tajemnice. Dzięki zastosowaniu szkła człowiek ujrzał to, czego oczy jego do-

tać dostrzedz nie mogły, ostatni tryumf nad nieskończeniem wielkiem i nieskończeniem małym.

Widzi on, mówi Józef de Maistre, miłość i nienawiść stworzeń.

A co by powiedział J. de Maistre, gdyby żył dzisiaj?

Coby powiedział wobec mikrobów, ich wpływów i działań, ich tajemnic odkrytych?

Podziwiałby zapewne przygotowania, ale pozostałby niemniej zdziwiony wobec małości skutków.

Analiza promieni gwiazd przynosi człowiekowi nieprawdopodobne iście wieści o ciałach niebieskich. Ale wiedza tak silna, tak śmiała i tak dumna wobec przestworów olbrzymich, które wymierza, które określa, o których rozprawia, wiedza ta zatrzymuje się drżąca i zawstydzona, nie tylko wobec wielkich, ale nawet wobec najmniejszych uszkodzeń naszych tkanek lub naszych organów.

Wiedza rozprawia o mikrobach, ale niemniej przeto ludzie umierają na gorączkę tyfoidalną.

Straszliwa ironia! Ludzie nawiedzają się nawzajem, obcują, rozmawiają ze sobą; kolej żelazna zbliża ciała, telefon zbliża głosy. I człowiek dotyka człowieka, by nań uderzyć, i człowiek ociera się o człowieka, by go zbliżyć tembardziej nienawidzić. Ludzie ściskają się i duszą się w uściskach.

Wiedza ułatwia i przyśpiesza tworzenie się zbiorowisk ludzkich, ale nie ma sposobu pogodzić dwóch nieprzyjaciół, ani zbliżyć dwóch przyjaciół. Narzę-

dzia śmierci liczniejsze są stokrotnie i bardziej udoskonalone, aniżeli narzędzia życia. Sztuka zabijania stokroć pewniejsza jest swych skutków, aniżeli sztuka leczenia. Prawdziwe współzawodnictwo i prawdziwe braterstwo, to braterstwo artyleryi. Artylerya może się obejść bez chrześcijaństwa, to też powodzenie jej jest niewątpliwe.

Wszelako w innych dziedzinach, braterstwo poza obrębem chrześcijaństwa jest to wyraz kryjący w sobie zasadzkę. Po za chrześcijaństwem braterstwo jest po prostu czemś, czego się żąda od innych; zamiast być darem, staje się wymaganiem. Jest wyuzdaniem samolubstwa, które woła: Poświęć się dla mnie, albo biada ci!

Zdrowie ciała i pewność wiedzy, te dwa wielkie żądania natury ludzkiej, nie są to moce ujarzmione — wiedza nie ma ich dotąd w swym ręku.

Nie mówię, aby wiedza traciła czas, bo nic nie dzieje się w niej bez pożytku i każde odkrycie przynosi nam jakąś korzyść. Ale pożytek ma swoje stopnie. Są wymagania mniej lub więcej pilne. Między najpilniejszymi zdrowie człowieka i pewność jego wiedzy.

Owóż wiedza tym pewniejsze zdaje się osiągać zdobycze, im przedmiot jej bardziej jest oddalony. Na odwrót wydaje się tem mniej pewną siebie, tem bardziej wahającą się, im przedmiot jej jest bliższy, pilniejszy, bardziej współczesny i bardziej drgający życiem.

Im więcej pomoc jej jest nam potrzebna i nieodzowna, tem mniej jest w naszej mocy.

Pożyteczniej jest przecież pomódz człowiekowi, aniżeli odkryć gwiazdę. Owóż łatwiej jest odkryć gwiazdę, aniżeli pomódz człowiekowi. MoŜnaby rzec, że doniosłość praktyczna odkrycia stoi na przeszkodzie jego urzeczywistnieniu.

Łatwiej jest odkryć planety, aniżeli środki lecznicze. Łatwiej odkryć mikroby, aniżeli skarby. Wiedza jest bardziej ciekawa, aniżeli płodna, bardziej subtelna, aniżeli zbawienna, bardziej pomysłowa, aniżeli potężna.

Oto jest fakt niewątpliwy. Skąd on pochodzi?

Tutaj napotykam na mej drodze wielkiego badacza przyczyn, Józefa de Maistre.

„Rozważcie mówi on, wspaniałe prawo Opatrzności. Od czasów pierwotnych, o których w tej chwili nie mówię, tylko ludom chrześcijańskim dała ona poznanie fizyki doświadczalnej.

„Fizyka starożytnych była prawie bez wartości, gdyż nie tylko nie przywiązywali oni żadnej wagi do doświadczeń fizycznych, ale pogardzali nimi i łączyli z nimi pewną nieokreśloną ideę bezboŜności.

„Skoro cała Europa stała się chrześcijańską, skoro teologia zajęła naczelne miejsce w hierarchii nauk, rodzaj ludzki osiągnął dostateczne przygotowanie do nauki o przyrodzie“.

Nauki są promieniami, religia jest ogniskiem. Religia katolicka dała ludziom upowaŜnienie, którego

odmawiali sobie poganie, do opanowania natury. Chrystyanizm oddał świat na pastwę ludzkich rozpraw, ale zatrzymał sobie klucz życia i śmierci.

To też wiedza odosobniona, wiedza nieprzyjazna lub obojętna moŜe posiadać olbrzymią siłę badawczą, ale nie będzie nigdy siłą ożywczą. Trzeba, aby Prometeusz przyjął odkupienie, trzeba, by wiedza oddychała właściwą sobie atmosferą świątyni. Coby się stało, gdyby zwrócona do owych źródeł, które są źródłami życia, pograŜyła się w chrześcijaństwie, aby się napoić jego potęgą?

Duch sprzeciwieństwa.

Odkąd żyję na świecie, widzę — jak i ty zapewne, czytelniku — ludzi, kłócących się między sobą. Sprzeciwieństwo powszechne jest faktem powszechnym.

— *Widziałem w mieście sprzeciwieństwo i niesprawiedliwość* — mówi Pismo św. Zestawienie tych dwóch wyrazów głęboką zawiera naukę. Niesprawiedliwość jest córką ducha sprzeciwieństwa.

Niezgoda pokrywa ziemię. Nie wrogowie najbardziej są niezgodni, ale przyjaciele. Tam, gdzie zdaje się na pozór panować jedność, tam tem głębszy i bardziej zasadniczy napotkać moŜna nieraz rozdział.

Nie podejmuję się wyjaśnienia tego faktu; zaznaczam go tylko. Stan umysłowy rodzaju ludzkiego jest stanem powszechnego rozerwania.

Czy to znaczy, że ludzie nie zgadzają się ze sobą wcale, w żadnym przedmiocie?

Nie, tak źle nie jest.

Gdy biorę ludzi samych w sobie i wnikam do głębi ich dusz, nie okazują się oni tak niezgodnymi, jak w swem życiu zewnętrznem i w tem, co mówią.

Gdybym mógł przejrzeć ich do dna, w ich samotności i skupieniu, ujrzałbym może, że nie są tak oddaleni jedni od drugich, tak rozdzieleni i tak niezgodni między sobą, jak mi się to wydaje, gdy patrzę na nich w zameczku życia.

Dlaczego okazują się bardziej nieprzyjaznymi sobie, niż są istotnie?

Stworzeni zostali do życia w zjednoczeniu; niezgoda jest ich nieszczęściem.

Dlaczego dobrowolnie powiększają to swoje nieszczęście?

Pytanie to posiada doniosłość olbrzymią i powszechną, bo na świecie całym panuje potwór, zwany duchem sprzeciwieństwa.

Gdy rozważam osoby i rzeczy tego świata, spostrzegam, że można je rozpatrywać z wielu stron, — i każdy zapewne to samo uczynił spostrzeżenie.

Paweł widzi pewną rzecz z jednej strony i widzi ją białą. Piotr widzi tę samą rzecz z innej strony i widzi ją czarną.

Obaj mają słuszość i obaj błędzą, bo rzecz widziana przez nich biała jest z jednej strony, a czarna z drugiej.

— Ta rzecz jest biała! — woła Paweł.

— Nieprawda, jest czarna! — woła Piotr.

I oto macie dwóch wrogów.

Zamiast porozumieć się i uzupełnić nawzajem swe spostrzeżenia, Piotr i Paweł z zawziętością przeczą każdy temu, czego sam nie widzi.

Duch sprzeciwieństwa zamyka im oczy, napełnia goryczą ich serca, zaślepia i rozdziela ich dusze.

Im bielsza jest dana rzecz w oczach Pawła, tem czarniejsza staje się w oczach Piotra.

Piotr uważa ją za straszliwie czarną, ponieważ
Paweł uznał ją za nadzwyczajnie białą.

Przedtem byli to dwaj ludzie rozsądni, zdolni porozumieć się wzajemnie. Teraz są to dwaj nieprzyjaciele, nierozsądnie uparci i nierozsądnie zasłепieni, albowiem hydra sprzeciwieństwa podniosła między nimi głowę.

Rzecz to tak prosta, że prostota jej zasłania nam jej doniosłość.

Ażeby Piotr mógł ukazać Pawłowi z prawdziwym dla niego pożytkiem widzianą przez siebie czarną stronę rzeczy, trzeba przedewszystkiem, aby poznał równie dokładnie białą jej stronę, którą widzi Paweł, i żeby mu o tem wyraźnie powiedział.

Jeśli mu tego nie powie, każdy z nich uprze się
niezachwianie przy swym odrębnym sposobie widzenia.

Oto dla czego dobroć serca mogłaby odegrać niezmierną rolę w sprawie pogodzenia umysłów ludzkich.

Jeśli będziesz unosił się gniewem przeciw swemu przeciwnikowi, który może jest twoim przyjacielem, nie przekonasz go nigdy.

Nie zapominajmy nauki głębokiej, zawartej w języku ludzkim w pochodzeniu i budowie słów: nie n a w i d z i e ć, po łacinie: *invidere*, *in-videre*, nie widzieć.

Żadna może prawda nie znajduje ogólniejszego zastosowania od tej, tak prostej prawdy: Jeżeli chcecie pokazać człowiekowi to, czego nie widzi, postarajcie się widzieć to, co dla niego jest widoczne i uznajcie to głośno.

A jednak zazwyczaj dzieje się wprost przeciwnie.

Ludzie zaczynają od wzajemnego zaprzeczania sobie i dochodzą stopniowo do tego strasznego zamętu, który panuje w ich życiu umysłowym.

Zło, które tu stwierdzam, straszliwe jest i powszechne; jest ono źródłem cierpień całej ludzkości.

Piotr wyobraża sobie, że gdyby przyznał Pawłowi wszystko, co może mu przyznać bez kłamstwa, Paweł skorzystałby z tego przeciwko niemu.

Jest to wręcz przeciwne prawdzie.

Paweł spostrzeże to, co widzi Piotr, skoro Piotr zobaczy to, co widział Paweł i oznajmi mu to.

Przypominam sobie, że za czasów dzieciństwa dano mi sposobność wpadnięcia w wielkie błędy tem, że bardzo mi się sprzeciwiano. Od tego czasu prze-

konałem się, że duch sprzeciwieństwa to szatan we własnej osobie, ojciec wszelkiego kłamstwa.

Ojciec Faber, oratorynin, mówi, że nigdy nie zdołamy przekonać człowieka, jeżeli mu nie udowodnimy, że doskonale pojęliśmy wszystkie jego zarzuty i jeśli nie wnikiemy głęboko w jego stan duchowy.

Jest to wielka prawda.

O. Faber utrzymuje też, że jest rzecz na ziemi, która nigdy i w żadnym razie nic dobrego nie sprawia.

Tą rzeczą jedyną jest: ironia.

Masz przeciwnika — wyśmiej jego sposób widzenia w danej sprawie. Nigdy nie wnuknie on już w twój pogląd na tę sprawę. Nigdy. I oto zamknąłeś przed tym człowiekiem źródło życia.

O. Faber mówi także, że gdyby nagle człowiek spojrzał z przyjaźnią na innych ludzi i rozważył ich postępowanie w świetle interpretacji k o r z y s t n e j, człowiek ten zmieniłby sposób istnienia tak zupełnie i stanowczo, jak gdyby został przeniesiony na nową planetę. Osiągnąłby od razu siłę przekonywającą, która wzbudziłaby zdumienie w nim samym i w innych ludziach, gdyż wtedy posiadłby ducha przeciwnego duchowi sprzeciwieństwa.

Duch sprzeciwieństwa może być instynktem, albo systemem. W obu razach zarówno śmierć zadaje.

Udzielasz napomnień młodzieńcowi, który przez szlachetne, ale źle skierowane porywy, wpaść może

w wielkie niebezpieczeństwa. Obraż tylko wrodzoną mu szlachetność duszy, okaż lekceważenie: młodzieniec nie będzie słuchał twego głosu; utracisz jego zaufanie, traktować cię pocznie jak nieprzyjaciela i — być może, — zdala od ciebie, rzuci się w otchłań zguby. Jak ty zdawałeś się okazywać wzdargę jego dążeniom, podobnie on wzgardził twemi ostrzeżeniami. Ty potrzebywałeś jego zaufania, on potrzebował twego doświadczenia.

Duch sprzeciwieństwa zgubił was obu.

Gdybyś go był wysłuchał z dobrocią, on wysłuchałby cię nawzajem z wdzięcznością. Ty odniósłbyś korzyść z jego młodości, jemu twoja mądrość przyniosłaby pożytek.

Bo każdy człowiek potrzebuje wszystkich ludzi i, być może, iż dla otrzymania pomocy wystarczyłaby gotowość udzielania jej zawsze innym.

W wychowaniu, w roztrząsaniu spraw i zdań, w nauce, w krytyce, w życiu publicznem i prywatnem, wszędzie, wszędzie to samo widzimy.

Ziemia pokryta jest gruzami, a duch sprzeciwieństwa jest ich sprawcą.

Duch sprzeciwieństwa uzbraja syna przeciwko ojcu, przyjaciela przeciw przyjacielowi.

Św. Magdalena z Pazzi przyjęła za regułę życia: nigdy niczego nie odmawiać, skoro nie zachodzi bezwzględne niepodobieństwo uczynienia zadość żądaniu.

Oto duch przeciwny duchowi sprzeciwieństwa.

Doświadczenie wieków poucza, że człowiek po-

trzebuje naprzód pociechy, a potem dopiero nauki. I nie zdolny on jest przyjąć nauki, jeżeli przedtem nie otrzymał pociechy.

Duch sprzeciwieństwa gwałci to prawo.

Porusza on naprzód drażliwą stronę przedmiotu, wysuwa naprzód przeszkodę. Rozpoczyna od wymówek. Drażni, zanim zacznie uspokajać. Oto, dlaczego jego nauka jest bezpłodna i szkodliwa, choćby nawet zupełną słuszność miał za sobą.

Ów drugi duch, duch światła, naucza i pociesza. A skoro pociecha otworzy drzwi, nauka przez nie wchodzi. Wchodzi i życzliwie jest przyjęta. Nie spory są zasadą działalności ludzkiej, lecz miłość.

Rozpocznijcie od sporów, wszystko pozostanie jałowe.

Rozpocznijcie od miłości, wszystko stanie się płodne.

Trzeba utworzyć j e d n o ś ć, zanim zajmiemy się szczegółami, ażeby następnie wprowadzić szczegóły do owej jedności, która je wtedy objąć jest gotowa.

Wszystko, co się zaczyna od zgody, kończy się zgodą.

Wszystko, co się zaczyna od niezgody, kończy się niezgodą.

Duch sprzeciwieństwa stwarza olbrzymie nieporozumienie, które powiększa się z dnia na dzień oddziaływaniem swych następstw.

Niezgoda, pozostawiona sama sobie, w licznych bardzo wypadkach łatwo mogłaby być usunięta.

Ale duch sprzeciwieństwa zatruł wszystko i po pewnym przeciągu czasu zapomniany bywa nawet przedmiot sporu, a spór trwa ciągle.

Duch sprzeciwieństwa pozostaje i wtedy, gdy drobne i nieznaczące powody, które go pobudziły, dawno już nie istnieją.

Duch sprzeciwieństwa przenika duszę ludzką i nadaje pewien szczególny ton temu, który mówi. Jeżeli ton tak jest ważny w słowie, to dlatego, że przezeń duch się odzywa. Ton jest ważniejszy od słowa.

Szatan znaczy: przeciwnik.

Przypuśćmy, że przypuszczenie O. Fabera urzeczywistni się.

Przypuśćmy, że ludzie przyjmą od dzisiaj życiowość za podstawę swej działalności.

W takim razie jutro zamieszkiwać będziemy inną planetę.

— Ale, powiecie, — różnice zapatrywań umysłowych pozostaną przecież.

Nie twierdzę, aby wszystkie one miały zniknąć, ale byłibyśmy zdumieni zobaczywszy, w jakiej mierzeby stopniały.

Gdyby olbrzymie nieporozumienie, które wytworzył duch sprzeciwieństwa, miało zniknąć, osłupielibyśmy widząc, do jakiego stopnia zjednoczenie umysłów zależne jest od zjednoczenia serc.

Kochać — to zgadywać; nienawidzić — to nie widzieć.

Człowiek mierny.

Powiedzcie w tym lub owym salonie, że ten lub ów człowiek sławny jest człowiekiem miernym: wszyscy się zdziwią i powiedzą, że to paradoks; ale bo nie wiedzą, co to jest człowiek mierny.

Czy człowiek mierny jest ograniczonym, głupcem, idiotą? Broń Boże! Głupstwo jest na jednym końcu świata, geniusz na drugim, mierność znajduje się pośrodku. Nie mówię, że zajmuje punkt centralny świata duchowego, byłoby to zupełnie co innego; zajmuje on w nim miejsce pośrednie.

Czy człowiek mierny należy do tej sfery, która w filozofii, w polityce i w literaturze zowie się złotym środkiem? Czy podziela panujące w tej sferze przekonania?

I to nie.

Ten co należy do złotego środka wie o tem i chce być takim. Człowiek mierny należy do złotego środka bezwiednie. Należy doń z natury, nie z przekonania; z charakteru, nie z przypadku. Niech będzie gwałtownym, krańcowym, skłonnym do unie-

sień, niech się oddala jak chce od opinii pośrednich, niemniej przeto, pozostanie zawsze miernym. Nawet jego gwałtowność będzie mierna.

Rysem charakterystycznym, bezwzględnie charakterystycznym, człowieka miernego, jest uległość względem opinii publicznej. Nie mówi on nigdy, zawsze tylko powtarza. Sądzi on człowieka wedle jego wieku, wedle stanowiska, powodzenia i fortuny. Ma głęboki szacunek dla ludzi znanych z jakiegobądź względu, dla tych, którzy wiele drukowali np. Będzie on starał się o względy swego największego wroga, jeśli ten stanie się głośnym, ale za nic miałby swego najlepszego przyjaciela, gdyby nikt go przed nim nie wysławiał. Nie pojmuje on, aby człowiek jeszcze nieznan, biedny, którego zowią po imieniu, z którym obchodzą się lekceważąco, mógł być człowiekiem genialnym.

Choćbyś był największym z ludzi, jeśli cię znał dzieckiem, sądzi, że będziesz aż nadto zaszczycony, gdy cię porówna z Marmontelem. Nie ośmiela się w niczem wziąć inicjatywy. Jego uwielbienia są przezorne, jego zachwyty urzędowe. Pogardza młodymi. Tylko, gdy jakaś wielkość zostanie uznana, zawoła: „Czy nie przeczuwałem tego?” Ale nie powie nigdy wobec wschodzącej zorzy człowieka nieznanego: „Oto chwała i przyszłość!” Kto odważy się rzec do pracownika nieznanego: w tobie jest geniusz! sam wart jest chwały, którą obiecuje. Rozumieć, to dorównać, mówił Rafael.

Człowiek mierny może mieć jakieś specjalne uzdolnienia, może mieć talent. Ale intuicja zupełnie mu jest odjęta. Nie ma i nigdy nie będzie miał drugiego wzroku. Może się czegoś nauczyć, nie może odgadnąć. Uznaje on niekiedy jakąś ideę, ale nie dostrzeże i nie zrozumie jej zastosowań rozlicznych, a jeśli przedstawi mu ją w odmiennej postaci, nie pozna jej i odrzuci ją.

Przyznaje niekiedy jakąś zasadę; jeśli wszakże zwrócić się do następstw owej zasady, powie, że przesadzacie.

Gdyby wyraz przesada nie istniał, człowiek mierny wynalazłby go.

Człowiek mierny sądzi, że chrześcijaństwo jest użytecznym środkiem ostrożności i byłoby nieroztropnie odrzucić je. Niemniej przeto nienawidzi go w głębi duszy; niekiedy żywi znów dlań pewien szacunek konwencyonalny, taki sam, jak dla ksiązek mających powodzenie. Ale żywi szczególną odrazę do katolicyzmu, zarzuca mu przesadę, woli o wiele protestantyzm, który poczytuje za umiarkowany. Jest on zwolennikiem wszelkich zasad i wszelkich ich przeciwników.

Człowiek mierny może mieć pewien szacunek dla ludzi cnotliwych i dla ludzi utalentowanych.

Czuje zawsze obawę i wstręt wobec świętych i ludzi genialnych; uważa ich za przesadzonych.

Zapytuje on, na co zakony religijne, szczególnie kontemplacyjne. Uznaje siostry miłosierdzia, bo ich

działalność rozwija się przynajmniej częściowo w świecie widzialnym. Ale zapytuje, co komu przyjdzie z Karmelitanek?

Jeśli człowiek z natury mierny, stanie się prawdziwym chrześcijaninem, nieodzownie przestaje być miernym. Może nie stać się człowiekiem wyższym, ale wyzwolony jest z mierności przez rękę mieczem władnącą. Człowiek, który miłuje, nigdy nie jest mierny.

Człowiek prawdziwie mierny uwielbia wszystko potrosze, ale nic całkowicie i z zapalem. Jeżeli mu powtórzycie jego własne myśli i własne uczucia, oddane z pewnym entuzjazmem, będzie niezadowolony. Powie, że przesadzacie; będzie wołał swych wrogów, jeśli są zimni, aniżeli przyjaciół, jeśli są gorącego ducha. Najwięcej ze wszystkiego nie cierpi zapalu.

Człowiek mierny ma jedną tylko namietność: nienawiść dla piękna. Będzie on może powtarzał w tonie banalnym jakąś prawdę banalną. Wypowiedzcie jednak tę samą prawdę w świetnej formie, wyprze się jej, bo napotka piękno, swego wroga osobistego.

Człowiek mierny lubi pisarzy, którzy w żadnej kwestyi nie mówią tak ani nie, którzy nic nie twierdzą i oszczędzają wszelkie sprzeczne mniemania. Łączy on w swych upodobaniach jednocześnie Voltaire'a, Rousseau i Bossueta. Zgadza się on chętnie, żeby zaprzeczano chrześcijaństwu, ale chce, by to

czyniono uprzejmie, z pewnem umiarkowaniem. Ma on szczególną miłość dla racjonalizmu i rzecz dziwna, także dla jansenizmu. Zachwycą się wyznaniem wiary Wikarego Sabaudzkiego.

Pocztytuje za zuchwalstwo wszelkie twierdzenie, gdyż wyklucza ono zdanie przeciwne. Ale jeśli jesteście trochę zwolennikiem i trochę przeciwnikiem wszelkich twierdzeń, przyzna ci rozum i umiarkowanie. Będzie się unosił nad delikatnością twego umysłu i powie, że znasz się na subtelnych odcieniach.

Chcąc uniknąć zarzutu nietolerancyi, który człowiek mierny stawia wszystkim, posiadającym siłę przekonania, należałoby uciec się do zupełnego zwątpienia, ale nie trzeba przytem nazywać zwątpienia po imieniu. Trzeba mu nadać postać opinii umiarkowanej i mającej wzgląd na opinie bieżące, lub opinie przeciwne i trzeba udawać, że się coś mówi, podczas gdy w istocie rzeczy nie mówi się nic. Należy do każdego zdania dodawać różne łagodzące omówienia: być może, jeśli wolno się tak wyrazić i t. p.

W chwili działania, gdy ma coś do spełnienia, człowiek mierny trapiiony bywa jedną obawą, obawą kompromitacyi. Wygłasza on też wówczas najbardziej oklepiane ogólniki z ostrożnością i skromnością człowieka, który się lęka, by jego słowa zbyt śmiało nie wywołały groźnych wstrząśnięć.

Gdy sądzi jaką książkę, pierwsze słowo jego do-

tyczy zawsze drobnych szczegółów, zazwyczaj właściwości stylu. To jest dobrze napisane, mówi on, gdy styl jest płynny, letni, bezbarwny i lękliwy. I przeciwnie, uważa, iż rzecz twoja źle jest napisana, gdy życie w niej krąży, kiedy pisząc tworzysz język, kiedy wygłaszasz swe myśli w owym stylu jednolitym, po którym poznać można szczerłość pisarza. Lubi on literaturę bezosobistą, nie cierpi książek wymagających myślenia. Lubi te, które podobne są do wszystkich, te, co się zgadzają z jego zwyczajami, nie psują mu jego formułek, które mieszczą się w jego schematach, te, które się umie na pamięć, zanim się je przeczytało, bo podobne są do wszystkich, które się czytało od dzieciństwa.

Człowiek mierny utrzymuje, że Chrystus powinien był poprzestać na zalecaniu miłości, a wstrzymać się od czynienia cudów; ale większą jeszcze odrazę budzą w nim cudy, czynione przez świętych, szczególnie przez świętych nowożytnych. Jeśli przy nim wspomnieć o zdarzeniu nadprzyrodzonym a współczesnym, odpowie, że legendy mogą bardzo dobrze wyglądać w Żywotach świętych, ale że lepiej tam je pozostawić; jeśli zaś zwrócicie mu uwagę, że potęga boża ta sama jest dzisiaj, co niegdyś, odpowie, że przesadzacie.

Człowiek mierny utrzymuje, że we wszystkich rzeczach jest troszkę złego i troszkę dobrego, że nie trzeba być absolutnym w swych sądach itp.

Jeśli obstajesz silnie przy prawdzie, człowiek

mierny powie, że zbytńio sobie ufasz. On tak pyszny, nie wie co to pycha! Jest on skromny i pyszny zarazem, uległy wobec Woltera, zbuntowany przeciw Kościołowi. Hasłem jego okrzyk Joaba: Śmiały jedynie przeciw Bogu!

Człowiek mierny, powodowany obawą rzeczy wyższych, mówi, że ceni nadewszystko zdrowy rozum, ale nie wie, co to jest zdrowy rozum. Rozumie on pod tym wyrazem zaprzeczenie tego wszystkiego, co wielkie.

Człowiek mierny może posiadać w wysokim nawet stopniu to, co nazywają sprytem, ale nie może posiadać inteligencji, która jest zdolnością odczytywania idei w faktach.

Człowiek inteligentny wznosi głowę, aby wielbić i czcić; człowiek mierny wznosi głowę, aby szydzić; wszystko, co jest ponad nim, wydaje mu się śmiesz-nem, nieskończoność wydaje mu się nicestwem.

Człowiek mierny nie wierzy w dyabła.

Człowiek mierny ubolewa, że religia chrześcijańska posiada dogmaty; wolałby, żeby głosiła tylko czystą moralność; a jeżeli mu powiecie, że moralność jej wynika z jej dogmatów, jak wniosek wynika z zasady, odpowie, że wpadacie w przesadę.

Miesza on fałszywą skromność, która jest kłamstwem urzędowem pospolitych pyszałków, z pokorą, która jest boską i naiwną cnotą świętych.

Miedzy pokorą i skromnością oto jaka zachodzi różnica:

Człowiek fałszywie skromny poczytuje swój rozum za wyższy od prawdy bożej i niezależny od niej, ale uznaje chętnie swą niższość przed rozumem Woltera. Uważa się za niższego od najbardziej płaskich głupców osiemnastego wieku, ale wyśmiewa się ze św. Teresy.

Człowiek pokorny pogardza wszelkiem kłamstwem, choćby było wielbione na całej ziemi, a klęka przed wszelką prawdą.

Człowiek mierny wydaje się zazwyczaj skromnym, nie może zaś być pokornym, a jeżeli się nim staje, przestaje być miernym.

Człowiek mierny wielbi Cicerona na ślepo i bez zastrzeżeń; nie zowie go po imieniu, lecz nazywa go „wielkim mówcą rzymskim“. Przytacza od czasu do czasu: *ubinam gentium vivimus?*

Człowiek mierny jest najzawziętym a zarazem najzimniejszym wrogiem człowieka genialnego.

Przeciwstawia mu siłę bezwładności, siłę w opozycji okrutną, przeciwstawia mu swe przyzwyczajenia machinalne i niezwalczane, twierdze swoich starych przesądów, swoją obojętność niechętną, swój sceptycyzm złośliwy, ową nienawiść głęboką, która podobna jest do bezstronności, przeciwstawia mu oręż ludzi bez serca, twardość głupoty.

Geniusz liczy na entuzjazm, żąda, aby mu się całkowicie oddano. Człowiek mierny nie oddaje się nigdy całkowicie. Nie ma on entuzjazmu ani litości — te dwie rzeczy idą zawsze w parze.

Skoro człowiek genialny jest zniechęcony i sądzi się blizkim śmierci, człowiek mierny patrzy nań z zadowoleniem; rad jest temu konaniu. Mówi wtedy: Czyż nie przewidywałem tego? ten człowiek po złej kroczył drodze, zbyt wiele miał zaufania w sobie. Jeżeli człowiek genialny odnosi tryumfy, człowiek mierny pełen zawiści i niechęci przeciwstawi mu przynajmniej *wielkie wzory klasyczne*, jak się wyraża, to jest ludzi sławnych wieku przeszłego i będzie się starał pocieszyć nadzieją, że przyszłość sprostuje błędy dzisiejsze.

Człowiek mierny ma o wiele więcej złości, aniżeli sądzi sam, aniżeli sądzą inni; złość jego maskuje właściwą mu oziębłość. Nie unosi się on nigdy. W gruncie rzeczy chciałby zgładzić ród ludzi wyższych, a nie mogąc tego dokonać, drażni ich przez zemstę. Popelnia drobne niegodziwości, które dzięki swej małości nie wydają się niegodziwymi. Kłuje szpilkami i cieszy się patrząc na krew płynącą, podczas gdy zabójcę przeraża często widok krwi. Człowiek mierny nigdy się nie przeraża. Czuje poparcie w sile liczebnej podobnych sobie.

Człowiek mierny jako literat należy zazwyczaj do liczby szczęśliwców, o których mówią, że się w czepku urodzili. Łatwe powodzenia są zwykłym jego udziałem. Nie pomnąc na stronę istotną, a chwytając strony przypadkowe każdej rzeczy, płynie z prądem zdarzeń i czatuje na każdą dobrą sposobność, a skoro mu się powiodło, staje się dziesięćkroć bardziej

miernym. Sądzi siebie, podobnie jak i wszystkich, wedle powodzenia. Podczas gdy człowiek wyższy czuje swą siłę wewnętrzną i czuje ją szczególnie wtedy, gdy inni ją zapoznają, człowiek mierny poczytywałby się za głupca, gdyby za takiego uchodził, a naodwrot czerpie on pewność siebie z pochwał, jakie odbiera; jego mierność wzmacnia się w stosunku jego wziętości.

Ale zapytacie może, skąd się bierze jego powodzenie?

Czy nie zdarzyło wam się kiedy przy czytaniu książki słynnego autora, uchodzącej powszechnie za dzieło znakomite, czy nie zdarzyło wam się zamknąć ową książkę z niechęcią i powiedzieć sobie: Jakim sposobem te stronic mogły zjednać rozgłos autorowi, gdy powinno raczej skazać go na zapomnienie? I jakim sposobem pewne nazwiska, które powinnyby się znajdować między najbardziej znanymi, zupełnie są obce ogółowi ludzi? Dlaczego nieliczni przyjaciele tego, o którym myślę w tej chwili, lęklawie szepczą między sobą jego imię, nie ośmielając się publicznie go wymienić, gdyż nie ma ogólnego uznania? Czy sława ma swe tajemnice, czy też miewa kaprysy?

Oto odpowiedź: Sława i powodzenie nie są do siebie podobne; sława ma tajemnice, powodzenie ma kaprysy.

Człowiek mierny nie walczy. Może mu się powodzić na razie, ale zawsze w końcu dozna klęski.

Człowiek wyższy walczy zrazu, a osiąga powodzenie później.

Człowiekowi miernemu powodzi się, gdyż płynie z prądem; człowiek wyższy odnosi tryumfy, gdyż płynie przeciw prądowi.

Powodzenie osiąga się, idąc za innymi; sławę zdobywa się, idąc przeciw innym.

Każdy człowiek, który staje się głośnym, osiąga to wtedy, gdy jest przedstawicielem pewnej części rodzaju ludzkiego.

Oto rozwiązanie wszelkich zagadnień.

Natury wyższe mają za przedstawicieli ludzi wielkich, natury niższe są wyobrażone przez ludzi małych. Obie grupy mają swoich delegatów w zgromadzeniu powszechnem. Ale jedna zapewnia swym delegatom powodzenie, druga zapewnia swoim sławę.

Ci, co schlebiają przesądom i przyzwyczajeniom współczesnych, idą wprost do powodzenia: to są ludzie swego czasu.

Ci, którzy zwalczają przesady i przyzwyczajenia, ci, co oddychają w wieku obecnym powietrzem wieku przyszłego, prowadzą innych i idą sami wprost do sławy: to są ludzie wieczności.

Oto dlaczego odwaga, nie potrzebna do zdobycia powodzenia, jest nieodzownym warunkiem sławy. Ci tylko są wielcy, którzy ludziom rozkazują, zamiast słuchać ich rozkazów, którzy rozkazują samym sobie, a nie ulegają swoim słabościom, którzy przez ten sam wysiłek tłumią swe własne zniechęcenie

i opór świata zewnętrznego. To, co zowiemy wielkością, jest promieniowaniem władztwa duchowego.

Człowiek mierny, mający powodzenie, odpowiada obecnym pragnieniom innych ludzi.

Człowiek wyższy, osiągający tryumf, odpowiada nieznanym przeczuciom ludzkości.

Człowiek mierny może okazać innym ludziom te ich strony, które im są znane.

Człowiek wyższy objawia ludziom te ich strony, których zupełnie nie znają.

Człowiek wyższy wstępuje w nasze wnętrza głębiej, aniżeli my sami zwykliśmy weń wstępować; daje mowę naszym myślom; bliżej jest obznajomiony z nami, aniżeli my sami.

Wzbudza w nas zarazem gniew i radość, jak człowiek, któryby nas budził, by nam ukazać wschód słońca. Wyciągając nas z domów naszych, aby nas wprowadzić do własnych swych dziedzin, wstrząsa, niepokoi nas, a wprowadza nas jednocześnie do sfery wyższego pokoju.

Człowiek mierny, pozostawiając nas tam, gdzie nas zastał, daje nam martwą spokojność, która nie jest tem samem, co pokój.

Człowiek wyższy nieustannie dręczony, rozdzielany wewnątrz przez przeciwieństwo ideału i rzeczywistości, odczuwa lepiej niż ktokolwiek wielkość ludzką i dotkliwiej niż ktokolwiek nędzę ludzką. Czuje się on silniej porwany ku dziedzinom wzniosłości idealnej, będącej ostatecznym celem naszym

i śmiertelniej ugodzony przez odwieczny upadek naszej biednej natury. Zaraża on nas temi sprzecznymi uczuciami, których sam doznaje. Zapala w nas miłość Bytu i budzi w nas nieustannie świadomość naszej nicości.

Człowiek mierny nie odczuwa ani wielkości, ani nędzy, ani Bytu, ani nicości. Nie jest ani unoszony ani strącany, zatrzymuje się na przedostatnim stopniu drabiny, niezdolny wstąpić wyżej, zbyt leniwy, ażeby zstępować niżej. W sądach swoich i w dziełach swoich zastępuje on rzeczywistość przez konwenans, uznaje to tylko za słuszne, co znajduje miejsca w przegródkach jego pojęć, potępia to, co się usuwa z pod określeń i z kategorii dobrze mu znanych, jak ognia lęka się zdumienia i nigdy nie zbliżając się do straszliwej tajemnicy życia, unika starannie szczytów i otchłani, wśród których wodzi ona swych przyjaciół.

Człowiek genialny wyższy jest od tego, czego dokonywa. Myśl jego przewyższa jego dzieła.

Człowiek mierny niższy jest od tego, czego dokonywa. Dzieło jego nie jest urzeczywistnieniem jego myśli: jest to praca wykonana wedle pewnych reguł. Człowiek genialny uważa zawsze swe dzieło za nieskończone. Człowiek mierny jest pełen swego dzieła, pełen siebie samego, pełen marności, pełen próżni, pełen próżności; ta wstrętna osobistość zawiera się całkowicie w tych dwóch wyrazach: Oziębłość i Próżność.

List,

który pewien bardzo poważny uczonec miał napisać do Krzysztofa Kolumba w chwili, gdy ten odpływał do Ameryki.

Dowiaduję się, że zamierzasz odkryć świat nowy. Powiem ci bez ogródek, że nie mogę ci powinszować tego projektu; niepokoi on mnie i daje mi poznać, szczerze ci to wyznam, niepomierłą twą pychę. Jakto, czyż ziemia dla ciebie nie jest dość wielka? Wspomnij ludzi z dawnych czasów. Czyż kiedykolwiek przyszło im do głowy odkrywać światy nowe? A ty młodzieńcze bez doświadczenia, bez powagi żadnej, powziąłeś taką myśl szaloną! Jakto? Ani rady wszystkich twych przyjaciół, ani groźby nieprzyjaznych ci losów, nic nie może cię skłonić do spokojnego życia w Europie, na podobieństwo każdego z nas? Zdaje ci się, że przewyższasz innych ludzi, ponieważ to, co im wystarcza, tobie wystarczyć nie może. Wszyscy ludzie rozumni powtórzą ci to samo, młodzieńcze: pycha zgubi cię.

Tembardziej jestem stroskany twoim niewczesnym uporem, że zawsze ku tobie szczerą żywiłem

przyjaźń. Jako dziecko jeszcze zaskarbiłeś sobie moje względy, lubiłem twą zapalczywość młodzieńczą, twa żywa wyobraźnia pociągała mię. Cenię wyobraźnię w młodych ludziach, byle nie zbyt wybujałą. Mawiałeś mi nieraz: Uwielbiam Ocean, a ja cię zachęcałem, byś o nim napisał dla wprawy jaki piękny poemacik. Czyż mogłem przypuszczać, że weźmiesz gołne upodobanie do żeglugi, nie byłbym temu przeciwny, abyś od czasu do czasu odbył niewielką podróż. Podróże kształcą i wyrabiają młodzież. Ale mój drogi, pozwól sobie powiedzieć: czy nie jest to zapędzać się za daleko, chcieć odkrywać nowe światy?

I dlaczego nie zadawałaś się starym światem, skoro my wszyscy dotąd umieliśmy się nim zadowolić, dlaczego nie obierzesz sobie poprostu jednego z tych zawodów, do których twoje wykształcenie otwiera ci drogę? Na co ta szalona, a śmieszna ambicja? O gdybyś miał doświadczenie mego wieku!

Odpowiedziałeś mi na moje przełożenia, że tam żyją ludzie, którzy są twoimi braćmi, których chcesz połączyć z ludźmi starego lądu.

Wiem na pamięć wszystkie twoje szumne słowa. Wszak prawda? — myślisz, że skoro przepłyniesz Ocean, który światy rozdziela, będziesz mógł wzniesć krzyż na ziemi nowej.

Zważ moje dziecię, że to są puste słowa, pozwól to powiedzieć człowiekowi starszemu. Wiesz, że lu-

bie sztuki i szanuję religię, ale nie lubię świętych, ani ludzi genialnych; jedni i drudzy idą za daleko i przesadzają nieustannie. Europa dotąd wydała ich już nie mało, a nawet o wiele nadto. Dobrzy oni tylko do wywoływania zamieszkań na świecie. Co za szaleństwo puszczać się tam na złamanie karku, aby powiększać liczbę takich marzycieli! Zważ, moje dziecko, możesz się stać śmiesznym. Zawierz szczerości uczuć dyktujących słowa, które do ciebie piszę. Nie mogę ukryć przed tobą żalu, jakiego doznaję, gdy widzę pogrążającego się w pustych marzeniach dumi niedorzecznej młodzieńca pełnego nadziei, dla którego zawsze roilem o jak najświeńniejszej przyszłości.

Tak moje dziecko, serce mi ściska, gdy widzę, jak wędrujesz od drzwi do drzwi, zebrząc pomocy, której ci odmawiają. Gdzie podziałeś swą godność osobistą? honor twego domu, do dziś dnia bez skazy? Czyż nie masz już żadnej miłości własnej?

Miłość własna, moje dziecko, jest strażnicą godności, a dla człowieka z porządnej rodziny godność jest rzeczą najcenniejszą. Niewątpliwie (bo nic nie chcę przesadzać) nie trzeba mieć nadto miłości własnej — nadmiar we wszystkim jest wielką wadą, — ale trzeba ją posiadać w pewnej mierze, a jeśli będziesz postępował tak jak dotąd, zmuszony będę sądzić, iż nie posiadasz jej wcale. Obejmij wpośród nas jeden z wielu zaszczytnych zawodów, do których godnego wypełnienia usposabiają cię twe

zdolności. Wtedy nie będziesz zasmucał swoich przyjaciół. Wszyscy z tobą się pogodzimy, będziemy cię zachęcać, popierać w twoich usiłowaniach i zabijemy tłustego cielca za powrót syna marnotrawnego.

Ludzie praktyczni.

Sądźmy, że wyzwoliliśmy się ze wszystkich przesądów; tymczasem gnębią nas one, cisną i duszą. Oto jeden z nich, który zamierzam tu wziąć pod uwagę. Dotyczy on ludzi praktycznych.

Wypytajcie starannie wszystkich, co was otaczają. Znajdziecie w ich umysłach, bądź to w określonej, bądź to w nieokreślonej postaci, bądź w sferze nieświadomości pewne przekonanie, które gdyby chciało przemówić, mówiłoby mniej więcej w ten sposób;

„Nie dowierzajcie ludziom wyższego umysłu. Nie są to ludzie praktyczni. Są to ludzie niebezpieczni! Są to poeci, marzyciele. Nie umieją oni działać rozsądnie w zwykłych sprawach ludzkich. Nie pojmują rzeczywistości“. Wśród błędów rozpowszechnionych w świecie, nie wiele jest równie potwornych i mało równie szkodliwych. Idee nie są i nie mogą być oddzielone od faktów. Idee i fakty łączą się i wytwarzają się nawzajem. Nie ma dwóch prawd przeciwnych sobie.

Przesąd, o którym mowa, chciałby pozostawić teorie ludziom wyższym, praktykę ludziom pospolitym. Chciałby rozgraniczyć dwie dziedziny; skazać ludzi wyższych na odosobnioną teorię, ludzi pospolitych na odosobnioną praktykę.

Owóż wszelkie odosobnienie jest wygnaniem i więzieniem. Teoria bez praktyki jest cierpieniem bezpłodnym.

Praktyka bez teorii jest niedorzecznością płodną w katastrofy.

Zasady, skoro są prawdziwe, mają tylko jedno zadanie: znaleźć zastosowanie w życiu.

Sprawy ludzkie, skoro są słuszne, mają tylko jedno zadanie: urzeczywistnienie zasad.

Co to jest zasada? Zasada jest podstawą wszelkiej działalności zewnętrznej. *Principium* znaczy początek. Wszelka działalność, nie mająca zasady za punkt wyjścia, jest gmachem bez fundamentu, skazanym z góry na zagładę.

Ludzie wyższego umysłu żyją w bliskim obcowaniu z zasadami. Przesąd chce, żeby na tem się zatrzymywali nie troszcząc się o zastosowanie praktyczne. Dlaczego tak ma być? — Człowiek dany umie dopatrzeć się zasad, obcuje z niemi. Dlaczegoż nie ma umieć objąć wzrokiem ich następstw? Dlaczego przyznajecie tę umiejętność tym, którzy zasad dostrzedz nie potrafią?

W naturze, skoro chcecie widzieć daleko, wchodzicie na wieżę, lub na jakąś wyniosłość.

W sprawach moralnych przeciwnie, skoro chodzi o widzenie z oddali, o zbadanie i przygotowanie pola walki, o organizację i kierunek bitwy, nie do-wierzacie temu, który stoi wysoko i widzi daleko. Pokładacie całą ufność w tym, który siedzi zamknięty w piwnicy i jest krótkowidzem.

Lornetka Napoleona słynna była i straszliwa na polach bitew. Europa drżała przed nią.

Ale skoro chodzi o walkę życia, w której także potrzeba widzieć daleko, przewidywać, przygotowywać, usuwać niebezpieczeństwa, darzyć zaufaniem tego, który nie ma ani lornetki, ani dobrego wzroku.

Ludzie, gdy mają sądzić o doniosłości wzroku, okazują nieufność orłom, a ufają kretom.

A przecież, jeśli gdzie jest prawda w życiu, to niewątpliwie w tem, że kto patrzy z wysoka, ten sięga wzrokiem do głębi. Ten tylko może widzieć koniec i cel, kto widział początek, to jest zasadę.

Ten tylko może wydawać sąd o stosunkach i rzeczach, kto zdolny jest sądzić o ludziach, od których one zależą. Aby kierować sprawami ludzkiemi, znajomość ludzi jest nieodzowna. A ten tylko zna ludzi, kto umie patrzeć w głębi.

Jeśli mamy kierować sprawami tego świata, musimy mieć na względzie cnoty i wady ludzkie, musimy liczyć się z namiętnościami, ze słabościami z upadkami. Omal nie powiedziałem: musimy liczyć na słabości i upadki.

Aby prowadzić sprawy tego świata, należy znać całą głębię upadku ludzkiego.

Aby zaś poznać tę głębię upadku, trzeba ją widzieć z bardzo wysoka. Trzeba patrzeć na człowieka z bardzo wysoka, aby widzieć, jak nisko człowiek zejść może.

Trzeba patrzeć z bardzo wysoka i z bardzo daleka, aby umieć wybrać przedmioty zaufania swego lub nieufności. Chcąc dobrze sądzić o skutkach, trzeba dobrze znać przyczyny. Ten tylko zdolny jest obliczyć prawdopodobieństwa upadku błędu i kłamstwa, kto żyje w sferze światła i prawdy.

Wzrok zaciemniony nie przenika ciemności.

Przenika ciemności tylko wzrok, zbrojny strzałami światła.

Rozprószyć ciemności może tylko wzrok, padający z dość wysoka, aby zgnieść, przebić, roztrącić przeszkody.

Z tej to przyczyny starożytni, mający często tyle głębi w swej mowie, zwali tem samem mianem poetę i proroka ¹⁾).

Owóż w kierownictwie spraw ludzkich jaki dar byłby najużyteczniejszy i najpraktyczniejszy?

Byłby to niewątpliwie dar prorocstwa, pozwoliłby on nam rozpoznać, kto nam pomoże, a kto nas zdradzi.

¹⁾ Łacińskie *vates* odpowiada polskiemu wieszczek, wieszcz, prorok, poeta. (Przyp. tłóm.)

Owóż są prorocstwa naturalne, (gdyż nie znajdujemy się tu na gruncie mistycznym), na mocy których człowiek wyższego umysłu, człowiek teoretyk, wieszcz, jeśli można użyć tu tej nazwy, przewiduje zwroty nagle, zawody niespodziewane, katastrofy gwałtowne, których oprócz niego nikt nie przewidywał. Widziałem to nie raz, ale wiele razy.

W pewnego rodzaju katastrofach ludzie praktyczni bywają zaskoczeni niespodziewaniem, podczas gdy myśliciele byli na nie przygotowani.

Widziałem nieraz działaczy praktycznych, oddanych interesom i mylących się grubo w zakresie tychże interesów, gdyż nie znając i nie pojmując ludzi, nie mogli poznać rzeczy zależnych od ludzi, którymi się posługiwali.

Widziałem ludzi wyższego umysłu, ludzi szerokiego spojrzenia, ostrzegających tych, którzy powszechnie uznani byli za praktycznych i ostrzegających nadaremnie.

Ich charakter, jako ludzi wyższego, teoretycznego umysłu, który powinienby dodać powagi ich słowom, osłabiał owszem ich doniosłość, gdyż przesąd mówił: Nie jesteście ludźmi praktycznymi. Tymczasem bieg wypadków usprawiedliwiał przewidywania człowieka wyższego umysłu i teoretyka.

W życiu praktycznem wiele zawsze trzeba zgadywać. Intuicya gra w niem wielką rolę.

Wyrachowanie bez intuicyi często w błąd wprowadza.

greckiej brzmieć będzie: człowiek czynu, *człowiek praktyczny*.

Jeśli mowa starożytności jest piękna, mowa chrześcijańska piękniejsza jest jeszcze jako bliższa źródła Wzniosłości.

Owóż skoro chrześcijaństwo chce nam mówić o człowieku bardzo wysoko wzniesionym przez dary Boże, zowie go człowiekiem *budującym*. Budujący, to znaczy ten, który coś buduje, to jest człowiek czynu.

Wiem, że ten przymiotnik „budujący“ bywał często używany niegodnie i stosowany do drobnostek. Mniej-sza o to. Przywróćmy wyrazom ich znaczeniepodniosłe.

Dla chrześcijaństwa wszelkie cnoty, nawet wewnętrzne, są czynami płodnymi w skutki praktyczne.

Czy zauważyliście to wzniosłe wyrażenie: akt skruchy? Człowiekowi, który nie zwykł głębiej się zastanawiać, skrucha, oznaczająca *skruszenie*, może się wydać jakimś zmniejszeniem, utratą sił, rozkładem.

Owóż akt skruchy w oczach chrześcijaństwa jest aktem szczególnej siły, siły, która niebo otwiera.

Mowa ludzka i mowa chrześcijańska zbudziłyby zdumienie swoją pięknnością, gdyby przyzwyczajenie nie zamykało nam oczu.

Człowiek prawdziwie praktyczny, to człowiek *budujący*. Ma on w swym ręku cement, co spaja.

Co zaś do robotników poza nim stojących, ci, gdy zdają się budować, w istocie rzeczy, burzą; zamki i grody zapadają się w ruinę, skoro oni ich się dotkną.

Rozgłos i sława.

Dwie drogi otwarte są przed człowiekiem, przemawiającym do innych ludzi. W razie powodzenia jedna z tych dróg prowadzi do rozgłosu, druga do sławy.

Co przedstawiają te dwa wyrazy? Jaka jest różnica między rozgłosem a sławą?

Najbardziej zaślepieni czują, że różnica ta jest wielka, ale nie wiedzą, na czym ona polega. Instynktownie człowiek ją uznaje; mowa sama nie dopuszcza nieporozumienia. Któż ośmieliłby się mówić o rozgłosie św. Augustyna, lub o sławie Helwecjusza?

Rozgłos więc nie jest sławą. Ludzie sądzą jednak powszechnie, że między temi dwoma pojęciami zachodzi tylko różnica stopnia, i że rozgłos, skoro się wzmacza, staje się sławą. W tem jest błąd. Różnica o której mowa, dotyczy nie stopnia, lecz samej istoty rzeczy.

Rozgłos jest parodią i przeciwieństwem sławy. Sztuka jest wyrazem ideału, objawiającego się

zapomocą znaków zmysłowych. Widocznem i przyrodzonem jej zadaniem jest podnosić do sfery ideału każdego, kto się do niej zbliży. Ale artysta, jak wszyscy ludzie, jest w stanie upadku grzechowego; wskutek tego, pełen próżności i nędzy, zapominając, że powinien podnosić ludzi ku sobie, tj. ku ideałowi, który wyraża, godzi się na zstąpienie ku nim, nie dlatego, aby ich ze sobą pociągnąć na wyżyny, lecz dlatego raczej, aby razem z nimi na nizinach zamieszkać. Wtedy, zamiast szukać prawa sztuki w prawie wiecznem i w prawdzie bezwzględnej, szuka owego prawa w kaprysie publiczności. Zamiast starać się o podniesienie ludzi, stara się im przypodobać... Artysta chcący się przypodobać!.. Jakie straszliwe poniżenie! Trzeba całego naszego przyzwyczajenia do rzeczy n a d z w y c z a j n y c h, aby się temu nie dziwić.

Artysta, który pochlebia publiczności, dąży do rozgłosu.

Artysta, który podnosi publiczność, dąży do sławy.

Sława przychodzi z góry, rozgłos — z dołu.

Sława, to promienie, któremi prawda otacza głowę swego wybrańca.

Sława jest odblaskiem Boga, któremu jedynie przynależy ona, jako własność istotna.

Rozgłos jest dziełem reklamy.

Światło nie przewodniczy jego narodzeniu.

Powstaje on i rośnie często przy pomocy intryg i knowań; drogi podziemne nie są mu obce.

Rozgłos płynie z prądem przyjętych mniemań — sława idzie przeciwko temu prądowi.

Rozgłos postępuje naprzód po linii spiralnej, ślizga się jak wąż, pełza, aby się precisnąć; sława leci na skrzydłach, a lot jej jest walką, bo ziemia nie lubi, aby się nad nią wznoszono; dostarcza ona ołowiu do zabijania ptaków.

Dziedziną sławy jest świat niewidzialny. Powodzenie nic nie ma z nią wspólnego.

Poczynający się rozgłos sprawia, że współzawodnicy mówią między sobą: — Miejmy się na baczności, oto przybywa nam jeszcze jeden!

Wobec poczynającej się sławy, ci, którzy mają być przez nią przyćmieni, pozostają w najzupełniejszym spokoju zewnętrznym. Nikomu nie jest ona groźna, przynajmniej na pozór. Ponieważ wydaje się pozbawioną wszelkich środków, jej wrogowie sądzą, że musi umrzeć i że nie potrzebują sobie zadawać trudu zabijania jej; przeciwstawiają jej pewien szczególny rodzaj pogardy: pogardę mierności, która mówi, spoglądając na geniusza: Jestem mocniejsza od ciebie i już zdobyłam sobie miejsce na świecie.

A przecież ziarno gorczycy kiełkuje i rośnie. Nieprzyjaciele jego zaczną się wkrótce niepokoić i pierwsze błyski mającego wzejść słońca wstrząsają nimi we śnie; zmora poczyną ich dusić.

Powstający rozgłos budzi we współzawodnikach nowej znakomitości pewien zewnętrzny niepokój,

marny i mierny jak rzecz, czy osoba, o którą chodzi, — czują oni tylko współzawodnika. Rodząca się sława pozostawia tych, którzy na nią patrzą, w spokoju zewnętrznym, ale gdyby wniknęli w głąb swojej duszy, znaleźliby tam dziwną obawę, jedyną w swoim rodzaju obawę, której nie umieliby nazwać i o której mówićby nie chcieli. Byłoby to jakby nieokreślone przeczucie przyszłej klęski, które, gdyby mogło wydać głos, zawołałoby: — Oto mój zwycięzca! — To zachowanie się mierności wobec geniuszu jest jednym z najsmutniejszych widoków, jakie ziemia może nam ukazać.

Rozgłos opiera się na podstawach znanych; pochód jego może być wymierzony. Postępuje ostrożnie, z wyrachowaniem, liczy wszystkie swe kroki, a gdy najlepiej je obliczy, spostrzega, że zupełnie źle obliczył. Chybia on prawie zawsze celu, do którego dążył i często na starość dochodzi do zapomnienia ludzkiego, które jest karą. Sława rodzi się w odmiennego rodzaju zapomnieniu: w ciemnościach wtajemniczenia. Wynurza się z nich, podobnie, jak się w nich pogrążyła, sama nie wiedząc, dlaczego. Następnie rośnie ciągle i osiąga cel, chociaż doń nie zmierzała.

W życiu i w pochodzie rozgłosu wszystko jest rachunkiem — w życiu i w pochodzie sławy wszystko jest tajemnicą. Sława prowadzi swych wybrańców na lewo, kiedy chce, aby poszli na prawo.

Ludzie mierni, którzy zdobyli sobie rozgłos, dla

urządzenia spraw tego świata posługują się zazwyczaj sposobami o pozornej jasności, podobnej bardzo do zdrowego rozsądku ludzi pospolitych, sposobami przystępnymi dla każdej inteligencji, łatwymi do uchwycenia i na pierwszy rzut oka uderzającymi swą oczywistością. Sposoby te mają tę jedną wadę, że nie liczą się z tajemnicą, spoczywającą na dnie wszystkiego; obliczenia ich nie przekraczają sfery prawdopodobieństwa. To też najczęściej zniweczone bywają przez nieprzewidziane zrzędzenia boże, będące widomymi objawami tajemnicy.

Ludzie mogą obdarzyć człowieka rozgłosem; nie są w stanie dać mu sławy. Rozgłos przygotowuje się, sława wybucha. Rozgłos zdobywa się przy pomocy tych lub owych środków — sława nie rozporządza żadnymi środkami; jest ona, lub jej niema, podobnie jak życie. Rozgłos błyszczy; sława jaśnieje. Zręczność może doprowadzić do rozgłosu; do sławy doprowadza tylko Ten, który ku słońcu zwraca spojrzenia swych orłów.

Gdy człowiek zdobył rozgłos, może odnaleźć na piasku ślady kroków, które go doń doprowadziły, a jego towarzysze mogą usiłować go doścignąć, krocząc tymi śladami.

Gdy blask sławy oświeci człowieka, nikt na żadnej karcie geograficznej nie odnajdzie drogi, po której szedł ten blask, aby spotkać się z jego czołem.

Dla zdobycia rozgłosu trzeba wielu rzeczy, wielu środków, wielu narzędzi.

Dla zdobycia sławy jest tylko jeden środek: narodzić się dla niej. Bóg zamyka wszystkie drogi do rozgłosu tym, których przeznaczył dla sławy. Wznosi on jej drobną iskierkę przez powietrze niewidzialnym szlakiem, a dopiero, kiedy zbliży ją do stropu niebios, rozplomienia ją wśród ciemności, a głowy ludzkie zwracają się ku tej stronie, skąd jasność na nie spływa.

Rozgłos poczyną się wśród hałasu, sława — wśród milczenia. Rozgłosowi towarzyszy stale przyjemność, sława rozwija się wśród łez.

Wybrańcami sławy są może ci ludzie, którzy czując, że natura człowieka niższa jest od jego przeznaczeń, poddają się technieniu Ducha, w nim raczej, a nie w sobie, pokładając swą ufność. Są oni dość mądrzy, by wiedzieć, że mądrość ich przyrodzona nie może im wystarczyć i wzywają na pomoc mądrość niewidzialną, która współdziała z wielkimi ludźmi, aby przez nich dokonać wielkich rzeczy.

Gdy Bóg usypia, pozwala wielu ludziom zdobywać rozgłos. Gdy się budzi, na Jego rozkaz zjawia się sława na ziemi. Przyrodzonym symbolem sławy jest słońce. A jednak w rozwoju swym podlega ona temu samemu prawu, co ziarno gorczycy.

Rozgłos przypomina bezmyślne krzyki, wydawane wśród ciemności nocnych przez bijących się i nie-rozumiejących się nawzajem pijaków.

Sława nosi zamię jedności. Jest ona zawsze wyobrazicielką jakiejś idei. Rozgłos jest dziełem tłu-

mu. Człowiek cieszący się rozgłosem, nie wyobraża żadnej idei, lecz interesy, najczęściej źle zrozumiane. Zdobył on swoje stanowisko nie przez czyn, lecz przez mnóstwo zabiegów, które z pewnością nie zostawią w historii śladu promiennego.

Sława jest ojczyzną orłów. Dziedzina rozgłosu, to pole pokryte nawozem, gdzie robactwo, symbol zgnilizny, tarza się, walczy ze sobą i pożera się wzajem.

Miasto, gdzie nie mają czasu.

Ja nie mam czasu. On nie ma czasu. My nie mamy czasu. Wy nie macie czasu. Oto głos powszechny Paryża!

Odmienia on słowo: nie mieć czasu.

Małeńkie słówko, krótkie i prędko dające się wymówić. Ale ileż rzeczy to małe słówko kryje w sobie! A ilu nie dopuszcza!

Paryż jest środkiem świata. Mówić o nim godzi się. Aby jednak o nim mówić, trzeba go znać. Aby go dobrze poznać, trzeba go widzieć z odległości.

Czasem widzę go z bliska. Czasem widzę go z daleka. Widzę go dobrze wtedy tylko, gdy patrzę nań z daleka. O prawdo paradoksu, prawdo zapoznana, jak wszelkie prawdy!

Za moich młodych lat dysputy literackie, dysputy naukowe, poruszały i zapalały umysły. Myśli nasze były pełne ognia, słowa płonęły nam w ustach.

Namawiają mnie, abym rzucił na papier swoje wspomnienia; być może, iż nie zdołam oprzeć się tym niebezpiecznym namowom. Ileż idei, ileż myśli, ileż uczuć, ileż namiętności! Jaką natężoną pracę ducha widziałem i odczuwałem wtedy!

Gdzie podział się ten entuzjazm? Dzisiaj ludzie oddali się przeważnie interesom.

A co to jest człowiek oddany interesom? Jest to człowiek, który nie ma czasu.

Zanim potępicie tę definicję, zastanówcie się nad nią przez chwilę.

Niegdyś Paryżanin był pracownikiem umysłowym, literatem, obecnie często, nawet najczęściej oddaje się interesom. Nie mówię: zawsze. Nie chcę nic przesadzać, bo nie chcę kłamać, a przesada, według Józefa de Maistre, jest kłamstwem uczciwych ludzi. Z góry zaliczam do wyjątków wszystkich protestujących, gdyż protesty owe same przez się zasługują, aby im wymierzono sprawiedliwość. Z tem wszystkim Paryżanin często oddaje się interesom, a człowiek oddany interesom jest to człowiek nie mający nigdy czasu.

Paryż przedstawia obraz mrowiska, gdzie każda mrowka dźwiga swój ciężar. Ludzie się popychają, rozpychają, biegają, mówią jedni przez drugich, a nie widzą się nawzajem.

Jest się pogrążonym w mnóstwie stosunków, w mnóstwie osób, rzeczy, przeciwieństw, trudności, niezadowoleń, a także w mnóstwie względów i wzglę-

dzików. Co za płatanina! jaki zamęt! Tłumy co chwila zmieniają strój i formę. Ale zawsze są to tłumy, pomnożone przez tłumy.

Spotykasz człowieka, towarzysza, przyjaciela, współbrata.

Pełen jesteś myśli, uczuć, któremi radbyś się z nim podzielić dla dobra sprawy wspólnej.

On potrzebuje twoich myśli, jego myśli potrzebne są tobie. Zamiana przyniosłaby pożytek wam obydwom. Ale cóż! przyjaciel nie ma czasu.

Interesy go wzywają, czatują na niego, porywają go, zakuwają w więzy, wloką go ze związanymi rękami i nogami do ciemnicy, gdzie pochłaniają swoje ofiary.

I czujesz jak zamierają w tobie słowa, które miały się narodzić, zamierają nie tylko na ustach, ale i w duszy twojej, bo człowiek, dla którego one były przeznaczone, nie ma czasu, aby cię wysłuchać.

Nie ma czasu. Okropne słowo! Słowo, które należałoby zbadać w bezlitosnej jego głębokości.

Nie ma czasu pracować. Nie ma czasu kochać. Jeśli ktoś nieznany, na którego poznaniu wiele zależy, przejdzie koło niego, nie będzie miał czasu dostrzedz go. Nie ma czasu na działanie. Bo działać i biedz nie są to słowa jednoznaczne. A on biegnie, biegnie, biegnie; rzuca na prawo i na lewo to słowo, to uścisk ręki, a jego spojrzenie roztargnione w pośpiechu na nikim i na niczem się nie zatrzymuje.

Owoż czy wiecie, co uchodzi jego uwadze? co mu jest obce? co on zapoznaje i o czym zapomina? Między innemi i nadewszystko: Paryż.

Paryż w swej istocie, w swej rzeczywistości pozostaje mu nieznanym. Widzi on bruki bulwarów, nie widzi Paryża.

Nie sądźcie, że oko wystarcza, aby widzieć; aby widzieć, trzeba uważać, a uwaga wymaga czasu. Kto nie ma wiele czasu, nic nie widzi. Oko nie widzi przedmiotu, którego dotyka. Kiedy przez pewien czas stykam się z Paryżem, przestaję go widzieć.

Z daleka widzę go wybornie. Prawda, że mam pod ręką jego dzienniki, jego książki, odgłosy przeróżnych o nim wieści publicznych i prywatnych.

Wywołuję go i staje przede mną. Mam przed oczami cały obraz Paryża.

Z blizka zapominam o nim, widzę części, z których się składa, jego samego nie widzę.

Czy nie doświadczyłeś nigdy, czytelniku, takiego zjawiska:

Wspominasz pewną osobę, rozmyślasz o niej, uprzątniasz ją sobie, badasz ją. Piórem lub pendzlem chcesz nakreślić jej portret. Jeżeli portret jest już zrobiony przez ciebie, albo przez kogo innego, jeśli masz go przed oczyma, uzupełniasz go spojrzeniem, którem go obejmujesz.

Patrzysz na tę osobę, jesteś jej blizki, co tylko o niej mówiłeś, lub zamierzasz o niej mówić, wymowa drży na twych wargach.

Wtem ktoś wchodzi. To osoba, której portret miałeś przed oczyma. Tak, tak, to ta sama osoba, ta, którą przed chwilą tak dobrze znałeś, którą ogarniałeś wzrokiem zewnętrznym i wewnętrznym, która pochłaniała całą twoją uwagę.

Osoba ta wchodzi, ale nie ma czasu. Pochłonięta jest przez interesy, zdradza niecierpliwość ludzi bardzo zajętych, którym coś zawadza, których coś drażni. Píše lub otrzymuje telegramy, zaprzętnięta jest jakimś drobnym szczegółem.

Owoż, co się staje? — Tracisz ją z oczu. Zetknięcie z nią pospieszne, nic nie znaczące, sprawiło, że utraciłeś jasne o niej pojęcie, jakie przed chwilą miałeś.

Gdy była daleko, widziałeś ją; gdy jest tuż przy tobie, zapominasz o niej.

Otóż osoba owa, to miasto Paryż.

Rozsyła ono na świat cały swoje wpływy, dobre i złe; świat cały jest pełen jego woni i odorów. Gadatliwe miasto bezmiernie; każdego dnia koleje żelazne po całej ziemi zamieszkałej roznoszą niezliczone jego słowa. Potop jego książek i dzienników zalewa góry i doliny. Góry i doliny nasiąknięte są wodami tego potopu. Wody te płodne w życie i w śmierć, zawierają i roznoszą po całym świecie żywy źródła, z których się poczęły.

Świat cały jest kliszą fotograficzną, która odtwarza rysy Paryża.

Na tej kliszy widzimy Paryż, ale w samym Pa-

ryżu nie widzimy go; nie ma czasu nam się pokazać, nie ma czasu dać się nam słyszeć.

Na tej scenie, jaką jest Paryż, aktorzy mówią zbyt szybko. Swym widzom nie zostawia on czasu na widzenie go.

Podróże.

I.

Porównywano nieraz życie do podróży; porównanie stare, ale zawsze trafne.

Ułuda naszych pragnień podczas podróży wyraźniej, aniżeli kiedykolwiek, daje się widzieć. Człowiek podróżujący, jeśli uczuwa pragnienia i zdaje sobie sprawę ze swych uczuć, co chwila chwytą się na gorącym uczynku uludy.

Wyjeżdżając z domu, nie chciałby, gdyby nawet mógł, oszczędzić sobie drogi i dobić do jej celu bez odbycia podróży. Pragnie on, jak ów gołąb La Fontaine'a widzieć... Widzieć? Ale co widzieć? Ja nie wiem, ani ty nie wiesz, czytelniku.

Gdyby na tym padole była choć jedna rzecz godna, abyśmy jej poszukiwali dla niej samej, odebrałaby nam chęć szukania wszelkich innych rzeczy i położyłaby kres wszystkim naszym podróżom. Ale taka rzecz ani mnie, ani tobie, czytelniku, nie jest wiadoma.

Wyruszając tedy w drogę, nasz podróżny cieszy się myślą o niej. W drodze spodziewa się on widzieć.

Gdy podróżuje koleją, zazwyczaj wspomina z żalem dawne dylizanse, widok koni, dźwięk trąbki pocztyliona. Skoro opuści drogę żelazną i jedzie dalej końmi, z utęsknieniem myśli o wygodnym wagonie. Podróż końmi wydaje mu się tak powolna; to też z upragnieniem oczekuje wciąż następnego przepręgu. Komuż nie zdarzało się doznawać owego naiwnego złudzenia, z jakim wyglądamy różnych miejsc i punktów naszej drogi, jakby na każdym jej zakręcie szczęście na nas czekało?

Po przepręgu, ponieważ spodziewane spotkanie ze szczęściem nie nastąpiło, uczuwamy pragnienie jak najprędzszego osiągnięcia celu podróży, a gdy wkońcu stajemy u celu, gdy się przyjechało i wysiadło z powozu, jakieś nieokreślone wrażenie smutku zarysowuje się w duszy.

Bo wszelkie oczekiwanie, jakiekolwiek ono będzie, zawsze jest zawiedzione.

Zawiedzione jest wtedy nawet, gdy zostanie prześcignięte. Bo jeśli świetność i wspaniałość ukazującego się nam widoku przewyższy nasze oczekiwania, to doznajemy zawodu w innym, ważniejszym względzie, przez niedopisanie spodziewanej pełni zadowolenia.

Brzegi Renu, góry Szwajcaryi mogą być piękniejsze, niż sądziłszy, ale nie mogą nam dostarczyć

upragnionych wrażeń, jeśli szukamy pełni zadowolenia.

Życie człowieka upływa na doświadczaniu podobnych uczuć, a on nie zdaje sobie z nich sprawy.

Żadna podróż nie daje mu poznania rzeczywistości zjawisk. Gdy ogląda wspaniałości obcej przyrody, zwraca się myślą do domu opuszczonego, do domu pracy i obowiązku, gdzie tak często w godzinach utrudzenia, lub nudy, gorąco pragnął wyjazdu, a dokąd teraz, gdy w drodze się znajduje, często radby powrócić.

A skoro powróci, jeśli w swej podróży widział tylko rzeczy widzialne, nie ręczę, czy nie dozna wrażenia smutku. Nie będzie to ów smutek, który się pojawił przy wstąpieniu na ziemię obcą; teraz będzie inny. Nie będzie to już smutek podróży, lecz smutek powrotu.

I nie ręczę, czy wkrótce nie zachce mu się nowego wyjazdu, aby inne rzeczy oglądać — a gdy wyjedzie, kto wie, czy nie zapagnie wracać niebawem, aby we własnym znaleźć się domu.

II.

Niewątpliwie człowiek błądzi w tem wszystkim, ponieważ szuka zawsze czegoś, czego nie znajduje, ale na dnie tego błędu, jak na dnie wszelkich błędów, wielka kryje się prawda. Prawdą ową jest podwójna potrzeba, wynikająca z ogólnego prawa bytu:

potrzeba rozszerzania się i skupiania, przypyływu i odpływu.

Jest to potrzeba krwi i serca człowieka; potrzeba dnia i nocy; potrzeba wszelkich harmonii spragnionych, aby wśród słów zjawiało się czasem milczenie; potrzeba oceanu, utrzymującego ruchem nieustannym swych fal burzliwych życie świata, życie tej ziemi, którą oblewa i skrapia, którą pieści, wstrząsa i pochłania. Ten wiekuisty ruch potężnego żywiołu, czyż to nie wierny obraz ruchu, dokonywanego się wciąż w naszym jestestwie — nieustannego skupiania i rozszerzania się, przyływu i odpływu naszej duszy?

III.

Jeśli więc zmienne upodobania człowieka wynikają z zasadniczej właściwości jego natury i są prawdziwą potrzebą jego życia duchowego — dlaczegoż człowiek bywa przez nie w błąd wprowadzony? Dlaczego nie znajduje w nich spodziewanego zadowolenia? Oto dlatego, że zamiast szukać go w świecie niewidzialnym, szuka go w świecie widzialnym. Dlatego, że zamiast go szukać w niewidzialnym a żywym prawie, którego świat stworzony jest tylko symbolem zewnętrznym, poszukuje go w samym stworzeniu, które symbolizuje prawo, lecz nie stanowi jego istoty.

Tym, którego wciąż bezwiednie szuka my, jest
TEN, KTÓRY JEST.

On jest jedyną potrzebą, — a niepokojące uczucie niezadowolenia, które popycha nas w różnych zmiennych kierunkach, nie jest czem innym, jeno bolesnem odczuciem Jego nieobecności.

Lecz, choćbyśmy doścignęli najwyższych szczytów alpejskich i wzbili się wyżej nawet, chciwe oko nie ujrzy Go w otwierających się przed nami nowych widnokręgach. Dziewicze śniegi Himalajów, nie tknięte stopą ludzką, nie drażnione nawet ludzkim spojrzeniem, i one nie oglądały Jego oblicza.

Bo gdyby Je raz ujrzały, zmieniłyby się w strumienie ognia i płomieni.

IV.

Jeśli podróż sprawia nam zwykle zawód i zdaje się być nawet streszczeniem wszelkich zawodów życia, gdy od niej wymagamy tego, czego dać nie może, tj. celu i szczęścia stałego, — to przeciwnie, może ona w zupełności odpowiedzieć naszym oczekiwaniom, skoro zażądamy od niej tego, co leży w jej mocy, to jest nie celu, lecz symbolów i środków do celu wiodących. Podróże w tym względzie cenną przynoszą nam korzyść, że dostarczają bogatego i różnorodnego materiału, ukazują życie w odmiennem świetle, przerywają codzienne nasze przyzwyczajenia, odnawiają w nas niejako soki żywotne i pomnażają wewnętrzne nasze zasoby.

Albowiem tak ubodzy jesteśmy, iż ciągle musimy

żebrac: żebrzemy chleba dla ciała i chleba dla umysłu naszego.

I gdy kraj jakiś w przeciągu dłuższego czasu dawał nam codziennie swe wytwory różnorodne, swe zwyczaje, idee, swe życie i swoją mowę, jeśli dostarczał nam codziennie powietrza i chleba, kraj ten wyczerpuje się dla nas i uczuwamy potrzebę udać się gdzie indziej na żebranie.

A skoro pobędziemy dłużej w nowej okolicy, do której się udamy, z kolei i ta okaże się wyczerpana. Jesteśmy tak wielcy, że nic nie starczy do nasycenia nas, a tak nędzni, że musimy wciąż się uciekać do owych rzeczy niewystarczających i wciąż odnawiać zasoby, które wyczerpują się, ledwo zostały nagromadzone.

Mówią często, że podróż kształci. W znaczeniu, jakie bywa zazwyczaj nadawane temu słowu, wyraża ono bardzo wielkie głupstwo. Zwyczajnie bowiem pod wykształceniem rozumie się bezładny i jałowy zbiór wiadomości o faktach licznych, niczem między sobą nie powiązanych.

Tak pojęte wykształcenie, dostarczone przez podróż, służy tylko do ożywienia rozmowy głupców, karmiącej się zawsze nieskończonemi opowieściami o faktach. Takie wykształcenie temu, który ma nie-
szczęście je posiadać, daje smutną władzę przegniatania swych słuchaczy ciężarem wydarzeń, których on był bohaterem. Takie wykształcenie, gdy jest cokolwiek obfitsze, staje się straszne i radzę

mieć się przed niem na ostrożności. Takie wykształcenie bywa niedorzecznie próżne, bo miłość własna wszędzie znajduje dla siebie odpowiedni pokarm, w najdrobniejszym nawet wypadku podróży. Jedni ludzie szczytą się nieszczęściem, które im się przydarzyło; inni dumni są z nieszczęścia, którego zdolali uniknąć. Są tacy, którzy pełni są dumy z oglądania pięknych widoków i którzy wkońcu gotowiby mniemać, że cała natura jest ich dziełem i że chwała jej piękności im prawowicie przynależeć powinna.

Tego rodzaju wykształcenie nie tylko bywa próżne, często staje się też okrutne. Potrzebuje bowiem słuchaczy, czyli ofiar. Często jest to rzecz prawdziwie okropna mieć do czynienia z człowiekiem, który dużo podróżował!

Jeżeli wszakże podróże dają głupcom wykształcenie, powiększające jeszcze ich głupotę, na innych ludzi oddziaływać mogą w sposób wprost przeciwny. Każdy człowiek bowiem wyciąga z faktów i z rzeczy esencję, będącą wytworem nie tyle samych faktów i rzeczy, ile własnej jego natury. Owóż różne natury ludzkie w rozmaity sposób ulegają oddziaływaniu wpływów wewnętrznych. To, co wzbogaca jednego, innego doprowadza do ruiny; to, co jest ocaleniem Piotra, staje się zgubą Jana. Wszystko, co się zdarza głupcowi, pomnaża jego głupotę; wszystko, co spotka człowieka próżnego, powiększa jego próżność.

Nadewszystko podróże, przez mnogość i różno-

rodność swych składowych żywiołów, dostarczają wrażeń, przystosowujących się ze szczególną giętkością do odrębnej natury każdej jednostki ludzkiej. Niechaj sto tysięcy ludzi wybierze się w tę samą podróż, żaden nie odbędzie podróży tej samej; żaden z nich nie będzie mógł za powrotem powiedzieć, że widział, czynił, czuł, rozumiał, badał, znalazł, ukochał, znienawidził, podziwiał to samo, co inni.

Jeśli razem przybędą na brzeg morza, niektórzy z nich spuszcza od razu oczy ku ziemi i zwrócą ku poszukiwaniu muszelek wzrok swój niezdolny mierzyć się z ogromem oceanu. Są oczy i są umysły, które instynktownie odwracają się od oblicza wszelkiej wielkości i znajdują otuchę jedynie w rozpatrywaniu malej strony krajobrazu, w widoku rzeczy drobnych, uważanych w odosobnieniu od całości.

Są ludzie, którzy zdźbło trawy wzywają na pomoc przeciwko cedrowi Libanu i u kamyka nadbrzeżnego szukają pociechy wobec bezmiarów morza, zamiast te rzeczy wielkie i małe jednym rzutem oka ogarnąć.

Pierwsze spojrzenie tych ludzi poświęcone jest zawsze szczegółom. Pójdźcie za tym wzrokiem, który unika przestworów nieba i morza, a szuka mikroskopu, aby badać mech, wyrastający w załomie skały. Taki wzrok, gdy spotka genialnego człowieka, będzie badał kształt jego kapelusza, a w dziełach geniuszu będzie liczył przecinki w nadziei, że nie doliczy się przynajmniej jednego.

Pewną jest rzeczą, że wielkość widzialnej przestrzeni stanowi symboliczne wyobrażenie innego rodzaju Wielkości. Widnokrąg rozległy, który ogarniamy okiem ze szczytu wyniosłej góry, mówi nam o wyzwoleniu. Stąd nasze wzruszenie. Byłoby ono niedorzeczne, gdyby wzbudzone było tylko przez szeroki obszar widzianej ziemi. Nie jest takie, bo wraz z rozszerzającym się przed nami widnokregiem rozszerzają się mury naszego więzienia. Radosny nastrój duszy na widok rozległych obszarów ma zasadę głęboką. Jest on głęboki, bo jest symboliczny. Stworzeni jesteśmy do bezmiaru, to też dusza nasza rośnie w miarę zwiększania się przestworów nieba i morza naokoło nas. Ich wielkość sama przez się byłaby niczem, ale mówi nam o innej Wielkości — i oto zasługa przestrzeni.

Podobnie wiekowe ruiny mówią nam o wieczności — i oto zasługa czasu. Widnokrąg mówi nam o tem, co nie ma granic — i oto zasługa widnokregu. Podróż jest wędrówką poprzez liczne widnokregi — i oto znaczenie podróży.

V.

Widnokrąg rzuca na głupotę ludzką wyrok potępienia, który pragnąłbym tu wyjaśnić.

Głupcy unikają rzeczy poważnych z obawy, aby ich nie zmęczyły, tymczasem męczą się wciąż błahostkami. Zdobywają się chętnie na nieustanne

a całkiem bezpłodne wysiłki dlatego tylko, że mają one na celu rzeczy błahie i nic nie znaczące. Gdyby te same wysiłki miały cel wielki, ludzie, których mam na myśli, odwróciliby się od nich z niechęcią, mówiąc: — Co nas to obchodzi? — Poddają się dobrowolnie cierpieniom i przykrościom okrutnym, pod warunkiem, żeby były zarazem bezcelowe i głupie, żeby dotyczyły spraw jak najpospolitszych i jak najbanalniejszych: domowych kłótni i swarów, kłótni sąsiedzkich, kwestyi mieszkania, godzin obiadowych, — żeby, jednym słowem, obracały się w dziedzinie nicności. Zwykły filister gotów trudzić się bez miary, byle tylko t. zw. własny kąt był polem jego walki bez chwały; gotów się na śmierć zamęczyć, byle ów własny kąt był sceną jego konania.

A nie chciałby uczynić dwudziestu kroków, aby cośkolwiek uczynić dla jakiejś wielkiej sprawy. Lękałby się utrudzenia, on który dzień i noc dźwiga najcięższe jarzmo, jarzmo własnych przyzwyczajęń i nałogów. Owóż, posłuchajmy, co nam mówi widnokrąg:

Oko ludzkie stworzone jest do przestworzy. Umieśćmy tuż przed nim jakiś przedmiot, nie zobaczy go wcale, nie rozróżni i nie rozpozna. Jeśli przed oknami na kilka kroków wznosi się mur jednostajny, oko nasze go dostrzega, ale nuży się prędko; wzrok jest powstrzymany; widok jest zbyt zacieśniony; organ wzroku nie dosyć ma przestworu.

Jedź na wieś; oko twe odpoczywa, bo widnokrąg

się rozszerza i urozmaica mozaiką barw rozlicznych. Wchodzi na górę wyniosłą; oko twoje więcej doznaje spoczynku, im rozleglejszy krajobraz przed nim się rozciąga. Spójrzaj wreszcie na morze: mimo woli oko twoje ostatecznie się uspokaja i jakby oczyszczone, napawa się zniesieniem bliższych granic; niebo i morze nakazują mu spokój. Oto, co mówi widnokrąg.

Przedmiot tuż przed okiem położony — oślepia je; zbyt blizki — męczy je; daleki — daje mu spoczynek; bezgraniczny — zachwyca je. Wzrok fizyczny jest symbolem innego wzroku.

Rozległość objętych przestrzeni daje spojrzeniu piękność, spokój, siłę i czystość.

Świat.

I.

Co to jest świat? Ten wyraz wstrętny zdaje się nic nie znaczyć, a jednak jest wstrętny. Etymologia nie na wiele nam tu się przyda. *Mundus* po łacinie znaczy czysty, świat jest samą nieczystością. *Κόσμος* po grecku znaczy zarazem świat i porządek. Znaczenie obecne wyrażenia „człowiek światowy” nie wiąże się więc, przynajmniej na pierwszy rzut oka, z łacińskim *mundus*, ani z greckim *κόσμος*. Jeżeli powrócimy do etymologii to tylko uboczną drogą.

Czy świat jest grzechem? Oczywiście nie. Zachodzi tu ogromna różnica. Zapewne, świat jest

w grzechu, ale posiada w nim własną swą dziedzinę; otóż chodzi o to, aby ją poznać, a przynajmniej bliżej oznaczyć.

Zabójca jest grzesznikiem, złodziej publiczny jest grzesznikiem, św. Marya Egipcjanka przed swoim nawróceniem była grzesznicą.

To są grzesznicy; nie są to ludzie światowi.

II.

W Ewangelii napotyka się słowa strachem przejmujące, a wśród nich jedno z najstraszliwszych: *Non pro mundo rogo*.

Nie modłę się za świat. Ten, co tak mówi, przenika rzeczy do głębi i ma umrzeć za grzeszników. A jednak za świat się nie modli. Św. Jan nam to oznajmia. Podczas ostatniej wieczerzy, gdy spoczywał na łonie Chrystusa, w tej chwili uroczystej, gdy ramiona Boga miały być rozciągnięte na krzyżu, podczas owej wieczerzy, w owej chwili, św. Jan słyszał Prawdę odwieczną, mówiącą: „Nie modłę się za świat”. Wiecie także, co powiedziane jest gdzie indziej o ludziach letnich. Nie wnikam do głębi tych dwóch orzeczeń, ale patrząc na świat, jakim się on przedstawia, chciałbym wiedzieć, chociaż w przybliżeniu, o czym się mówi, gdy się go wymienia.

Grzech jest nierządem, nierządem widocznym, otwartym, gwałtownym, pełnym klęsk. Namiętności pozostawiają po sobie ruiny i nie kryją się z tem.

Niekiedy nawet tem się szczycą. Ale wracam do pytania: co to jest świat? Może świat jest grzechem, ochłodzonym przezornością? Może świat jest dziedziną grzechu, zamkniętą w granicach letniej temperatury?

Świat tak daleko się rozciąga, jak daleko sięga
letnie powietrze. Tam, gdzie powietrze staje się
ciepłe lub zimne, świat cofa się zgorzony.

Może więc przez ową letniość stwarza on sobie pozorny ład w swym nieładzie i pozorną czystość w swej nieczystości i wskutek tego we własnych swych oczach uznaje zgodność swej treści z etymologicznem znaczeniem wyrazów *mundus* i *Κόσμος*.

Potrzeba jednak uciec się do ironii, ażeby tę zgodność dostrzedz.

III.

Granica letniości oddziela świat od grzechów, które doń nie należą. W kategorii temperatur letniość odpowiada mierności. Owóż mierność zakreśla przestrzeń świata. Grzesznik ma złe namiętności, a świat smakuje w złem, smakuje w niem spokojnie, bez gwałtownych porywów.

Świat ma upodobania, opinie; nie ma ani miłości, ani nienawiści.

Jego upodobania zwracają się ku rzeczom po-
litycznym; opinie unikają bezwzględności, aby nie
mieć żadnego podobieństwa do przekonań. A szcze-
gólną ich cechą jest to, że nie wykluczają opinii
przeciwnych; mówię opinii, a nie przekonania. Opinie

świata wchodzą w układy z innemi opiniami tegoż świata. Czy są zgodne z sobą, czy też sprzeczne, niemniej przeto żyją w dobrem porozumieniu, zawsze bowiem jest pewien łącznik między nimi: głęboka, choć umiarkowana letniością nienawiść przeciw wspólnemu wrogowi — przeciw Prawdzie.

Opinie świata nawet wtedy, gdy walczą między sobą, związane są przymierzem przeciw Prawdzie. To przymierze jest parodią jedności.

Wszyscy bogowie znajdowali miejsce w Panteonie rzymskim, z wyjątkiem Jezusa Chrystusa; wszystkie opinie znajdują miejsce w Panteonie świata, tylko Prawda jest zeń wykluczona.

IV.

Świat podobny jest do gospody. Niechaj jakkolwiek błąd stanie u jej wejścia, zebrani w niej współbiesiadnicy ścisną się, jak będą mogli, aby mu zrobić miejsce. Ale jeżeli prawda zapuka do drzwi, wszystkie miejsca są zajęte, a nawet niektórzy podróżni z pomiędzy najbardziej wyborowych zostają wypędzeni. *Quia non erat eis locus in diversorio.*

Świat tak ograniczony i zaslepiiony, ma jednak cudowny instynkt, skoro chodzi o rozpoznanie i odrzucenie tego, co mu jest obce. Nie myli się on, mierzy trafnie; wymierza sam sobie sprawiedliwość, skazuje się na wygnanie, gdyż podróżny, którego odtrącił, odchodząc unosi z sobą prawdziwą siedzibę ludzkości.

Świat wypędza siebie na pustynię. Mniejsza o to, że ta pustynia zowie się tłumem, niemniej przeto jest ona pustynią, to jest próżnią, to jest śmiercią.

Pustynia, próżnia i śmierć napelniały Rzym, gdy Jan był na Pathmos. Na Pathmos było życie, siedziba ludzkości. Oto dlaczego św. Dionizyusz podziwiał sprawiedliwość świata, który, jak on mówił, uchodzi z przed oblicza św. Jana.

Świat jest pustynią, po której przechadzają się tłumy. Są one gnane pośpiechem, rzekłbyś: wojsko w odwrocie. A przed czym wojsko to uchodzi? Pędzi ono od czasów Pathmos, pędzi dalej w ucieczce zadyszanej i uchodzi wciąż z przed oblicza św. Jana. Uchodzi w nieładzie, w zamęcie, uciekający zwracają się sami przeciw sobie i w oblędzie swym zabijają się nawzajem, bo walczą wśród nocy. Trwoga ich zaślepia: uchodzą z przed oblicza św. Jana.

To wojsko w odwrocie traci nieraz drogę; błąka się wśród pustyni; widzi przed sobą błędne miraż, lub sny znikome, popychane jest we wszystkich kierunkach, unoszone przez kaprys wiatrów, które rzucają mu piasek w oczy; a jednakże ma ono zawsze stałą dążność: uchodzi z przed oblicza św. Jana. Bezlądny swój zamęt okrywa pozorami ważnych zadań, ale najważniejsze jego zadanie: — uchodzić z przed oblicza św. Jana. Reszta jest mało znaczącym drobiazgiem.

Patrzcie na tych ludzi: biegają oni, krzątają się, sprzedają, kupują, rozmawiają, wiodą spory, pozdra-

wiają się, witają, są grzeczni, uprzejmi, kłamią, pochlebają, oczerniają się nawzajem, rozstają się, zabijają się, tępią, trują się nawzajem. Ale najważniejszą dla nich sprawą jest uchodzić z przed oblicza św. Jana.

Uchodzić z przed oblicza św. Jana, oto ich trud, ich życie wewnętrzne, szpik ich kości, esencja ich wyziewów. Reszta jest drobnostką, ozdobą, strojem, który ulega zmianie, odpowiednio do mody dnia, do kaprysu chwili.

V.

Grzech jest mniej obludny od świata. Daje on widzieć otwartiej, czym jest i co czyni. Świat zawsze kłamie. Nie czyni nigdy tego, co zdaje się czynić.

Świat lubi przedrzeźniać. Jest on małą mądrością; zrobił sobie mądrość na własny użytek; mądrość owa podobna jest do mądrości prawdziwej, jak orangutan podobny jest do człowieka.

Mądrość prawdziwa znajduje pokój na wyżynach, ponieważ panuje nad przeciwieństwami. Mądrość światowa znajduje pokój w dole, w który wpadła, gdyż z dołu owego nie może dostrzedz różnicy między czarnem i białem.

Mądrość prawdziwa usiłuje wszystko jednoczyć. Mądrość światowa usiłuje mieszać pierwiastki, nie mogące się połączyć i gdy je pomieszała bezładnie, sądzi, że je spoiła. Sądzi ona, że współmieszkanie jest to samo, co zjednoczenie.

Człowiek światowy nie lęka się źle czynić, ale

lęka się postępować niewłaściwie. Nie zna on harmonii, ale zna konwenanse.

Konwenans zastępuje w życiu światowem harmonię.

Świat lubuje się w nienawiści, ale trzeba, żeby ta nienawiść miała letnią temperaturę salonów i unikała wybuchów. Musi ona posługiwać się pewnemi kłamstwami. Skoro kłamstwo przyjdzie jej z pomocą, nienawiść może występować w świecie z pewnością siebie osoby dobrze wychowanej.

Skoro nienawiść przywdzieje strój właściwy, jest wtedy w zgodzie ze światem; zastosowała się do jego przepisów i może wejść śmiało.

Prawem świata jest błahość. Jeżeli człowiek wyższego ducha znajdzie się przypadkiem w świecie, musi koniecznie uczynić się blahym, bardziej nawet blahym od innych, inaczej staje się podejrzany. Jeśli zdoła przytłumić w sobie wszelką prawdę i wszelkie światło, może być znoszony przez chwilę. Ponieważ jednak istota rzeczy nie może przez dłuższy czas sprzeniewierzać się własnej swej naturze, nadejdzie chwila, gdy świat w swej przezorności odwróci się od niego, a w swej sprawiedliwości rozdzieli się z nim.

Błahość tak jest droga światu i tak mu potrzebna, że nawet samo zło, chociaż z natury swej jest mu sympatyczne, traci jego sympatyę, skoro przymiesza się doń pierwiastek dobra i rozrywa ten krąg, który śmierć nakreśliła dokoła świata.

Jeżeli zło, zmodyfikowane przez jakieś szlachetniejsze poruszenie, unosi się i wybucha, wtedy może

ono pozostawać w dziedzinie grzechu, ale wykracza już poza dziedzinę świata.

Świat lubi zło, ale lubi je osłodzone, uróżowane, wyczesane starannie, ubrane wedle ostatniej mody. Lubi on grzech, ale lubi go czyściutkim, grzecznutkim i wymuskany.

W dziedzinie grzechu kłamie się dla interesu, dla namiętności, przez wstyd, przez trwogę. W dziedzinie światowej kłamie się bez interesu, bez namiętności, bez wstydu i bez trwogi. Ludzie kłamią dlatego, że są ludźmi światowymi, kłamią przez miłość własną, przez próżność, kłamią przez oziębłość, a wreszcie kłamią, aby kłamać. Kłamstwo jest powietrzem, którem oddychają, jest nieodłączne od ich słowa.

Coby mówiono w świecie, gdyby nie kłamano?

Grzesznik, skłamawszy raz, może potem powiedzieć prawdę.

Ale świat, skłamawszy raz, kłamie dalej; kłamie nawet, gdy mówi prawdę. Prawda staje się kłamstwem, dotknąwszy jego ust. Kiedy bowiem świat mówi prawdę, sądzi, że wygłasza mniemanie podobne do innych mniemań, chcąc, aby ta prawda otoczona była kłamstwem i w dobrem żyła z niem porozumieniem. Pragnie ją zbeczczyć haniebnem sąsiedztwem, a skoro ją zbrukał tak, iż poznać jej nie można, wtedy ją toleruje, bo stała się kłamstwem; — a to kłamstwo tem jest cenniejsze, iż daje schronienie innym kłamstwom, osłania je swoją powagą, sprawia, iż tracą one cechy zbyt wyraziste,

ostre i gwałtowne. Ta prawda, stojąca się kłamstwem przez swój ton, przez swój akcent, przez swe otoczenie, przez zestawienie, dokonywa ostatecznego zmieszania dobra i zła, a ludzie światowi są wtedy zadowoleni.

Kiedy człowiek światowy mówi prawdę, przybiera względem niej ton protekcyjny. Rzekłbyś, iż czyni ustępstwo na rzecz prawdy, czyni je przez bezstronność. Rzekłbyś, iż przez litość udziela na chwilę prawdzie miejsca w swej mowie. Obdarza ją tym zaszczytem, ale natychmiast każe sobie zań zapłacić, upodabiając prawdę do kłamstwa, które wnet odzyskuje swe prawa.

Pozór bezstronności jest to najniebezpieczniejsze sidło, które oziębłość zastawia na ludzi, a świat lubi bardzo posługiwać się tem sidłem. Nędznik! chce udawać sprawiedliwego. Nic nie oszukuje z większą siłą i powagą, jak prawda źle powiedziana. Nadaje ona wtedy otaczającym ją błędom wagę, której one same prze się nigdyby nie miały, nakazuje poszanowanie dla nich. Mieszanina prawdy i błędu w ustach świata wywołuje fatalne następstwa; daje prawdzie pozór błędu, a błędowi pozór prawdy; pozwala błędowi uczestniczyć w szacunku należnym prawdzie.

Prawda w ustach człowieka światowego jest tak ściśle zjednoczona z błędem, że nie można ich od siebie odróżnić. Ściska się z nim serdecznie, a krótkowidze biorą je za rodzeństwo.

VI.

Świat to starość. Trudno sobie wystawić, jak starzy są ludzie światowi; szczególnie młodzieńcy światowi uderzają swoją zgrzybiałością, gdyż jest ona w nich potworniejsza i wyrazistsza. Wszyscy ci starcy dwudziestoletni, bez entuzjazmu i bez wyższych pragnień, uciekają z przed oblicza św. Jana, ucieczką ociężałą, powolną, smutną i nędną. Wloką się w tej ucieczce po drogach, gdzie niema swobodnego oddechu, ani powietrza, ani widnokręgu. Aby ująć z przed oblicza św. Jana, odwracają się od Boga, załatwiają swe sprawy bez przejęcia i nudzą się wiekuście.

Niewątpliwie istnieje tajemnica odmładzania; ta tajemnica należy do Boga, który rozwesela młodość. Bóg jest władcą czasu; czas zatrzymuje się, gdy On przemawia, jak woły stają skamieniałe w chwili uderzenia piorunu. Bóg, władca ognia, jest stróżem młodości. W swej młodości wiekuistej Panna święta, umiłowana od Boga, nie zaznała nigdy umniejszenia; wyszła z dzieciństwa, nie wyszła nigdy z młodości. Młodość jest jako skarb, który Bogu tylko może być powierzony, gdyż żadna inna ręka nie ma dość siły do utrzymania go. To też nieprzyjaciele Boga nie cierpią młodości, jak gdyby widzieli w niej odblask Tego, który jest im najbardziej nienawistny. Nie cierpią młodości i zamiast ją utrzymywać, przez moc Przedwiecznego, kiedy czas usiłuje ją porwać, oni błagają go owszem o przyspieszenie kroku, o jak

najprędsze zabranie jej. Świat nienawidzi młodości, prawdziwej młodości. Lubi wydawać się starym i być starym; nawet dzieci czyni starcami.

VII.

Nie sądźcie, aby duch światowy zamykał się wyłącznie w salonach i w innych miejscach, które w mniemaniu ogółu są jego dziedziną. Salony, jeśli jest w nich życie mogą być próżne świata, a pełne prawdy, a świat może zapełniać i zapełnia swoim bezecenstwem domy odosobnione, opustoszałe, niegościnne, ogniska wygasłe, gdzie niechętnie widzą obcego przybysza, siedziby wstrętne, które pozbawiają ludzkość komunii miłości.

Na wybrzeżu bretońskim, gdzie podczas lata zbiera się drobna garstka gości kąpielowych, a w zimie zupełna prawie panuje pustka (kilka zaledwie rodzin rybackich zamieszkuje tę pustkę, gdzie pożywanie trudne jest i nędzne), na tem wybrzeżu rozmawiałem pewnego dnia z wieśniaczką, która powierzyła mi chęć swoją opuszczenia świata. Podziwiałem głębookość jej słów, znajomość świata we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Świat mógł się znajdować w jej chacie tem wstrętniejszy, że tuż obok niego roztaczał się przestwór Oceanu. Być może, iż brzęczenie roju ludzkiego wydało jej się bardziej jeszcze odrażającym w porównaniu z uroczystym szumem fal.

VIII.

Prawem świata jest niwelacja ogólna. On, co nie lubi, lubi jednak równy poziom, pragnie on wszystkie głowy zrównać w swoim jarzmie, a jego sympatya zwraca się przedewszystkiem ku ludziom z natury niskim. Wszelka wielkość jest mu nienawistna, jakiegokolwiek byłaby rodzaju i w jakimkolwiek objawia się miejscu. Mierność ma dla niego szczególny urok. Świat otwiera jej niezwłocznie wszystkie drzwi, do których klucz posiada i wchodzi ona przez nie z pewnością siebie, jaką daje poczucie praw przynależnych. Jest ona u siebie, gdy jest w świetle i zachowuje się względem innych z nadętością, stanowiącą jej znamię charakterystyczne, a z zaślepieniem, będącem cechą świata. Mierność z natury jest nadęta, jak świat z natury jest zaślepiony. Jeśli cokolwiek dzieje się w ich sąsiedztwie, mierność rzuca obelgi, a świat zamyka oczy.

Upodobanie świata w niwelacji tak jest wielkie, że, aby pozyskać jego względy, nawet w tym kierunku nie trzeba iść za daleko. Nie trzeba zbyt ściśle wstępować w jego ślady. A przedewszystkiem nie należy go prześcigać w jakimkolwiek względzie; nawet na jego własną korzyść nie należy wykraczać poza obręb jego obyczajów. Letnia oziębłość jest jego żywiołem; a ktokolwiekby wyszedł z tej dziedziny, ściągnałby na siebie jego niełaskę. Nie należy o jego dobro dbać więcej, aniżeli on sam dba o nie; miałoby się wtenczas pozór, że się jest czemskol-

wiek, a trzeba mieć koniecznie pozór, że się jest niczem. Można by się wyróżnić wtedy od swego sąsiada, a trzeba być doń najzupełniej podobnym.

Ponieważ charakter ludzi światowych polega na braku wszelkiego charakteru, bezbarwna mnogość jest ich żywiołem. Zajmują się oni mnóstwem różnych rzeczy: kupują, sprzedają, rozmawiają, czytają, piszą itd. itd. Jakież związku jest między czynami człowieka światowego? Można by sądzić, że go niema zupełnie: czyny jego następują po sobie, nie tworząc jednego łańcucha. Jakież związku łączy ludzi światowych. Można by sądzić, że niema pomiędzy nimi żadnego związku. Ocierają się oni o siebie, a nie zbliżają się ze sobą. Jest jednak jeden punkt styczny, jest hasło łączności. Rzekliśmy wyżej, że sprzymierzenie jest parodią jedności. Ludzie światowi nie są przyjaciółmi; są sprzymierzeńcami. Jedność żyje miłością; sprzymierzenie żyje nienawiścią. Sprzymierzeńcy są to nieprzyjaciele prywatni, łączący się przeciw nieprzyjacielowi publicznemu. Ludzie światowi żywią wspólną nienawiść, która określa im wspólne zadanie i oznacza punkt środkowy ich działalności.

Świat miał tysiące zajęć, podczas gdy orzeł na Pathmos pisał swą Apokalipsę. Ale pomimo tych tysiącznych zajęć miał właściwie jedno tylko zajęcie: unikać i zapomnieć Pathmos. Ludzie światowi mają tysiące interesów, ale właściwie mają jeden tylko interes, bo mają jedną wspólną dążność i wspólną troskę: uchodzić z przed oblicza św. Jana.

Obojętność.

Oto prawda i fałsz stają naprzeciw siebie.

Jakże często ludzie zarzucają prawdzie brak tolerancyi. Porozumiejmy się w tym względzie.

Słyszając podobne opinie, można by mniemać, że prawda i fałsz są to dwie rzeczy sobie równe, niby dwie królowe jednako prawowite, które powinny żyć w pokoju, każda w swoim królestwie, lub dwa bóstwa, dzielące się panowaniem nad światem, z których żadne nie ma prawa wkraczać w dziedzinę drugiego.

Wynikiem takich mniemań jest obojętność, tryumf szatana; nienawiść jest mu miłą, ale mu nie wystarcza; potrzebuje on obojętności.

Obojętność jest szczególnym rodzajem nienawiści; jest nienawiścią zimną i wytrwałą, która pod maską tolerancyi kryje się przed innymi i sama przed sobą; bo obojętność nigdy nie jest szczerą; jest to nienawiść, pomnożona przez kłamstwo.

Ażeby wyrzucić codziennie cały potok obelg przeciw prawdzie, potrzeba pewnego zasobu stanowczej

energii, obcej ogółowi ludzi. Najbardziej stanowczą cechą ich charakteru jest właśnie brak wszelkiej stanowczości. A jednak nienawiść wyraźna i głośna, ze względu na grzech pierworodny, prędzej może być zrozumiana, aniżeli nienawiść milcząca. Błuźnierstwo, wychodzące z ust ludzkich, nie jest rzeczą najdziwniejszą. Oto grzech pierworodny, oto wolna wola człowieka, — i bluźnierstwo jest wyjaśnione. Ale co w najwyższe wprawia mnie zdumienie, to neutralna obojętność wobec zła i dobra.

Chodzi tu o przyszłość doczesną i o przyszłość wieczną wszelkich istot, obdarzonych rozumem i wolnością. Chodzi o nas samych, o naszych bliźnich, o ludzkość całą. Jeżeli więc dbasz choć trochę o los własny i o los innych ludzi, jakże wielkie, jak święte masz przed sobą zadanie! Jeżeli żywy jesteś, podniecaj w sobie życie! Weź własną duszę i nieś ją w bój! Weź swe pragnienia, myśl swoją, modlitwę swoją, miłość swoją! Chwytaj za narzędzia, jakich użyć umiesz i całą swą istotą, ze wszystkim, co posiadasz, rzucaj się na szalę, na której każda rzecz ma swoją wagę!

Jeśli jesteś śpiący, obudź się!

Jeśli jesteś martwy, powstań z martwych! Szukaj w twym życiu przeszłym, w twym życiu zaginionym najlepszych wspomnień. Wspomnij świeżą woń rosy porannej, którą niegdyś musiałeś oddychać i zobacz, czy będziesz miał siłę powiedzieć: Co mi tam!

Postawiony między płomieniem miłości i płomieniem nienawiści, musisz się skłonić ku tej lub ku tamtej stronie.

Wiedz o tem! — nie do człowieka wogóle, lecz do ciebie w szczególności zwraca się to wezwanie, bo wszystkie siły moralne, umysłowe i materialne, pozostające w twojej mocy, są to oręża, które Bóg złożył w twoje dłonie, dając ci wolność użycia ich dla Niego, lub przeciw Niemu. Jest więc nieodzownie do walki zniewolony; chcesz, czy nie chcesz, walczyć musisz, pozostawiono ci tylko możliwość wyboru między obozami.

Gdy Chrystus na świat przyszedł, musiał się wszystkiego u ludzi dopraszać, uczyniwszy się najuboższym z ubogich. Prosił o miejsce, gdzieby się mógł narodzić, odmówiono Mu — zajazdy były przepełnione: tylko uboga stajenka dla niego się otwierała. Prosił o miejsce, gdzieby mógł żyć, odmówiono Mu; Syn Człowieczy nie miał gdzie głowy złożyć. A gdy godzina śmierci wybiła, nie znalazł na ziemi miejsca, gdzieby mógł skonać; zawisł między niebem i ziemią — na krzyżu.

Owóż ten, co prosił niegdyś, i dzisiaj prosi. Doprasza się miejsca dla swego narodzenia. Ludzie, co zapełniali zajazdy, nie ustępując miejsca Jezusowi, i odesłali go, by się rodził między wołem i osłem, jakże doskonale wyobrażają niewysłowioną błahość i pospolitość drobnostek, którym rodzaj ludzki wciąż się poświęca w ofierze całopalnej!

tów, skoro chodzi o rzeczy widzialne. Wiedzieć wszakże, że choroby i chorobliwe wegetacje ciała ludzkiego są następstwem owych potworności niewidzialnych, które Apostoł zowie dodatkowymi wytworami grzechu. Pomyślcie, że cierpienie fizyczne, którego okropności bezpośrednio odczuwacie, jest skutkiem i odbiciem błędów i zła niewidzialnego.

Czemże więc jest błąd, skoro takie płodzi potomstwo?

A teraz osądź, czym jest obojętność, która żąda istnienia błędu. Ja nie śmiem o tym myśleć.

Szatan jest księciem nudy, rozpaczy i wszelkiej boleści. Bóg jest panem radości. Niechże obojętność przyjrzy się sobie i niech się osądzi.

Oto obojętność teoretyczna i dogmatyczna.

Co do obojętności praktycznej, ta mniej więcej w taki sposób przemawia:

„Tak, mam w sobie zarazę. Bardzo to jest możliwe, że owa zaraza jest skutkiem błędu i grzechu. Pewnem jest, że znajduję się na drodze do śmierci; być może, iż kroczę prostą drogą do piekła i że to wszystko z grzechu pochodzi.

„Prawda, nudzę się, wrażliwość moja przytępia się z wiekiem i śmierć niebawem nadejdzie. Jest to myśl bardzo niemiła. A jednak gdyby Bóg żądał, abym porzucił te rzeczy nudne, jednostajne, kłamliwe, zamierające i martwe, prowadzące mnie do rozpaczy doczesnej i do rozpaczy wiecznej; gdyby żądał, abym je zamienił na życie, radość i szczęście,

odmówiłbym niewątpliwie; nie chciałbym nawet słyszeć tego wezwania. Wolę moje zajęcia i rozrywki, które mnie nudzą śmiertelnie. A więc idź precz, mistrzu zachwyków, władco! Idź precz radości słońce, wschodzące w falach purpury i złota! Precz majestacie! Precz blasku promienny! Idź precz Ty, który w ogrodzie Oliwnym krwawym oblałeś się potem! Idź precz Ty, który przemieniłeś się na Taborze! Precz! precz odemnie! Idę do klubu, gdzie nudzę się zwykle“.

— Dlaczegoż tam idziesz?

— Idę, bom przywykł.

Szaleństwo.

Wiele jest szaleństw i wielu szaleńców godnych uwagi. Rozliczne bywają szaleństwa.

Wszelako jeśli przypatrzymy się sprawom świata tego, dojrzymy przemagający w nich rozsądek pozytywny. W żadnej epoce ludzie nie umieli tak dobrze, jak dziś liczyć się ze swym pozytywnym interesem. Nigdy człowiek nie patrzył na życie w sposób bardziej prozaiczny i realistyczny.

Uniesienia, któremi ongi ludzie się powodowali, uniesienia poetyckie, choćby krasomówcze, odrzu-

cane są dziś jako zwietrzała starzyzna. Są to rzeczy nie z tego czasu. Człowiek nowoczesny, młodzieniec nowoczesny, rzekłbym nieomal: dziecko nowoczesne, rządzą się przedewszystkiem wyrachowaniem, mając zawsze na widoku własny swój pożytek. Młodzian dzisiejszy liczy, waży, mierzy, nigdy niczemu porwać się nie daje. Entuzjazm wydaje mu się prostą nierozwagą, w dodatku czemś przeżytem, obcem naszej epoki. Lękałby się iść za głosem, który ongi wzbudzał w ludziach entuzjazm, a który dzisiaj nie zapali nawet głowy gimnazjalisty.

Trzeba się z tem zgodzić: uniesienia, zachwyty wyszły z mody. Jest to staroświecki strój, którego nikt dziś nie nosi. Wszędzie wyrachowanie, cyfra stała się królową świata: mówię cyfra, nie liczba, bo liczba, to prawo matematyczne. Ma ona naturę duchową i może nawet porywać umysły ludzkie. Cyfra, to zastosowanie liczby do ducha utylitarnego, do szczegółów życia.

Owa panna, która podczas balu oznaczała na swym karneciku tancerzy cyframi ich majątków, i wedle nich wyliczała ilość wydatkowanych uprzejmości, ta młoda panna dość dobrą jest przedstawicielką dzisiejszego społeczeństwa.

Owóż rzecz osobliwa, dlaczego w tym świecie dzisiejszym, który sam sobie zda się tak rozsądny, albowiem jest zimny, — dlaczego w tym świecie, owładniętym cyframi i rachunkami, tak wiele, tak często mówi się o szaleństwie? Dlaczego? — Nie

pomimo oziębłości, ale właśnie z powodu oziębłości naszych czasów, szaleństwo wybucha w nich, jak bomba.

Uczucie ludzkie bierze swój odwet, odpychano go, zapędzano do kąta, pogardzano nim, pomiatano, obrzucano go ironią, przyduszano cyfrą. Zdało się już martwem, ono było tylko ranione. Wykrzywione, wykołajone, nie mogąc znaleźć właściwej swej drogi, wpada na drogę szaleństwa. Nic niema na świecie mądrzejszego, jak zapał.

Nic niema niemądrzejszego, jak oziębłość.

Pod oziębłą powierzchnią śpią niezupełnie zgaszone płomienie, które czasem niespodzianie wybuchają.

A ponieważ sen ich był chorobliwy, więc i zbudzenie bywa chorobą.

Miernosc chwyta się namiętne poziomów, wodzi ona nożem po wszystkich głowach na tej samej wysokości, a jeśli jaka głowa wznosi się nad poziom, bywa ścięta. Jedno jest tylko prawo w kodeksie mierności, a nie dopuszcza ono żadnych wyjątków. Jest to prawo zakazujące wszelkiego rośnięcia.

Człowiek średnich poziomów mówi, że nade wszystko ceni zdrowy rozsądek, ale czy wiecie, co rozumie przez zdrowy rozsądek? Rozumie przezeń zaprzeczenie wszelkiej wielkości.

Człowiek średnich poziomów nigdy nie wznosi głowy, z wyjątkiem jednej okoliczności. Spojrzy czasem w górę na wznoszące się nad nim głowy, aby się z nich wyśmiewać. Ponieważ jednak sama natura rzeczy nie znosi powszechnej niwelacji, przeto

niezwycięzalna nierówność, niezwycięzalna niejednostajność, będąca prawem wszech stworzeń, protestuje i bierze swój odwet.

Że jednak w danym wypadku poczucie wielkości jest sfalszowane, zamiast piękna, zjawia się choroba, a tą chorobą: mania wielkości.

Pomiędzy szaleństwami współczesnymi jest spora liczba takich, co się dają podciągnąć pod to określenie manii wielkości.

Ta mania to potrzeba rośnięcia, potrzeba wielkości, potrzeba, którą chciano zabić, a którą tylko zraniono; ogłuszona ciosami, które jej zadawano, powstała z upadku chora i w odurzeniu rzuciła się pędem na drogę szaleństwa.

Człowiek nie samym chlebem żyje: żyje też pragnieniem.

Odejmijcie mu pragnienia zdrowe, a zostanie owładnięty szalonemi pragnieniami; pragnienie, to oddech duszy. Skoro oddech jej zatamowany, gdzie może, szuka ona powietrza do oddychania.

Skoro prawowite, zdrowe pragnienie wielkości od młodych lat tamowane jest przez mierność, która poniża i chciwość, która rachuje, człowiek w tych warunkach wyrosły, zwraca się do wielkości fałszywych i do szalonych, błędnych pragnień.

Woli się pograć z niemi w nedorzecznosci, aniżeli w nicości, zapada się często w szal obłądny.

Aby nie być podobnym do całego świata, stara się od niego wyróżnić nedorzecznnością.

Ktoś zwiedza dom obłąkanych. Jeden z obłąkańców przewodniczy mu i rozmawia bardzo rozsądnie. Nagle wręcza mu list, zaadresowany do władz cywilnych i wojskowych.

— Proszę je uprzedzić, — mówi, — że jestem Ludwikiem Filipem, królem Europy, tutaj uwięzionym.

W szpitalach wariatów mnóstwo takich królów, inni uważają się za bogów. Bez liku tam znajdziecie zbawców świata. Jeden jest Bogiem Ojcem, drugi Bogiem Synem.

Każdy ma swą specjalność. Każdy czyni rzeczy olbrzymie i wszystko, co do niego należy, ma rozmiary monstrualne. Zamęt bierze swój odwet i pędzi wierzchem na szaleństwie.

Jest to uczucie wielkości, co głowę utraciło i rzuca się, jak zwierze ranione, rozwścieczone, raniąc wszystko, co napotka na swej drodze.

Mierność obawia się uczucia religijnego, jako zagrażającego rozumowi powszechnemu. Człowiek miernej duszy ulega Wolterowi, ale powstaje przeciw wszelkiej wierze. Jego hasło to krzyk Joaba: Śmiały tylko przeciw Bogu!

Jeżeli w coś naprawdę silnie wierzycie, myśli on, że jesteście zagrożeni obłądem. Lituje się naprzód nad wami: — szkoda, dobry człowiek.

Odpowiedzcie mu: — uspokój się przyjacielu, nie obawiaj się o nas.

Najpewniejsze ubezpieczenie rozumu, to wiara. Zaspakaja ona potrzeby uwielbienia i chroni ją od

zboczeń. Skoro jednak człowiek nie wie, gdzie jest Bóg, zdarzyć się może, że samego siebie uzna za Boga.

Nie bierzcie mię za wroga rozumu. Uznaję jego prawa, czczę je i głoszę. Rozum ma swój byt realny, przyrodzony, osobisty, wyraźny. Ale oto, co mi się wydaje rzeczą istnie wspańiałą. Jakkolwiek potężny i wyniosły, rozum ma ulegać wierze, co się ponad nim wznosi. Im więcej ma tej uległości i spokoju, tem jest większy; im bardziej przeciw niej się burzy, tym bardziej się pomniejsza. Skoro całą siłą przeciw niej powstanie, pada raniony własnym swym grotem.

Ma on swe istnienie samodzielnie i w teorii może być zupełnie samoistny, ale w praktyce wystrzegajcie się tej samoistności, wpadającej w samouwielbienie. Wtedy blizki on jest uznania się za bóstwo; a wspomnijcie na rok 93!

Kojarzenie się pojęć.

Są kłamstwa wyraźne, zupełne wedle swej formuły, które świat obiegają; ale są też kłamstwa nieokreślone, poniekąd dwuznaczne, które prześlizgują się po świecie w rozmowach, w książkach, w zwyczajach tego wszystkiego, co nazywają życiem, a co w rzeczywistości jest śmiercią. Te ostatnie kłamstwa panują na świecie; a polegają one na fałszywym kojarzeniu pojęć.

Człowiek rzadko kiedy powoduje się świadomem rozumowaniem, dobrem czy złem; takie rozumowanie tkwi zazwyczaj w jego umyśle w postaci martwej formuły; ale siła żywa, przez którą człowiek działa, jest to kojarzenie się pojęć, rozumowanie bezwiedne a przemożne, na mocy którego dane pojęcie wywołuje w naszym umyśle inne pokrewne sobie pojęcie.

Kojarzenie się pojęć (mam tu na myśli kojarzenie mimowolne, nagłe, bezwiedne, nieuniknione) wywiera swe panowanie nie nad tem, co nazywamy czystym rozumem, lecz nad wyobraźnią, władzą po-

teżną, która wywiera swe działanie w dziedzinie życia, albo w dziedzinie śmierci.

Przywołajcie na pamięć znane wam osoby i rzeczy; zobaczycie, że postacie, w jakich się one wam przedstawiają, zarysowane są nie przez rozumowanie, lecz przez wyobraźnię. Zapytajcie waszych wspomnień. Przekonacie się, że sprawiedliwość nie warunkuje ich trwałości: pewien człowiek mógł postąpić źle, a pozostawił po sobie korzystne wyobrażenie; inny człowiek postępował dobrze, a zapomnieliście o nim.

Siedlisko tych zboczeń jest w wyobraźni. Przyzwyczajiliście się wierzyć, że zbrodnia może mieć znamię wielkości, że są kłamstwa wzniosłe i że praktyka uczciwości jest rzeczą pospolitą.

Takich rzeczy nie uczą was wprawdzie, lecz wam je zaszczepiają powoli; nie udowadniają ich rozumowi, lecz je przedstawiają w romansach i dramatach waszej wyobraźni, która je przyjmuje.

Władza wywierana na nas przez wyobraźnię przechodzi wszystko, co o tem można pomyśleć i powiedzieć. Niejeden człowiek, porwany przez namiętność gwałtowną i na pozór głęboką, trwałą, nieśmiertelną, będzie głuchy na rady przyjaciół, na prośby rodziny, na wszelkie zakłęcia, lzy i groźby; a z odurzenia tego zbudzi go może najdrobniejsza okoliczność, jedno słowo, jeden gest, pewne skojarzenie pojęć, jakieś wspomnienie, żart jakiś lub poczucie śmieszności. Oto wyobraźnia rozplamie-

niona przez walki stoczone w jego duszy, została nagle zgaszona przez powiew lekki, który niewiedzieć skąd zawiął i kędy uleciał.

Jeśli będziecie wmawiali młodzieńcowi doktrynę, że pięknie jest popełnić zbrodnię — nie uwierzy wam. Ale jeśli przedstawicie mu w różnych utworach literackich wzniosłych zbrodniarzy i pospolitych pocziwców, młodzieniec przyzwyczai się do myśli, że chcąc być wielkim trzeba popełnić wiele złego w życiu.

Mowa ludzka, będąca uczestniczką wszelkich spraw ludzkich, zawiera wyrażenia, świadczące przeciw człowiekowi w sposób straszliwy. Kiedy młodzieniec popełnił na drodze swego życia mnóstwo głupstw, gdy utracił wiele czasu, gdy narobił długów, gdy jest głupi, niedowarzony, nieużyteczny i znużony, wtedy mówią o nim, żył wiele.

Należałoby raczej powiedzieć, że wiele marł. To, co robił, jest niczem, a więc nic nie robił. Życie jego było fermentowaniem nicości; a nicość wydać mogła tylko nicość; potem nadeszła nuda i oto wszystko.

Z korzenia nicości wyrasta kwiat nudy i owoc rozpaczy.

Rozpacz to nuda, dochodząca do swej dojrzałości: to też ci, którzy żyli wiele, w końcu częstokroć się wieszają i znajdują nierzadko naśladowców. Samobójstwo wchodzi w zwyczaj, staje się zarazą; nic w tem niema dziwnego: to nicość, która postępuje swoją koleją.

Skąd więc pochodzi to wyrażenie: *dużo żył*? Pochodzi z fałszywego skojarzenia pojęć. Zrodziło się z ukrytego kłamstwa. Zrodziło się nie w rozumie, lecz w wyobraźni, która przyzwyczaiła się kojarzyć obraz życia z obrazem nierządu.

Wyobraźnia odwykła od łączenia idei *piękna* z ideą *dobra*.

Pragnąłbym na ten fakt zwrócić uwagę czytelnika. Posiada on doniosłość niezmierną, jest prawie powszechny, bijący w oczy, a zarazem ukryty. Wyobraźnia odwykła od łączenia idei *piękna* z ideą *dobra*. Skoro do tego doszło, zdarza się to, na co patrzymy. Skoro te dwie idee przestaną się łączyć, ludzie stają się skłonni mniemać, że świetny blask życia i czystość jego nie spotykają się razem i że trzeba wybierać między niemi.

Wyobraźnia pociąga oszukanego w kierunku fałszywych blasków i na dnie przepaści znajduje on obrzydzenie, które go tam oczekiwało.

Świat wewnętrzny wyobraźni znajduje swe odbicie w świecie zewnętrznym sztuki. Sztuka jest jedną z sił, które przyczyniły się do zepsucia wyobraźni ludzkiej, bo sztuka wyrzekła, że *zło* jest pięknem.

Sztuka powinna stać się jedną z sił leczniczych wyobraźni; powinna wyrzec, że *zło* jest brzydotą.

Sztuka straciła zupełnie głowę. Poszukiwała swych typów w dziedzinie mroków, zapominając, że słońce jest prawdziwą jej ojczyzną, kusiła się o apo-

teozę *zła*, wysławiała swym głosem zhańbionym samobójstwo i cudzołóstwo, oddzieliła wreszcie piękno od prawdy, a w końcu zwróciła się przeciw samemu *pięknu*. Po odrzuceniu prawdy, będącej jej korzeniem, uderzyła na *piękno*. Nosząc śmiertelne rany we własnym sercu, sama zapragnęła się dobić. Wytłómaczywszy ludziom, że *nierząd*, czyli *fałsz*, stanowi *piękno*, zawołała w konsekwencji swego szaleństwa: *Piękno jest w brzydocie*.

Trzeba nam ją rozważyć, tę logikę szaleństwa. Idźmy za niem krok w krok. Gdyby człowiek łączył zawsze w swym umyśle *piękno* z *dobrem*, *piękno* pozostałoby pięknem, *dobro* pozostałoby *dobrem*: człowiek, będący wierny jednemu, czułby, że jest zarazem wierny drugiemu. Ale skoro człowiek sam powiedział i pozwolił mówić sobie, że *piękno* musi się znajdować tam, gdzie *niema dobra*, w śmiałych zbrodniach i efektownych skandalach, że *nierząd* i *geniusz* są jednym i temsamem, — wtedy człowiek, sądząc, że *idea piękna* i *idea dobra* są sprzeczne ze sobą, doszedł wkońcu do wniosku, że *piękno* jest w sprzeczności samo z sobą i powiedział: *Piękno jest w brzydocie!* Wspaniały hołd, oddany jedności przez tych, którzy zatracili o niej pojęcie! Dowiedli nam, że *idea piękna*, gdy nie jest skojarzona z ideą *ładu*, *prawdy* i *dobra*, zaprzecza sama sobie i siebie samej nie rozpoznaje. Dowiedli nam, że gdy człowiek pragnie uchwycić *piękno* odłączone od *ładu*, skojarzone z *nierządem*, *piękno* ucieka

w nieskończoną dal i mroźne widmo brzydoty pozostaje w ręku zawiedzionego człowieka.

Zło i brzydota tak są z istoty swej identyczne, że wszędzie szukają się nawzajem, dążą do zjednoczenia, i człowiek, który zaczyna od przekonania, że piękno jest w złem, powie wkońcu: piękno jest w brzydocie! Pociągnięta siłą rzeczy mowa jego zmuszona jest, zastępując jedno słowo przez drugie, uznać synonim, którego on nie dostrzegał, identyczność, która uszła jego baczności.

Przez pewien czas fałszywe skojarzenia pojęć wytwarzają sprzeczności, które nie śmia się dać poznać. Następnie, w danej chwili, gdy błąd dojrzeje zupełnie, słowo wybucha i nedorzecznosc zdradza swe imię.

Czyż nie wmawiano nam, że pokój i pogoda przypominają śmierć, a zamęt burzliwy jest cechą życia? Jest to głos słabości, chcącej nas przekonać, że pełna jest siły żywotnej. Nie mogąc uleczyć się ze swej gorączki, słabość poczęła ją uwielbiać i pokazała ją światu, mówiąc: Oto życie! — i świat to słyszał i ci, co nie mieli gorączki, poczęli udawać gorączkę, mniemając, że udają zapal. Zapomnieli o tem, jak zimne są dreszcze.

Sztuka grecka nie знаła tego rodzaju szaleństwa. Cała jej piękność jest w spokoju. Ale jej spokój nie jest spokojem zakończenia, spokojem ostatecznym, spokojem rozwiązania. Nie jest to spokój istoty, która doznawała gniewu i która go się wyrzekła:

jest to spokój tego, który nie był jeszcze w gniewie.

Zadaniem sztuki jest przygotowywać harmonię, która jeszcze nie istnieje, przez zwierciadlane jej odbicie. Łączy ona żywioły, będące jeszcze w walce wśród życia, lecz dążące już do połączenia. Podczas gdy życie błędzące i zadyszane z trudem wytwarza piękno, za którym zazwyczaj goni, nigdy go nie dościgając, sztuka, by mu dać kierunek i podporę, wydobywa zeń zawarte w nim pierwiastki zaziemskich blasków i ukazuje mu jeno przyszłość, jego ideał. Stąd wynika oczywiście, że istotnie znamię sztuki to pogoda, to spokój, zdobycz osiągnięta, bitwa wygrana, pokój przeczuty i głoszony podczas wojny.

Tymczasem głosy fałszywe i zwodnicze nie przestają powtarzać, że artysta jest i powinien być igraszką wszelkich niepokojów, szaleństw i błędów. Ten mały człowieczek, zwany Horacyuszem, a po-
czytywany za poetę pełnego życia, zapewne dlatego, że poezja i życie zarówno były mu obce, czyż nie powiedział gdzieś: *Genus irritabile vatum*? Żart nedorzeczny, który właściwie tak powinien być przetłómaczony: gniewliwy ród proroków.

Aby znaleźć spokój, sztuka powinna odnaleźć wzniosłość i głębokość. Piana zawsze miota się we wściekłych podrzutach, ale piana nie jest oceanem. Morze jest głębokie: oto tajemnica jego majestatu. Jakąkolwiek posiadałoby rozciągłość, gdyby nie miało

głębi, nie byłoby wzniosłe. Jeśli spojrzenie nasze długo bez zmęczenia może ogarniać jego powierzchnię, pochodzi to stąd, że pod falami, które widzi, odgaduje fale, których nie dostrzega; odgaduje, że ocean posiada głębokość, godną swej wielkości. Dzięki temu wzrok nasz odpoczywa. Sama powierzchnia morza niepokoiłaby go. Wszelkie powierzchnie są burzliwe; tylko głębie zawierają w sobie i dają nam mogą prawdziwy pokój.

Święta mocy zbłąkana, córko marnotrawna wielkiego rodu, któraś szukała szczęścia zdala od Ojca rodziny i nie znalazłaś go, ty, któraś dzieliła też pożywienie wieprzy, ty, o której miernota z lekceważeniem śmie się odzywać, a która nosisz jednak nazwę Szutki, niewierna, kiedyż nawrócisz się wreszcie?

Wspomnij, że Luter zamknął drzwi przed tobą i że Ojciec rodziny dał ci schronienie u stóp swych ołtarzy. Bóg przyjął cię do swej świątyni; dozwolono ci jest modły w niej zanosić.

Protestantyzm wziął rozbrat z wyobraźnią ludzką; nie pozwolił Bogu Zbawcy oświecać ją; zapomniał, że Bóg stwórca uczynił promienne zachody słońca i polecił nocy gwiazdzistej, aby do człowieka mówiła o Jego chwale.

Wiek kłamstwa, wiek osiemnasty, ponieważ trzeba go nazwać właściwym jego imieniem, wywarł na świat wpływ trudny do wytlómaczenia. Dzieła, które dał nam do czytania, są istotnymi cudami głupstwa.

Wobec tej zimnej gorączki, która stała się krwawą, wobec tego letniego i nudnego szaleństwa trzeba zadać sobie pytanie, jakim sposobem rzeczy te mogły się stać zaraźliwymi?

Oto stały się zaraźliwymi, ponieważ wywołały pewne skojarzenia pojęć. Wiek osiemnasty zdołał przekonać ludzi nie przez rozumowanie, lecz przez fałszywe kojarzenie pojęć, że wiedza i religia są sobie wrogie, że dla zachowania wiary konieczne jest nieuctwo. Ta rzecz, której imienia nie znam, która nawet nie ma i nie może mieć imienia, to nie-pojęcie, ta ilość ujemna dostała się do dziedziny wyobraźni i zatruliła ją. Wtedy, jako pan położenia, wiek osiemnasty rozkazał wierzyć, że Bóg nie jest ojcem wszelkiego stworzenia, że jego przykazania dobre są może, ale nudne i zimne, że skoro się ma zapak, trzeba koniecznie służyć złemu. Jednym słowem, człowiek, a przynajmniej wyobraźnia ludzka doszła do przekonania, że Szatan jest Czynnem doskonałym.

Powiedziałem już to, ale powtarzam i powtarzać będę.

Mówiąc, że wiek osiemnasty fałszywie kojarzył pojęcia, czynię mu, jak sądzę, zbyt wiele zaszczytu. Prawdę mówiąc, wcale on ich nie kojarzył. Utracił on wszelkie nawet pojęcie jedności. Uczynił pustkę zupełną w świecie umysłowym. Uznał, że oddychanie było niewolą i przesądem, nakrył przeto świat maszyną pneumatyczną i podusił ptaki u w o l n i o n e —

od powietrza. Ale próżnia nie może trwać długo. Pustynie zaludniają się wkońcu potworami. Gdy wiek osiemnasty skończył zaduszony w próżni, we krwi i w błocie, możnaby powiedzieć, że zanieczyszczone przezeń powietrze świata umysłowego potrzebowało odświeżenia, aby po jakimś czasie stać się znów przydatnem do oddychania. W ciągu długiego czasu idee, które on przemocą rozdzielił nie mogły złączyć się napowrót. Wiek dziewiętnasty rzucał niemi na wszystkie strony, nie poznając ich. Głosy, które poprzednio wyły podczas orgii, wykrzykiwały imiona wiedzy i religii, nie wiedząc nawet, co one oznaczają, a wykrzykiwały je jako nazwy wrogich sobie potęg. Wiek dziewiętnasty musi przez czas pewien oddychać w świetle dnia, zanim zapomni tych dzikich wrzasków.

Wiek osiemnasty umierając przekazał nam testamentem zwyczaj kojarzenia pojęcia marzyciela z pojęciem człowieka, którzy wierzy w świat niewidzialny i pokłada w nim swe nadzieje.

Nie spostrzegł tego, że pojęcie marzycielstwa kojarzy się naturalnie z pojęciem złudzenia, a złudzenie jest udziałem człowieka, który zaprzecza istnieniu świata niewidzialnego. Wierzyć w to tylko, co się widzi, to najniedorzeczniejsze ze złudzeń. Polega ono na tem, że się bierze widma za rzeczywistość, a rzeczywistość za widma.

Marzycielem jest ten, kto nigdy się nie budzi,
nigdy nie zwraca wzroku ku światłu niestworzonemu,

a przebywa zawsze i wyłącznie w krainie cieniów
A jednak język ludzki, sam oszukany i oszukujący
innych, nazywa marzycielem, szczególnie od stu lat,
człowieka czuwającego, który wie i który widzi.

Jeśli wiek dziewiętnasty zbudzi się wreszcie, jeśli idee z natury sobie pokrewne, pogodzą się ze sobą w jego umyśle i w jego mowie — czyż nie można mieć nadziei, że człowiek, zbliżywszy się do jedności, zbliży się do siebie samego, i że życie ludzkie, podobnie jak wiedza ludzka, uczyni kilka kroków ku prawdziwemu pokojowi?

„Niechaj zmarli grzebią swych zmarłych!”

Tak mówi Prawda wieczysta.

Te słowa rosną, gdy się im przejrzymy, rosną, im dłużej im się przyglądamy. Na pierwszy rzut oka zdawać się może, że zbytecznem jest przestrzegać ludzi przed namiętnością śmierci.

Gdy się jednak głębiej nad tem zastanowimy, dojdziemy do przekonania, że ludzie bardzo dbają o sprawy śmierci, albowiem te sprawy, to dzieła własnych ich rąk.

Kto przyłożył rękę do pługa, a poza siebie się
ogląda, nie jest godzien królestwa bożego — też

sama rzekła Prawda, a te słowa jednoznaczne są z poprzednio przytoczonymi. Czyż spoglądanie poza siebie jest przyjemnością? — Zazwyczaj nie. Jest to spojrzenie smutne, posępne. A jednak ma ono dla człowieka szczególny powab, wodzi w komentarzach przeszłości, nakłania go do grzebania umarłych i do grzebania siebie wraz z nimi.

Są ludzie, którzy ulegają szczególnej, ale rzeczywistej pokusie, owijania się w śmiertelne całuny i kładzenia się w mogiły zmarłych.

Ta pokusa niezrozumiała ma swą rację w przywiązaniu człowieka do swej własnej osoby. Co czyni ten, który patrzy poza siebie? Szuka samego siebie w przeszłości, zamiast szukać w przyszłości rzeczy wieczystych. Szuka siebie w dniach minionych, jako swych własnych, lubuje się we wszystkim co jest jego własnością, nawet we własnych łzach. Smutek ma dla niego urok, bo to jest własny jego smutek. To, co jest przed nim, gdyby przyłożył rękę do pługa, to jest królestwem bożem. Byłaby to przyszłość pełna radości; ale cofa się przed nią, bo nie jest to jego własne królestwo, tego człeka smutnego i ograniczonego.

Człowiek lubuje się w swej ograniczoności, nawet gdy ta jest jego nieszczęściem, bo nieszczęście do niego należy, ludzkie ją dobija się w niem o swą własność.

Człowiek lubi być u s i e b i e. — Każdy, mówi on, — niech będzie dla siebie, każdy niech będzie u siebie.

Owóż w grobie człowiek jest najbardziej u siebie. Ma przeto upodobanie do rzeczy grobowych.

Zalecenie nie grzebania się żywcem, pozostawienia grobów umarłym, jest zaleceniem bardzo ważnem i jednym z najśmielszych, jakie można dać ludziom.

Zasługą jest człowieka kruszyć swe kajdany, osobliwie skoro sam sobie je wykuł. Nie tylko delikatne, subtelne, czułe więzy trudne są do rozwiązania, nie łatwo też rozrywać łańcuchy z żelaza lub ołowiu. Wszystko to, co przez czas długi nosiliśmy z sobą, ciągaliliśmy za sobą, czepia się, przylepia do naszej osoby. Te rzeczy stały się naszą własnością, a wszystko co jest naszą własnością, choćby nuda największa, może być tylko od nas oddzielone ciosem miecza. Trzymać się jakiejś rzeczy, nie znaczy to jeszcze poczytywać ją za dobrą, znaczy to być do niej od dawna przygwożdżonym.

O naturę ludzką, ciężar, pod którym upadasz, to twój własny ciężar, a jeśli nie możesz go udźwignąć z powodu twojej słabości, gotowa jesteś go wielbić z powodu twego zaślepienia.

O istoto ludzka, przyzwyczajenie większą ma jeszcze nad tobą władzę, aniżeli namiętności, — przyzwyczajenie twe choćby cię najbardziej znudziło, jest ci miłe i drogie, bo jest twoje własne, a dbasz bardzo o wszelką twą własność, nawet o własne nieszczęście, gdy ono jest własnem twem dziełem.

O istoto ludzka, i męka staje ci się bożyszczem
skoro od ciebie samej pochodzi.

Skoro możesz być ogarnięta falami wiekuistej radości, zwracasz się z pewną tęsknotą do smutków dawnych, ponieważ były to twe własne smutki. Skoro płaszcz purpurowy, dar boży ma cię przyodziać, ty drżącemi rękoma pieścisz łachmany twego śmiertelnego całunu, płaszcz purpurowy cię zadziwia: bo obcy był twym zwyczajom, a całun nie wzbudza w tobie zdziwienia, podobny on do twych myśli: był dziełem rąk twoich. A dłoń boża skoro zjawia się zbawić cię, wzbudza w tobie trwogę, bo to nie twoja dłoń.

Cóżby obaczył ten, co by wejrzał w głębi naszej nędzy?

Człowiek ma zwyczaj skarżyć się i ma zwyczaj szczycić się.

Te dwa zwyczaje zdają się sprzeczne. Ale człowiek, co tak niewiele rzeczy umie naprawdę, umie jednak godzić je między sobą.

To przywiązanie do przyzwyczajęń, do nudy, do śmierci nawet jako własnego ludzkiego wytworu — to przywiązanie jest jedną z najsubtelniejszych i najmniej dostrzegalnych form miłości własnej. Święta Katarzyna Genueska powiedziała, że miłość własna jest prawdziwą nienawiścią: — głęboko prawdziwe spostrzeżenie. Miłość własna nie jest to słuszne zajęcie się sobą, które człowiek niewątpliwie winien jest swej istocie ziemskiej. Jest ona raczej poszukiwaniem siebie — poszukiwaniem, które wprowadza

niezliczone zawikłania i wiedzie do rozlicznych labiryntów.

Zaparcie się siebie wszystko upraszcza.

Skoro człowiek błądzi, możemy być pewni, że szuka samego siebie.

Skoro człowiek okaże się nam wyzwolonym z więzów miłości własnej, mimo woli pokładamy większe zaufanie w jego słowach. Widzimy go bowiem wtedy bliższym ogniska Światła. Miłość własna to coś nieprzezroczystego, co staje między nami i światłem, a zatem człowiek od niej wolny zdaje nam się, jakby podniósł ciężką zasłonę zakrywającą światło.

Miłość własna sprowadza ruinę i rozdział. Człowiek, z niej wyzwolony, zda nam się bliższym od innych centralnego ogniska jedności.

Miłość własna zaślepia tych, co miłują światło, paraliżuje tych, co miłują czyn, psuje tych, co miłują dobroć, oszukuje tych, co miłują rozum. Budowle z trudem wnoszone zapadają się w gruzy, skoro tylko miłość własna wciśnie się w szpary między dwoma cegłami. Bywałem świadkiem takich katastrof. Miłość własna utrudnia, powstrzymuje *B u d o w a n i e* w ścisłym tego słowa znaczeniu. Burzy ona pomniki; równa z ziemią świątynie i pałace. W stylu orientalnym nazwałbym ją Matką ruin.

Ruiny moralne, ruiny intelektualne, ruiny wielkich przyjaźni, ruiny wielkich instytucji! — Gdziekolwiek je ujrzycie, poszukajcie ich przyczyny, znajdźcie ją

zazwyczaj w miłości własnej. Umie ona rozłączać osoby i rzeczy najściślej związane. Dzieli ona wszystko i wszystko oziębła. Najgorętsze zapłyły lodowacieją, skoro przez nią przeniknięte zostaną.

Miłość własna pozostaje pod władzą przyzwyczajęń. Ludzie żyjący przyzwyczajeniami widzą w niej nie wypadek zewnętrzny, ani upadek, ani brak wewnętrzny, lecz warunek naturalny i pierwotny wszelkiej organizacji. Przyzwyczajenia, to stróżka zła; to też ludzie przyzwyczajęń, będący też zazwyczaj ludźmi miłości własnej, dochodzą do tego, że poczytują zło za rzeczywistość, dobro za senne marzenie.

Nie dziw, że zamykają się oni w swej nicości, nie lubią interwencji bożej, nie uznają ludów, a nawet rzeczy zdających się im nieprawdopodobnymi, często nawet nienawidzą ich. Poczytują je za niedyskretne wtargnięcie Bytu w obręb własnej ich dziedziny, drogiej im nadewszystko, dziedziny własnego ich nicestwa.

Na ogół ludzie ci nie zbyt znoszą nawet wielkości przyrodzonych. Geniusz jest im podejrzany, jakowyższa potęga nie szanująca przyzwyczajęń. To ohydne n i c będące ich dziedzictwem, piętnem ich rasy, zda im się świętością. Ziewając składają na ołtarzu nicości wszystkie moce Bytu, mogące się do nich zbliżyć.

Jeślibyście chcieli przepuścić promień światła do dusz ludzi przyzwyczajęń i ludzi miłości własnej, spostrzeżecie wnet, że przeszkody przecinające mu drogę, trudniejsze są do przewyciężenia, do przeby-

cia, im są lżejsze, mniejsze, drobniejsze, marniejsze.

Jeśli ujrzyście człowieka, co gotuje się zabić bliźniego, być może, iż uda wam się wzbudzić w nim poczucie odrazy do zamierzonej zbrodni, — ale spróbujcie wytłómaczyć kobiecie z usposobieniem zatwardziałem w pewnych przyzwyczajeniach, że kolor wstążek jej kapelusza nie jest rzeczą najważniejszą w świecie! — nigdy się to wam nie uda. Choćbyście zdobyli się na cuda wymowy, nie zrozumie, słuchając was, całego nicestwa swej próżności. — Takie nicestwo prawdziwe jest nieprzenikliwe. Próżność bardziej jest nieprzenikliwa, aniżeli zbrodnia.

Zbrodnia ujawnia się sama przed sobą, własną swą grozą; próżność nie może się sobie ujawnić zakryta jest przyzwyczajeniem. — Przyzwyczajenie, to maska zasłaniająca jej własną brzydotę.

Złączyłem w tym szkicu psychologicznym śmierć, miłość własną i przyzwyczajenie, chciałem bowiem uwydatnić tożsamość ich jestestwa, tak różnymi okrytego pozorami. Są wady i błędy tak oczywiste, że od razu spostrzedz je można. Miłość własna natomiast umie się stać drogą tym nawet, których zabija. Działa one jak trucizna.

Miłość własna to tarcza, którą człowiek zasłania się przed Światłem.

Ten, co by chciał zdobyć Światło, nie wyrzekając się miłości własnej, podobny byłby do pisklęcia w jaju, co chciałoby widzieć dzień jasny bez przebicia skorupy.

Honor.

Co znaczy ten wyraz? Nie rozumiejąc go, przez długi czas skłonny byłem mniemać, że nic nie znaczy. Mówiłem sobie: — Jest dobro i jest zło, będące zaprzeczeniem dobra, ale honor to puste słowo; wszelkie dobro godne jest czci, wszelkie zło przynosi hańbę, lecz honor nie zawiera nic odrębnego; niema dla niego innych praw, prócz tych, które nakazują dobro, a zakazują zła. Honor tedy jest nazwą, którą przybiera moralność w ustach ludzi nie znających jej. Honor jest bożyszczem, Bogiem tych, którzy nie znają Boga.

W tem zapatrywaniu mojem było nieco podobieństwa do prawdy; sądę jednak, że samej prawdy w niem nie było. Wszystkie wyrazy mają swe znaczenie; zależy wielce na tem, aby je wyrozumieć dokładnie. Jeżeli wyraz jaki został zaciemniony przez fałsz, nie łatwo potem rozjaśnić jego znaczenie; można by powiedzieć, że obrał sobie siedzibę wśród ciemności i że trzeba przemocy, żeby go stamtąd wydobyć. Honor jest jednym z tych wyrazów. Kłam-

stwo owładnęło nim, jak swoją własnością. Kłamstwo chciało tak dalece zagarnąć do swej dziedziny imię honoru, iż nawet odjęło mu pozory imienia poważnego. Pomieszczono honor w sąsiedztwie pojedynku, i maska ta tak ściśle zakryła jego oblicze, iż niekiedy zdaje się je zastępywać.

Ale wyrazom powinna być wymierzona sprawiedliwość. Niesłusznem byłoby wymazywać ze słownika te, które zostały spotwarzane. Należy je przywrócić mowie ludzkiej i napowrót umieścić w świetle.

Ludzkość jest wielkim zbiornikiem grzeszników. Ktokolwiek przyjrzy się sobie, przerażony cofnie się przed obrazem, który zobaczy.

Im lepiej człowiek poznaje człowieka, tem bardziej przepaść rośnie w jego oczach. Gdziekolwiek rzucimy okiem, wszędzie ukazuje się nam jakiś widok przerażający, gdyż wszędzie, gdzie człowiek przeszedł, pozostawił swój ślad, a ślad ten jest straszliwy.

Jednakowoż ludzkość, pomimo swych błędów, zachowuje zawsze instynkt sprawiedliwości i daje mu wyraz w swej mowie. Przemawia ona do natury, przemawia sama do siebie, przemawia do Boga i trzeba zważać na jej słowa, choćby były wypowiedane w gorączce, gdyż instynkt sprawiedliwości zagrzebany jest pod ruiną człowieka i można go tam dostrzedz nawet wśród nocy. Przy bladym świetle księżyca dostrzedz można gniazdo orle pod zwaliskami starego pomnika.

Człowiek przemawia tedy z głębi swego upadku i jeżeli ma dobrą wiarę, uznaje swą winę. Czuje, że i współbracia jego są też winni, wszelako wpośród nich znajdują się tacy, których nie nazywa on ani winnymi, ani grzesznymi, lecz pozbawionymi honoru.

Ta ogromna różnica, jaką mowa ludzka ustanawia między jednymi ludźmi a drugimi, nazywając jednych grzesznikami, a drugich niehonorowymi, uznając, że wszyscy stracili niewinność, a tylko niektórzy — honor, ta ogromna różnica mowy musi mieć pewną podstawę, pewną rację bytu w jakiejś olbrzymiej różnicy, tkwiącej w istocie rzeczy; gdyż mowa rzadko powoduje się kaprysami; stworzona do nazywania rzeczy, pamięta ona jeszcze o swem pochodzeniu. Poczęła się w cieniu drzew Edenu, w dniu, kiedy Adam, przenikając istotę rzeczy, sądził stworzenia i nadawał im imiona.

Ponieważ mowa ludzka tak wyraźnie odróżnia utratę czci czyli honoru¹⁾ od winy, musi tedy istnieć otchłan między temi dwiema otchłaniami. Człowiek upadający wzbudza litość w sercu tego

¹⁾ Mamy w polskim języku dwa blizkoznaczne wyrazy: *honor* i *cześć*. Pierwszy jako obcy, z zewnątrz naleciały, używa się przeważnie w powierzchownem znaczeniu, o jakim zrazu mówi autor, drugi, jako swojski, z głębi mowy i życia rodzimiego samoistnie powstały, ma to głębsze, istotne znaczenie, jakie odnośnemu pojęciu autor tu przywraca. Odpowiednio do tego użyte są oba wyrazy w przekładzie. (Przyp. tłóm.)

który patrzy na jego upadek; lecz jakie uczucie wzbudza człowiek, ztracający swą cześć w waszych oczach? Może wyraz, który byłby odpowiedzią na to pytanie, nie istnieje, a może istnieje, lecz ja go nie znam. Jednakże, cóż czyni człowiek, który traci cześć i czem się on różni od upadającego w inny sposób? Bo utrata czci zawiera w sobie zawsze winę; ale nie każda вина pociąga za sobą utratę czci.

Nie wiem, czy odpowiedź, jaką tu dać zamierzam na to pytanie, wyda wam się opartą na naturze rzeczy; może uznacie ją za samowolną. A może pierwsze wrażenie czytelnika przechyli się do ostatniego z tych dwóch przypuszczeń, następne zaś — do pierwszego.

Co sprawia, że człowiek występny nie tylko jest występny, ale i bezecny? Gdyby brak czci miał treść istotną, co byłoby tą treścią? Byłoby nią, jeśli się nie mylę:

Przyrzec i nie dotrzymać.

Hańba ma wiele form, wiele postaci. Są tysiączne sposoby utracenia czci. Lecz wszelka wielorakość daje się tu sprowadzić do pewnej jedności. Grzech wydaje najrozmaitsze skutki, a jednak zasadą każdego grzechu jest zawsze ten sam potwór: pycha. Hańba przyodziewa różne stroje, zmienia je często, zależnie od okoliczności. Jej oblicze zmienia się wciąż; raz się śmieje, innym razem płacze. Ale gdybyśmy poszukali ze światłem w ręku wpośród tych wszystkich odmian szpetoty, jak wygląda typ, który je streszcza

i jaka jest zasada, z której się one poczęły, zobaczylibyśmy, że ten, co utracił cześć, przyrzekł i nie dotrzymał.

Gdyby zapytać pogardę o jej treść ukrytą, odpowiedziałaby: — Znam kogoś, co przyrzeka, a nie dotrzymuje.

Jeśli powiesz człowiekowi: — „Popełniłeś wielki występek, jesteś zbrodniarzem“, — człowiek ten odczuje nagane, lecz może mimo to czuć się szanowanym i, ponieważ nagana nie odbiera czci, może ci bez wysiłku podać rękę. Jeśli powiesz człowiekowi: — „skłamałeś“, — będzie się on czuł wzgardzonym, chociażby chodziło o drobnostkę. Dał słowo, a to, co powiedział, nie było prawdą. Dać słowo, znaczy przyrzec. Dwa te wyrażenia jedno mają znaczenie. Być może, istnieją przyrzeczenia niewypowiedziane. Czy człowiek przez to samo, że rodzi się człowiekiem, a nie psem, że otrzymuje dar mowy, jako znamię swej natury, jako oznakę swej godności, czy nie przyrzeka przychodząc na świat, że nie będzie kłamał?

Dwóch ludzi się nienawidzi, — prześladują się z nieubłaganą zaciętością. Mogą oni stać się bardzo występny, każdy z nich może siebie gubić, chcąc gubić przeciwnika; każdy może wpaść w sidła, które na swego wroga zastawił, — co zdarza się częściej, niż się wydaje — jednakże ich stosunek wzajemny, składający się z całego szeregu win i krzywd, nie będzie pociągał za sobą jeszcze utraty czci.

Lecz oto widzicie człowieka, który porzucił przyjaciela: ten pije hańbę jak wodę. Przyrzekł on bowiem w sposób określony lub nieokreślony, że będzie wierny, a cześć wszelkich stosunków ludzkich polega na wierności.

Wierność i szczerłość zamieszkują jedno miejsce, gdyż słowo i przyrzeczenie są jednoznaczne. Przyjaciel, który zdradza, skłamał wpierw, nim zdradził.

Szaweł stał się Pawłem. Szaweł był wrogiem Chrystusa i Chrystus powiedział mu to, co można powiedzieć otwartemu wrogowi: — Czemu mnie prześladujesz? — Szaweł stał się Pawłem. Nie złamał on danego słowa, on wyszedł tylko z błędu, w którym pozostawał.

Alę spojrzycie na Judasza! Pogarda, dochodząca aż do zgrozy, uczyniła jego imię krzykiem obrzydzenia. Bowiem obrzydzenie, gdy już mu słów nie staje, wydaje okrzyki. Judasz to już nie imię, to wykrzyknik, to nie wyraz, lecz gest zgrozy. Bo też zdradził on pocałunkiem. Usta jego skłamały w szczególny sposób. Popełnił on kłamstwo i poparł je jeszcze czemś bliższem sercu, niż słowo, gdyż pocałunek jest przyrzeczeniem, sięgającym poza obręb mowy ludzkiej. Nie tylko przyrzeka on nie zdradzać, przyrzeka wierność. Jest on właśnie znakiem wierności. Judasz wybrał go jako znak zdrady. *„Dederat autem traditor ejus signum eis, dicens: — Quemcumque osculatus fuero, ipse est... tenete eum et ducite caute“*.

Należy zauważyć, że najsmutniejsze nawet upadki moralne nie wykluczają na swych stopniach przedostatnich jakiegoś nieokreślonego poczucia czci. Dopiero na samym dnie to uczucie gaśnie. Człowiek grzęznący w fałszu, na przedostatnim stopniu swego upadku mówi jeszcze, mówi nawet często o honorze i mówi o nim zawsze w znaczeniu słowa danego. Zgadza się on, by go uważano za zdolnego do wszelkich zbrodni, albo nawet za winnego tychże, lecz nie chce, by wątpiono o jego słowie. Zgodzi się, by go uważano za zbrodniarza, lecz nie chce, aby powiedziano: — Ten zbrodniarz przyrzeka kłamliwie, słowo jego nic nie waży. — Przegra on cały swój majątek i majątek cudzy, postawi na kartę więcej, niż posiada; lecz dług, którego jedyną rękojmią jest jego słowo i który tyle tylko ma wartości, ile jej ma to słowo, dług taki uważa on za honorowy i nie chce, aby go posądzono o lekceważenie tego długu. Zgodzi się zadać śmierć komuś, otrzymać ją z czyichś rąk, lub nawet popełnić samobójstwo, lecz nie chce, żeby żona złamała dane mu słowo. Być może, że drwi sobie z małżeństwa, lecz nie chce, żeby żona go zdradzała. On, który nie wierzy w nic, wierzy jednak, że żona jego utraciłaby cześć, gdyby złamała dane słowo. On, który nie uznaje żadnego prawa, chce koniecznie, aby żona jego była związana obietnicą, którą mu uczyniła. To jedno może wiąże go jeszcze ze społeczeństwem. Poszanowanie danego słowa bywa w nim

o tyle żywsze, ile że jest ono może jedynym głosem, którym w jego duszy przemawia jeszcze godność jego natury. Gdy zagrzeźnie głębiej, gdy dojdzie do ostatniego stopnia upodlenia, poczucie honoru zamrze w nim może, lecz prawdopodobnie zamrze na samym ostatku. A gdy go już nie stanie, gdy człowiek śmiać się będzie ze swego słowa, przestrzeń oddzielająca go od zwierzęcia niezmiennie się zmniejszy. Twarz jego przybierze wyraz zwierzęcy, a sam widok jego stanie się ludziom niemiły. Będzie to jeden więcej upadek natury ludzkiej, usiłującej dojść do zbydłecenia. Słowa zwrócone do takiego człowieka napotkają próżnię. Mowa ludzka przestanie nań działać. Jeśli zamarło w nim poczucie danego słowa, nie znajdziecie w nim już ani jednej wrażliwej struny. Jeśli śmieje się z tego, że przyrzekł nadaremnie, nie można już będzie wzbudzić w nim płaczu.

Żołnierz na polu bitwy odgrywa również dramat honoru. W historii pełno jest ludzi, którzy ten rodzaj honoru przekładali nad życie. Gdyż w historii wiele zajmują miejsca pola bitwy i wojna wysławiana jest na świecie. Żołnierz zdaje się być świadom zwróconych nań spojrzeń; czuje on, że cała Europa nań patrzy. Mówię Europa, gdyż reszta świata zdaje się być głową bez oczu. Żołnierz czuje tedy na sobie spojrzenia Europy i jak gdyby zapominał o tych, którzy czekają nań może w wiosce rodzinnej, zelektryzowany w osobliwy sposób w kie-

runku nadzwyczajnej ofiary z siebie, której ani nie przygotowywała, ani przeczuwała jego młodość, oddaje swe życie, byle się nie cofnąć. A jednak walczył bez nienawiści, nie przeciw osobistemu swemu wrogowi. Walczył za sprawę, której nie zna. Nie wie on, jaki jest jego stosunek do sprawy, za którą umiera. Jego dowódzca, żywy czy umarły, zdobędzie może to, co się tu na ziemi nazywa chwałą — jemu pozostanie tylko: honor. Jego poświęcenie nie otrzyma udziału w blasku zwycięstwa. Nikt się nie dowie, w jakiej mierze się doń przyczynił i historycy nie będą opowiadać o zabawach dziecinnych lat jego, spędzonych w wiosce, do której już nie wróci. Historycy wymienią tylko liczbę poległych w bitwie, i on będzie jednostką w tej liczbie. Jednak umiera on, ażeby nie utracić honoru. Umiera dlatego, że przyjąwszy, może wbrew woli nawet, imię żołnierza, przyrzekł tem samem, że umrze, jeśli potrzeba będzie umrzeć, lecz nie odda sztandaru.

Powie kto może, że to strach, a nie złamanie obietnicy, plami cześć żołnierza? Ależ ten sam człowiek, gdy pasał bydło lub żął zboże swego ojca, mógł uciekać przed niebezpieczeństwem, nawet przed niebezpieczeństwem urojonem. Dla zachowania życia mógł on posługiwać się niezliczonymi środkami ostrożności i nie potrzebował z nimi się ukrywać. Chociażby w nich nawet był przesadził, nie doznawał wstydu, gdy zasiadając do wspólnej wieczerzy, prosił Boga o błogosławieństwo dla domowego ogni-

ska. Wtedy bowiem nic jeszcze nie przyrzekał. Robotnik, wykonywający jakąś niebezpieczną pracę, w kopalni na przykład, może uciekać, nie dał bowiem słowa, że będzie odważny. Ale żołnierz związany jest słowem i nawet gdyby w czasie bitwy ujrzał w duchu, podobnie jak Ulisses w Odysei, dym wznoszący się wieczorem nad chatą, gdzie go oczekują, to jednak zagrzany jakimś głosem, silniejszym od głosu natury, mężnie stawia czoło śmierci, choćby mógł jej uniknąć.

Był może trwożliwy, zanim przyjął zobowiązanie. Ale bo wtedy nie dał jeszcze swego imienia w zakład swej powinności żołnierskiej.

Wyrażenia potoczne dopomagają prawie zawsze w objaśnianiu tajników rzeczy. Mawia się często, że dany człowiek „uhonorował“, „uczcił“ swój podpis. Mowa potoczna zbliża co chwila wyrazy: *honor* i *podpis*.

Czemże jest podpis, jeżeli nie przyrzeczeniem?

Ten, co podpisuje, przyjmuje na siebie zobowiązanie wykonania.

I jakim znakiem je stwierdza? Stwierdza je swem nazwiskiem. Podpisem człowieka jest jego nazwisko, nazwisko — słowem, słowo — czią i honorem. Dlatego mówi się też: zbeczcześcić swe nazwisko.

Ten, co nie dotrzymuje słowa, pozbawia czi swoje nazwisko. Nazwisko zaś w rzeczy samej — to

sam człowiek. Dać swe nazwisko, swe dobre imię, znaczy to oddać w zastaw cześć swoją.

Nazwisko wyobraża człowieka — wyobraża go w tem, co w nim jest najistotniejsze. Jeśli kto rzuca obelgę na nazwisko jakiegoś człowieka, przynosi mu wtedy w pewnym względzie większą ujmę, niż gdyby jego samego zelżył w sposób bardziej bezpośredni, ale mniej uroczysty. Jeśli obraża go w jego nazwisku, obraża go w tem, co powinno być najbardziej szanowane.

Jeżeli policzek odbiera cześć w opinii ludzi, czy nie pochodzi to stąd, że nazwisko wypisane jest niejako na twarzy ludzkiej? Twarz jest, równie jak nazwisko, objawieniem istoty człowieczeństwa; po twarzy głównie ludzie poznają się, rysami swych twarzy różnią się jedni od drugich. Jest to jedna z tajemnic stworzenia, że jakkolwiek wszystkie twarze składają się z takich samych rysów zasadniczych, niema dwóch twarzy, które byłyby do siebie zupełnie podobne kształtem tych rysów. Jedność zasadnicza twarzy ludzkiej wskazuje, że jedna ogólna nazwa należy się wszystkim ludziom. Różnice, zachodzące między twarzami, wskazują, że każdy człowiek ma własne swe imię.

Między małżonkami zachodzi wspólność czci, zależna od wspólności nazwiska. Żona, biorąc nazwisko męża, jednocześnie bierze na siebie i cześć jego. Jeżeli cześć kobieca szczególnie jest drażliwa, je-

żeli najłżejsze nawet podejrzenie ujmę jej przynosi, czy nie pochodzi to stąd, że tajemnica imienia objawia się tu w szczególnem znaczeniu? Gdyż od nazwiska, które otrzymała, zależy cześć powierzona kobiecie. Przeznaczenia jej uległy zmianie od chwili, gdy zmieniła nazwisko. Nazwisko kobiety, to historia własnego jej życia i życia jej męża.

Podpis człowieka jest jego znakiem, jego pieczęcią, jego wyobrażeniem, jego charakterem, obrazem jego istoty, przyłożonym do obietnicy dla jej stwierdzenia. Dać słowo i podpisać swe nazwisko, zarówno obowiązuje cześć człowieka.

Dlaczego człowiek, który naruszył depozyt, uważany jest za bardziej zbezczeszczonego, aniżeli ten, który popełnił inny zamach na własność cudzą? Pochodzi to stąd, że całość depozytu poręczona była jego słowem. Czyn zły lub dobry, przez który depozyt został naruszony lub dochowany, należy całkowicie do dziedziny honoru.

Zdradzenie powierzonej tajemnicy jest wykroczeniem tego samego rodzaju. Tajemnica powierzona jest honorowi przyjaciela. Ten, co przyjmuje cudzą tajemnicę, gdyby nawet wyraźnie nie przyrzekał jej dochowania, uczynił to domyślnie przez sam fakt przyjęcia depozytu, gdyż powierzona tajemnica jest depozytem. Honor tem bardziej w grę tu wchodzi, iż wykroczenie przeciwko niemu nie naraża na żadne niebezpieczeństwo.

Słowo dane przez człowieka, nie zaś jego interes, stanowiło w tym razie rękojmię jego wierności. Wogóle — tem większa będzie pogarda, spadająca na człowieka, który na nią zasłużył, im mniej podlega on innym karom ludzkim. Pogarda jest karą szczególnego rodzaju, karą, spadającą na nazwisko.

Kto zdradza tajemnicę, popełnia jakby zamach w ciemności nocy, zdradza tego, który zaufał, który się oddał.

Do występków najbardziej bezecnych należy nadużycie snu czyjegoś; sen bowiem rozbija człowieka i bez obrony żadnej oddaje go pod straż honoru otaczających. Zdrada w tym wypadku jest szczególnie szpetna i porusza nas do głębi duszy. Owóż zaufanie jest rodzajem snu. Ten, co powierzył swą tajemnicę, zasypia niejako na łonie przyjaciela. Jakże straszne musi być jego oburzenie, jeśli się przebudzi wobec zdrady!

Imię, to cześć, a wznosząc się wyżej — imię, to sława. Sława to cześć wyolbrzymiona, to cześć uwieczniona, strojna w purpurę. Bez czci nikt się obejść nie może; sława jest udziałem niewielu wybranych. Skoro cześć wstępuje w dziedzinę wzniosłości, przybiera imię sławy i okrywa się blaskiem wspaniałości. Cześć daje to, co jest przyrzeczone — jest sprawiedliwością. Sława daje ponad to, co przyrzeczone: — jest wspaniałomyślnością. Cześć liczy się z tem, co daje i nie daje nic więcej nad to, co winna. Sława

nie liczy — daje ona na ślepo, daje wspaniałości. Skoro człowiek wznosił się ponad sferę czci, aby wstąpić w sferę sławy, imię jego staje się imieniem czegoś wielkiego. Nie jest ono tylko imieniem człowieka, lecz jest szczególnym sposobem określenia jakiejś wzniosłości. Wychodzi ono ze sfery powszednich szczegółów, aby stać się dziedzictwem ludzkości. Poezya bierze je w posiadanie, rytmika jej unosi się nad niem.

I kto wie, czy wielki człowiek, gdy spełnia czyn okrywający go sławą, nie dopełnia jakiejś niewysłowionej obietnicy, obietnicy zadośćuczynienia potrzebie nader rzadko zaspakajanej, potrzebie podziwiania, które błaga na klęczkach o cośkolwiek wzniosłego?

Podziw — to ubogi, który na równi z innymi ubogimi żebrze o chleb swój powszedni.

Jeżeli cześć daje to, co powinna, a sława coś ponad to, nietrudno będzie nam stąd zrozumieć, dlaczego sława z natury swojej pełna jest miłosierdzia. O. Faber powiedział gdzieś, że Bóg dumny jest ze swego miłosierdzia. To wspaniałe orzeczenie nie powinno nas dziwić. Miłosierdzie, czyniąc więcej, niż każe sprawiedliwość, otwiera przed potęgą dziedzinę płażania, a w dziedzinie owej oddycha ona nowem powietrzem, które zmienia jej oblicze.

Mowa ludzka posiada nader piękne wyrażenie. Okazać miłosierdzie człowiekowi, to przebaczyć mu,

czyli darować jego winy, po francusku: *par-donner* dać ponad miarę: *donner au-dela*.*)

Być sprawiedliwym — już jest trudno. Ale człowiek musi być wielkim, skoro chwala przebaczenia, tj. czynienia ponad sprawiedliwość, stała się dlań prawem. Zwierzę nie przebacza, lecz człowiek, jako stworzony na obraz Boga, wznosi się ponad srogość odwetu. Człowiek przebacza i w chwili tej okazuje na swem obliczu cielesnem, na swem obliczu stworzonem, obraz i podobieństwo Boga, który go uczynił zdolnym do przebaczenia. Ponieważ przebaczący wznieść się musi ponad honor, ponad naturę, przebaczenie przez swą surową godność odpycha wszelką ograniczoność, wszelką małostkowość i wszelką oziębłość — gardzi ono wszelką oszczędnością, sypie pełną dłońią swe skarby, jako dziecię rozrzutne oddaje wszystko, co posiada. Daje to, na co nikt nie miał prawa liczyć. Wspaniałomyślna hojność jest cechą miłosierdzia.

Miłosierdzie? — Któż pomści je za to oblicze mazgajowate, jakie mu często bywa nadawane? Kiedyż rozumieją ludzie, że jest ono nieodłączne od nienawiści czynnej, gwałtownej, pożerającej, nieprzeblaganej, niszczącej i wiekuiestej — nienawiści zła? Kiedyż rozumieją ludzie, że aby być miłosiernym,

*) Niemniej piękny i głęboki, choć w innem nieco znaczeniu jest polski źródłosłów odnośnego wyrazu: *prze-baczyć*, przejść poza baczenie, poza słuszną baczność na czyny ludzkie. (Przyp. tłóm.)

trzeba być niewzruszonym; że aby być łagodnym względem człowieka, który błaga o przebaczenie, trzeba być okrutnym względem wroga ludzi, który ssał krew tego klęczącego, okrutnym względem błędu, grzechu i śmierci? Miłosierdzie straszliwe jest, jako wojsko w szyku bojowym. Niegdyś przybrało ono postać Judyty i woda przywrócona została umierającej z pragnienia Betulii.

Od dawna zła wola i głupota zmówiły się, aby nadać cnocie wygląd niedołężnego mazgajstwa i nużącej bezbarwności. Nikt nie domyśla się, jak daleko sięga niebezpieczeństwo takiego błędu. Nikt nie domyśla się, do jakiego stopnia ludzie spragnieni wielkości odstręczani bywają od Boga przez małe książki które Go czynią małym.

Niektórzy sądzą, że honor polega na tem, aby nie przebaczać. Inni myślą, że przebaczenie jest ustępstwem, które honor powinien czynić na rzecz moralności. Kiedyż nareszcie rozumieją ludzie, że w miłosierdziu objawia się wspaniałomyślność podniesionego do swoich szczytów honoru? Każda rzecz dąży do wzniesienia się ponad siebie samą. Każdą rzecz pociąga ku wyżynom piękność ekstazy (экстаза). Skoro honor wznosi się na tę wyniosłość, na szczycie jej spotyka sławę. Wtedy łyż się pojawiają. Honor nadaje stanowczość obliczu, ale sława pobudza łyż. —

Kończę spojrzeniem, rzuconem do wnętrza pustyni, gdzie Mojżesz pasał swoje owce.

Po wszystkie czasy sądził człowiek, że tajemnicą potęgi jest imię Pana. W Piśmie św. widzimy wielokrotnie, jak człowiek, któremu Bóg powierzył jakąś tajemnicę, lub uczynił przyrzeczenie, zapytuje Boga:

— Jakie jest Twe Imię?

Samą głębią serca ludzkiego jest nadzieja, którą pokłada ono w imieniu Boga. A Bóg nazwał się Zazdrosnym, albowiem przywiązuje wagę do chwały swojej.

Kiedy Mojżesz usłyszał głos wychodzący z krzaka gorejącego, zapytał o imię Tego, który mówił. Odpowiedź, którą otrzymał, rozbrzmiewa od stulecia do stulecia i wieczność nie jest zbyt długa, aby przesyłabizować Tetragrammaton.

Jak wszystkie prawie imiona hebrajskie, imię J-E-H-O-W-A ma wielorakie znaczenie. Oznacza ono tego, który był, który jest i który będzie. Wskazuje tajemnicę trójcy osób i jedności istoty bożej. Jest alfą i omegą i nadzieja nawet, nieustraszona w pochodzie ku górze, nie sięga wyżyn tego, co ono zawiera.

Owóż imię Jehowa wedle Korneliusa à Lapide, znaczy między innemi:

Ten, co dotrzymuje obietnic.

Adam słyszał kłamstwo węża; kusiciel nie dotrzymał obietnicy, uczynionej pierwszym naszym rodzicom. I zbezczeszczony jest!

Kiedy Bóg zazdrosny, który nie oddaje innemu

przynależnej sobie chwały, w osobie Mojżesza objawił się rodzajowi Adama, chcąc oddać sobie świądectwo, oznajmił w dźwiękach strasznego swego imienia, iż się zowie:

Ten, który dotrzymuje swych obietnic.

II.

SZTUKA.

słowo stworzenie całe staje się światłem dla naszego ducha, ukazuje swe wspaniałości naszej inteligencji. Przez światło stworzenie całe staje się słowem dla naszych oczu, opowiada im chwałę Stwórcy. Niebiosą pozbawione światła, byłyby nieme, podobnie jak byłby niemy człowiek, pozbawiony słowa. Słowo ludzkie daje poznać wspaniałość stworzenia, objawionego przez światło. Przez słowo i przez światło świat widzialny i świat niewidzialny łączą się, wzajemnie sobie chwałę oddając. Przemawiają one i śpiewają hymn chwalebny, opiewają swą miłość w rozradowaniu swej piękności. Słowo i światło tych samych mają przyjaciół i tych samych wrogów.

Światło ukazuje świat widzialny podziwiającej go myśli ludzkiej, słowo oddaje świat niewidzialny na usługi myśli ludzkiej. Oba nieważkie są i tajemnicze. Oba należą do każdego i do wszystkich, bez podziału i ubytku. Oba dotykają ciał najbardziej plugowych i przenikają je, zachowując czystość swych promieni. Oba odbijają się wedle tych samych praw: słowo powraca echem, światło odbija się w zwierciadle. Niechaj światło przeniknie kroplę wody, a uczyni z niej perłę. Niechaj słowo przeniknie martwą inteligencję, a Bóg wie, jakie blaski w niej obudzi. Ciepło idzie w ślad za światłem, miłość idzie w ślad za słowem.

Słowo i Światło wypędzają upiory, oba odsłaniają istotę rzeczy. Chcecie poznać wartość jakiegoś przed-

miotu? Rozjaśnijcie go nazwą. Chcecie dać poznać zbrodniarza? Nazwijcie go.

Zbrodnia ucieka tak przed słowem, jak i przed światłem. Kłamstwo jest ciemnością.

Imię wyraża istotę moralną, podobnie jak światło daje widzieć przedmiot materialny.

Słowo oświeca to, co nazywa. Światło określa to, co ukazuje. Oba oznaczają i czynią rozróżnienia. Oba ulatują i znikają, wystrzelające, wybuchające z natury. Oba kryją się, by działać, jedno w głębi dusz, drugie w głębi ciał i dają poznać swą obecność, tylko o ile znajdują przedmiot działania. Oba przyswajają sobie to, co pochwyciły; opanowują wszystko, a niczem nie dają się opanować. Jak orzeł ze szczytów gór rozpoznają swą ofiarę, rzucają się na nią, pochłaniają ją i ulatując znów w górę, dzięki swej chyżości nie dają się ujarzmić, a jednak trwają w ciałach i zjawiskach przez blaski im udzielone. Gdy nakształt ziarna zostały rzucone gdziekolwiek, ich obecność, czynna a niedostrzegalna, potrzebuje wstrząśnienia, aby być zbudzona. Przez wstrząśnienie wybuchają, promienieją i udzielają się bez ubytku. Tego dnia, gdy człowiek, pochwytyując światło pracujące, wynalazł zwierciadło zdolne pamiętać, odkrył przez fotografię prawo słowa. Niezmienne i wiecznie obecne, wszędzie, dokąd przeniknęło, ale tajemnicze w swym działaniu, słowo otrzymane pozostaje często ukryte w duszy, występując na jaw tylko przy pewnych warunkach.

III.

Człowiek, władca słowa, wrażliwy jest na piękno światła. Światło jest symbolem tak wyraźnym, że nazwa jego stosowana bywa równie często do światła widzialnego, jak i do światła niewidzialnego.

Gdy artysta tworzy, w chwili stanowczej, w chwili tej cudnej, kiedy wyraża pomyślaną przez siebie piękność, czuje się przenikniętym przez światło, niewidzialne światło, rozgrzewające i ożywcze, od którego otrzymuje dar słowa. Przepełniony swą myślą, owładnięty przez typ, który stwarza, czuje on, że coś w nim się porusza. To słowa, pełne światła i żaru, które rodzą się w jego duchu. Przybierają one kształt jego myśli, upiększają się jej pięknocią, stroją się w jej blaski.

Myśl jest tak piękna, gdy objawia się artyście w swej nieureczywistnionej jeszcze jedności i całości, gdy artysta nie zbrukał jeszcze rąk różnorodną materią, zawsze niewystarczającą, niegodną, a jednak nieodzowną do spełnienia jego zamiarów! Pisarz, malarz, lub rzeźbiarz, skoro ujmie drżącą dłońią narzędzie, mające urzeczywistnić myśl jego, wsłuchuje się w nią, oddaje się jej na usługi, pracuje, ogląda swe dzieło i widzi jego niedoskonałość. Nie zdołał bowiem urzeczywistnić swego ideału. Ideał domaga się czegoś więcej, a artysta nie mając już nic do dania, z rękami próżnymi płacze i błaga o przebaczenie. Poniżył swą myśl, aby jej kształt nadać. Nakreślił jej granice. Wyrzekł się bezmiarów,

wśród których ją oglądał. Uczynił zamach na swój ideał.

IV.

Wschodzące słońce jest tryumfem światła. Stworzenie całe ukazuje się. Pozwólcie światłu działać i patrzcie! Ta wspaniałość jest tajemniczym, symbolicznym odbłyśkiem jakiejś harmonii niewidzialnej i duchowej, która barwom pozwala się odtworzyć symbolicznie.

Wschód słońca podobny jest do stworzenia świata, jest niejako jego obrazem! Czyż nie przypomina on cudownie wschodu słońca w duszy artysty? Czasem północ panuje w duszy; o tej godzinie człowiek nic zdziałać nie może. Ale oto nagle myśl mu zabłyśnie: to słowo wschodzące. Myśl była dotąd utajona, teraz staje się świetlana. Była ona, ale jakby nie istniała dla człowieka; teraz dochodzi do świadomości i do blasku swej prawdy; czuje, że żyje, bo przemówiła.

Słowo, jak światło słoneczne, wolno wstępuje na widnokrąg. Naprzód świta, potem jaśnieje blaskiem dnia. Jak przy wschodzie słońca zwierzęta drapieżne chowają się w swych norach, podobnie namiętności kryją się zawstydzone, skoro słowo powstanie, rozjaśni i zaleje światłem duszę ludzką. Następnie chmurka przyćmiewa słowo w duszy, jak światło słoneczne na niebie, ale dla obu igraszką jest zwalczanie tej drobnej przeszkody. Wahają się i krążą

w grze barw różnorodnych, które zdobią niebo i ziemię blaskami coraz bardziej urozmaiconymi, coraz obfitszymi, coraz bogatszymi. Wreszcie czyni się dzień zupełny i upał nastaje. Oracz pługiem rozdziera łono ziemi, i ziemia wystawiona na działanie niebios wydaje swój owoc.

V.

Rozważmy wreszcie wspaniałość Harmonii. Mówimy: ta melodia jest piękna, a w owym znów obrazie ta figura jest piękna.

Harmonia, która jest pięknością słowa, ma swą podstawę w rytmie, to jest w liczbie.

Piękność, która jest harmonią Formy i blaskiem Sztuki, wystawionej na światło, podobnie jak harmonia dźwięków, ma w liczbie również swą zasadę.

Artysta godny tego imienia dostarcza powietrza duszy ludzkiej. Sztuka w pewnej mierze i w pewnych chwilach jest siłą rozrywającą sklepienie podziemia, w którym się dusimy. Jakąż posługuje się ona dźwignią? Słowo, ton muzyczny: — jakże słabe środki! Trochę powietrza, wprawionego w ruch.

O wy ulotne tony i zgłoski unoszone tchnieniem wiatru, potęgi niewidzialne, jakże wydajecie się bezsilne! A jednak ziemię poruszacie i niebios was słuchają. W chwilach uroczystych, gdy się wami przejmujemy, dusza wchłania powietrze, oddycha całą swą istotą i osiąga świadomość siebie. I mówi: — Tak, Boże mój, jestem wielka, a jednak zapomnia-

łam o tem. — Przez was dusza ludzka zaznaje przedsmaku swego wyzwolenia. Zdumiewa się nad swoim zwykłym zapomnieniem, zdumiewa się, że nie pamięta zawsze o tem, co jej w tej chwili przychodzi na myśl. Światło chwilowe odkrywa jej głębie otaczających ją zazwyczaj ciemności. Zbudzona nagle pojmuję całą piękność swego przebudzenia, a jeśli wspomina sen, w którym była pogrążona, to dlatego tylko, aby mu się dziwić. Dziwi się, iż mogła tak dalece zapomnieć o wiekiście pięknych prototypach, aby się pogrążyć w szpetnej i przemijającej przypadkowości. Drzwi ciężkie i grube, drzwi naszego więzienia zasłaniają nam wielką miłość naszą; niekiedy tracimy nawet wspomnienie o niej. Ale oto nagle okazuje się widnokrąg: rozległy, głęboki, daleki, rozjaśniony błyskawicami, płonący ogniem. Oto unoszona przez słowo i światło, unoszona na skrzyżowanych skrzydłach tych dwóch orłów Sztuka tędy przeleciała i obaliła ściany naszego więzienia! Ściany roztworzyły się na chwilę, rozerwane przez nieugiętą potęgę, przez dym kadzidła — jako chmura rozerwana piorunem.

Pogarda dla Sztuki.

I.

Są uczucia, dla których ludzie żyją i umierają, uczucia, które biorą zawsze poważnie. Do ich liczby należy na przykład uczucie rodzinne, godne szacunku, ale aż nadto często zepsute i w swem zepsuciu rodzące potwory, które roją się przed naszymi oczami.

Są inne uczucia, dla których ludzie zdają się żywić pogardę.

A oto co nazywam pogardzać uczuciem: jest to poddawać mu się, a nie brać go poważnie.

Wpółśród uczuć wzgardzonych przytoczę tu uczucie zachwyty.

Niektórzy ludzie nie znają wcale i nie doznają nigdy zachwyty. Nie można nawet powiedzieć, że się go wyrzekają; niesłusznie byłoby mówić, że umarli wyrzekają się życia. Życie jest im obce, jak i oni są obcymi życiu. Nie o tych tutaj chcę mówić. Chcę mówić tu o tych, którzy umieją się zachwycać, lecz nie mają szacunku dla swego zachwyty.

Ci ostatni nie są pozbawieni wrażliwości na piękno, ale ich wrażliwość jest obelgą, ponieważ pozbawiona jest powagi. Powiedzcie im, przeczytajcie, pokażcie coś wzniosłego, będą wzruszeni; często, a nawet bardzo często wzruszenie ich będzie zapalczywe, wielomówne, hałaśliwe; będzie się wystawiało na pokaz, jak zwykle rzeczy niepewne swej trwałości.

Ale nazajutrz znika ono bez śladu. Sprawy powszednie przeszły ponad niem. Zachwyty nie pozostawił nawet poza sobą ruiny, mogącej świadczyć o jego chwilowem istnieniu, nie pozostawił nawet po sobie czystej nicości, ani nawet prostego zapomnienia; pozostawił zapomnienie szczególnego rodzaju, które nie wyklucza pewnej pamięci i zwykle tłómaczy się w słowach: „Słuchałem tego artystę, z przyjemnością“.

II.

Człowiek, który wczoraj pełen był zachwyty, mówi dziś, że mu zrobiono przyjemność. Czy wynika ztąd, że uczucia te były kłamliwe? Wcale nie; ale oto jaki jest stan rzeczy:

Człowiek ów przekonany jest, że prawda, piękno, harmonia, są to kaprysy, którym człowiek poważny może się oddawać, gdy załatwił swoje interesy. Ale rzeczywistość dla niego, to jego zawód praktyczny. Wczoraj wieczór oddawał się uczuciom zachwyty, bo w danej chwili nie miał nic innego do roboty,

codzienne jego zajęcia były zakończone. Uznał wtedy za słuszne poświęcić sprawom wiecznym kilka chwil zbywających; ale nie żądajcie, aby nazajutrz wprowadził w swe życie prawdy, które w przeddzień wstrząsnęły i odmłodziły jego duszę. Uznałby to żądanie za szaleństwo. Płakał może słuchając cię. Nie sądzę wszakże, aby to wpłynęło jakkolwiek na bieg jego życia. Płakał, ponieważ płacz do niczego nie zobowiązuje; człowiek ten gardzi łzami. Ale nie zmieni on ani na włos trybu swego życia, ponieważ szanuje swe zajęcia. Człowiek ten idzie na przedstawienie tragedii i lubi, aby jej bohaterka była bardzo nieszczęśliwa, gdyż dla wielu przyczyn nieszczęścia jej podobają mu się wielce. Ale gdyby nazajutrz spotkał się w rzeczywistości z nieszczęściem, któremu w przeddzień poświęcił swój wieczór, nie spojrzalby nawet na nie, bo to nie pora do śmiechu, ani do płaczu: to pora interesów.

III.

Owóż to przeciwieństwo zadziwiające między człowiekiem w teatrze a człowiekiem w życiu, rozciąga się dalej, aniżeli się to zrazu wydaje.

Za każdym razem, gdy mu kto mówi o prawdzie, o piękności, za każdym razem, gdy mu kto mówi o rzeczach wiekuistych, sądzi, że się znajduje na widowisku. Za każdym razem, gdy mu kto mówi o rzeczach niewidzialnych, sądzi, że się znajduje na widowisku. Rzeczy niewidzialne bowiem są dlań

bez rzeczywistości, stanowią dekorację sceny, na którą wprowadza go czyjeś słowo. Ale nie dajcie się oszukać; ten sam człowiek, jeśli mu nazajutrz będziecie mówili o czynach, których prawda wymaga, jeśli mu powiecie, żeby stosownie do praw stworzenia, przemieniał na chleb promienie słoneczne, wyśmiejcie was, jakbyście go namawiali, aby niósł pomoc nieszczęściom przedstawianym w teatrze. Nieszczęście owo oklaskiwał on chętnie, bo wiadomo przecie, że nieszczęścia bywają zazwyczaj oklaskiwane, oklaskiwał tedy je chętnie, ale to go nie zobowiązuje do niesienia im pomocy.

IV.

Każdy człowiek nosi w sobie pewną ilość ludzi, a ci różni ludzie różne miewają czasem przekonania. W jednym człowieku mogą się spotkać artysta, uczony, filozof, ojciec rodziny, pracownik, a każda z tych osobistości ma właściwy sobie sposób zapamiętywania się na rzeczy, przeciwny nieraz poglądom najbliższego sąsiada; ponieważ zaś wszystkie osobistości te pełne są umiarkowania, więc żyją pod wspólnym dachem we względnej zgodzie. Niekiedy artysta wysuwa się naprzód, wtedy ojciec rodziny chowa się do kąta. Innym razem ojciec rodziny zajmuje naczelne miejsce, wtedy artysta ucieka. Jeżeli między ludźmi mieszkającymi w człowieku wielorakim, o którym mówiłem, znajduje się przypadkiem chrześcijanin i jeżeli ten chrześcijanin nie owładnie swymi

towarzyszami, jako prawda najwyższa i pełna życia, wtedy mamy zjawisko potworne, śmieszne, niedorzeczne, które zapełnia jednak nasze ulice i nasze domy. Ów nieszczęśliwy chrześcijanin w swej własnej siedzibie oddany jest na pastwę dzikich zwierząt. Jeśli nie nawróci on artysty, który przemieszkując razem z nim w tym samym człowieku, artysta i chrześcijanin w tym samym sercu ludzkim będą cichą toczyli walkę, tem głębszą, że podobna będzie do haniebnego pokoju. Kiedy chrześcijanin zabierze głos, powie, że pewne rzeczy są prawdziwe. Kiedy artysta głos podniesie, powie, że pewne rzeczy są piękne, a te dwa rodzaje rzeczy będą pozostawały z sobą w przeciwieństwie. W tym sercu spustoszonem chrześcijanin burzyć będzie pewne bożyszcza, które wielbi artysta, a skoro chrześcijanin ustąpi na chwilę i artysta natomiast zapanuje, wzniesie napowrót zburzone bożyszcza i znów wielbić je będzie przez czas pewien. Chrześcijanin potępi artystę, jako wroga prawdy, którą człowiek wyznaje; artysta pogardzi chrześcijaninem jako wrogiem piękności, którą człowiek wielbi, i walka między temi dwoma osobistościami będzie tem dłuższa, tem bezużyteczniejsza i tem bezплоdniejsza, iż między niemi dwoma w tym samym sercu mieszka człowiek światowy. Ów człowiek światowy postara się doprowadzić do zgody artystę z chrześcijaninem. Obydwom doradzać będzie ustępstwa, każdemu naznaczy jego wydział; ustanowi się sędzią między nimi i wyroki jego nie dopuszczą do wyjaś-

nienia sprawy, dopóki wyższa potęga nie wkroczy, by ją wziąć w swe ręce.

V.

Z powodu obrazu św. Sebastjana, przebitego strzałami, pewien dziennik pomieścił następujące sprawozdanie:

„Zapewne, obraz ten nie ma stylu, ale wobec tematu danego, mniej nas to razi. Św. Sebastjan w Sztuce nie ma żadnych pretensyi mistycznych. Malarstwo zapatrywało się zawsze na jego męczeństwo li tylko z punktu widzenia malowniczości. Czasem jest to piękny młodzian z wdziękiem przywiązany do drzewa i wystawiający na strzały oprawców swą pierś Niobida, jakby ją mógł wystawić na strzały Amora. Czasem zaś jest to przedmiot amfiteatru anatomicznego, rozcinany pędzlem niby skalpelem“.

Wyobraźcie sobie teraz malarza religijnego, odtworzającego ten sam temat pod natchnieniem myśli, które podyktowały dziennikarzowi przytoczony wyżej pogląd.

Malarz ma brać się do pędzla w przekonaniu, że uprawiana przezeń sztuka zapatruje się na męczeństwo św. Sebastjana z punktu widzenia li tylko malowniczości. Czyniła ona tak z a w s z e, nic więc jej nie pozostaje, jak czynić tak i nadal. Nigdy nie zadała ona sobie pytania, kto jest w rzeczywistości św. Sebastjan i czym jest jego męczeństwo, nigdy

do głowy nie przychodziłoby jej takie pytanie, przed odtworzeniem tego przedmiotu na płótno. Ale obchodząc się tak ze św. Sebastyanem, nie miała wcale zamiaru czynienia mu obelgi. Postępowała raczej jak dziecko, biorące zabawkę do rąk. I krytyk nie dziwi się temu zjawisku, owszem, podnosi je z miną poważną. Przyzwyczajono się do tego.

Wobec św. Sebastyana, ani na chwilę sztuka malarska nie zastanawiała się nad tem, czem był w istocie rzeczy przedmiot, który podjąć zamierzała. Nigdy w świecie. Miała przecie farby na swoje rozporządzenie. Co ją obchodzić może św. Sebastyan? Poszukuje ona przecie tylko efektów malarskich.

A zresztą w Sztuce św. Sebastyan nie jest przecie mistyczny.

W Sztuce! Trzeba się dobrze zastanowić nad głębokością tego wyrazu. Św. Sebastyan gdziekolwiek indziej, św. Sebastyan w rzeczywistości, św. Sebastyan w historii, św. Sebastyan na ziemi, św. Sebastyan w niebie, może sobie być czem mu się podoba, sztuce malarskiej nic do tego. Wszakże to jasne. Jej potrzebny jest pewien szczególny św. Sebastyan, taki, jaki bywa w Sztuce. A jakiż on bywa w Sztuce? Powiedziano nam to łaskawie: bywa on malowniczy. Niech was to zatem nie dziwi, jeśli obraz pozbawiony jest stylu. Wobec danego tematu trywialność ta nie jest raziąca. W istocie, co może być bardziej trywialnego jak męczeństwo św. Sebastyana? Malarstwo

wobec tak pospolitego przedmiotu i wobec tak malowniczej osobistości, waha się jedynie między Apolinem i preparatem anatomicznym. Skoro znajdzie się ono wobec podobnej trywialności, skoro znajdzie się wobec Świętego, na pociechę swoją potrzebuje mieć demona, albo trupa.

Artysta, który w sposób tak malowniczy odtworzył tego demona, lub owego trupa, dał nam obraz religijny, ponieważ w katalogu galeryi obraz ten nosi imię św. Sebastyana.

Jaki jest sam obraz, nie wiem; ale oto, jak został oceniony, czy na to zasługiwał, czy nie. I takie rzeczy drukują się w lat przeszło 1800 po Chrystusie!

VI.

Jednem z najzwyczajniejszych uczuć u artystów jest pogarda dla Sztuki; jednem z najzwyczajniejszych uczuć u krytyków jest pogarda dla Sztuki.

Nazywam pogardą dla Sztuki przyzwalanie jej, aby kłamała.

Artysta pogardza Sztuką, gdy dąży do czego innego, niż do urzeczywistnienia prawdy. Krytyk pogardza Sztuką, gdy przebacza jej dążenie do ideału, nie mającego w sobie prawdy.

Słyszymy codzień to niedorzeczne zdanie, stosowane do pierwszego lepszego błędu, skoro ten błąd wyrażony jest w języku mniej lub więcej świetnym: To jest poezya.

następują, jak przerywają sobie wzajemnie i zlewają się z sobą.

Człowiek stracił wiarę i płacze: oto Rousseau. Zbyt lekki, a zresztą zbyt nikczemny, by dźwigać uczucie swego nieszczęścia, człowiek śmieje się po stracie wiary: oto Wolter. Wolter i Rousseau, to dwa wykrzywienia oblicza rozpaczy.

Rousseau posiada niejaką świadomość swego nieszczęścia; nieszczęście Woltera jest nieświadome. Człowiek ten stoi tak nisko, że śmiech jego nie jest wymuszony. Wolter upadł tak dalece, że po zabiciu, w granicach swej możności, Boga, człowieka, społeczeństwa, sztuki, śmieje się z pełni serca i tańczy na trupach swych mniemanych ofiar.

Człowiek, który stracił wiarę, żałuje jej przez czas pewien, następnie, w miarę jak pograża się w otchłani, żal jego ustaje wraz z jego pragnieniami, skoro zaś zstąpi na samo dno otchłani, człowiek pogardza Nieskończonością. *Quum in profundum venerit, contemnit.*

Rysem charakterystycznym Woltera jest pogarda Nieskończoności. Śmiech jego pożąda krwi, gdyż nosi w sobie rozpacz niedostrzegalną, ale śmiertelną. Dusza ludzka zawsze upomina się o swoje. Część poważna naszej istoty domaga się odwetu. Ironia oszukuje i nie zadawala. Są w naszym sercu otchłanie głębokie i uświęcone tajemnicą ducha, z których, gdy ich nic nie zapełnia, wydobywają się jęki niewysłowione. Próbujesz śmiać się spokojnie, jak czło-

wiek dobrze wychowany, ale mówię ci, bluźnierstwo stoi przy tobie, gdyż poza człowiekiem dobrze wychowanym jest człowiek prawdziwy; pod twoją odzieżą światową bije serce.

Pod szyderstwem Woltera, bez wiedzy szyderycy, kipiała krew ludzka i pragnęła wylać się na zewnątrz; rozkosz i wściekłość walczyły ze sobą i godziły się naprzemian. I było zgrzytanie zębów, jak w piekle. Wybuch śmiechu skończył się rokiem 1793, jako naturalnem swem rozwiązaniem. Aby zadowolić człowieka śmiejącego się bez radości, niedość krwi płynącej w żyłach całego człowieczeństwa. Nienawiść i śmierć wyrwały się nareszcie z serc ściśniętych, w których nazbierał się obfity ich zasób. Temu się tylko dziwić można, że wesołość Woltera tak małym się zadowoliła, że nie sprowadziła zagłady rodzaju ludzkiego i że historia mogła pójść dalej... Poszła dalej jednak, a ci, którzy przeżyli śmiech Encyklopedystów, zmuszeni do powagi widokiem mordów, naraz w inny ton uderzyli. Powstała nowa szkoła, która zamiast śmiać się ciągle, uwzięła się płakać bez ustanku. Romantyzm (takie bowiem imię przybrała ta szkoła) dwojakie ma źródło: wskazane przeze mnie gdzie indziej źródło literackie, tj. bunt umysłu ludzkiego przeciw mechanizmowi pedantów, a prócz tego źródło uczuciowe, będące nieuchronnym zwrotem duszy ludzkiej ku pragnieniom poważnym, które odłączone zostały od idei zdolnych je zadowolić, a przynajmniej niemi pokierować.

Każdy młodzieniec, który nie otrzymał zdrowego i gruntownego wychowania, przez czas dłuższy lub krótszy żywi pragnienia bezprzedmiotowe. Takim młodzieńcem była literatura romantyczna. Romantyzm, to nastrój duszy, zwróconej przez niedolę ku poważnym zadaniom, a zupełnie nieświadomej swego celu i drogi doń wiodącej. Odczuwa ona wtedy dotkliwie cierpienia, nie szukając lekarstwa na nie, i słowo ludzkie staje się jedną wielką skargą. Jest się wtedy zmęczonym dawnymi wybuchami śmiechu, bardzo dalekim od radości; człowiek skarży się, i wzywa rzeczy bezimiennej, która nie odpowiada na to wezwanie. To też pragnienie romantyczne wyrzeka się wszelkiego zadowolenia w czasie obecnym, a nawet przyszłym; jest ono muzykalnem poddaniem się rozpaczcy zorganizowanej. Ludzie szukają i nie znajdują nic; nie dziwią się nawet temu bardzo, bo wiedzą, że to, czego szukają, nie istnieje; wiedzą, że nic nie znajdują, a jednak szukają wciąż, szukają i wołają, lecz nic się nie zjawia. Czują wstręt do tego, co mają przed oczyma, żądają czegoś innego; ale czego, — sami nie wiedzą. I drapują się majestatycznie w tę nieokreśloność namiętnych swych pragnień.

Romantyzm jest pożądaniem Nieskończoności, pozbawionem Tego, który jest Nieskończony.

Romantyzm jest namiętnością, która wychodzi z założenia, że przedmiot jej nie istnieje.

To też epoka romantyczna musiała się zaznaczyć licznymi próbami stworzenia nowych religii.

W epokach zniechęcenia człowiek skłania się ku ubóstwieniu przyrody. Spragniony uwielbienia, a nieświadomy świata niewidzialnego, rzuca się na świat widzialny i mówi mu: — bądź Bogiem! — Ponieważ jednak Bóg ten nie jest Bogiem, człowiek unosi się gniewem, wielbi i przeklina naprzemian przyrodę, która nie troszcząc się o jego uwielbienia i jego złości, idzie wciąż odwiecznym porządkiem od zimy do wiosny i od wiosny do lata.

Tak więc rok 1830. nastąpił po r. 93, podobnie jak r. 93. nastąpił po Wolterze. I nic nie posuwa się naprzód i otchłań ludzka pozostaje zawsze otwarta. W r. 1830 melodramaty wzbudzają podziw dla zbrodni poczytywanych za wzniosłe; młode panny szczyć się, gdy są suchotnicami i pogardliwie spoglądają na towarzyszek zdrowe; te zaś zazdroszczą im, kaszlą z zapalem, chudną z radości i, być może, niektórym z tych nieszczęśliwych posiadaczek zdrowych płuc, udało się wkońcu przez naśladownictwo dostać suchot.

W r. 1830 cierpienia i śmierć są na porządku dziennym. W wieku XVIII. obrzucono szyderstwem wszelką wielkość i człowiek od swojej małości zażądał obrony przeciw swej własnej ironii. Wiek XVIII. poczytywał za śmieszne wszystko to, co było wzniosłe i boskie. W r. 1830 ludzie zakochali się w wielkości, a chcąc stać się interesującymi we własnych oczach, umyślnie doprowadzili się do stanu wzbudzającego litość. Męczennik swych przywidzeń,

człowiek z r. 1830 uwielbiał kobiety, które skazywały go na ostatnie męczarnie. Dla ukochanej, „która igra z jego łzami“, gotów był „skonąć na torturach“ z rozkoszą. Konać w męczarniach — oto szczęście idealne dla prawdziwego romantyka. Człowiek z r. 1830 cenił i praktykował samobójstwo; dziwna rzecz, że nie przywrócił tortury. Gotów był kaleczyć się własną ręką z zapalem, aby tylko wzbudzić zachwyt w innych ludziach i w sobie samym. Uważał się za zbyt wielkiego, by działać. Oczy jego uległy dziwnej chorobie, wskutek której widział wszystko w rozmiarach olbrzymich. Wolter sądził, że człowiek jest karłem, — człowiek z r. 1830 spotykał na ulicy samych olbrzymów. Pierwszy lepszy chłopiec, kończący szkoły i zbrojny kilkoma rymami, wydawał się sobie samemu spiorunowanym tytanem. A ponieważ na głos owego tytana komety nie myślały wstrząsać z trwogi swych warkoczy złocistych, więc wielki człowiek czuł się w obowiązku względem swej wielkości przyłożyć sobie pistolet do czoła, aby się pomścić na gwiazdach.

Zakochany w gwiazdach, oczekiwał od nich jakiegoś nieokreślonego szczęścia, ale straszliwie nie wdzięczne gwiazdy pozostawiały go bez pociechy. Stąd pistolet lub szczyt wieży kościelnej. Było to w najlepszym tonie rzucać się z niej w przepaść. Człowiek, zawieszony u gzymsu między niebem a ziemią, gotów w każdej chwili stoczyć się w przepaść, mógłby dać powód nieśmiałemu romantykowi

z 1830 r. do popelnienia niesłychanego grzechu zawiści.

Błdzi zwolennicy rzeczy pogrzebowych przechadzali się długi czas nad brzegiem smutnych jezior, strojni w pretensjonalną swą żalobę. Następnie, gdy ze swymi długimi włosami i melancholijnymi twarzami zeszli się pod cieniem wierzb płaczących, poczęli naśladować augurów rzymskich i oto śmiech odzyskał swe prawa.

Niepodobna jest człowiekowi grać ciągle tę samą komedię — maska spada; niepodobna powstrzymać okrętu — liny pękają; niepodobna powiedzieć: „oto, jaki jestem“ — wiatr zmienił się i człowiek jest już inny. Zanim zdąży odmalować swój portret — wyraz twarzy uległ już zmianie.

W r. 1850 dzieci w szkole poczęły wyśmiewać złudzenia, którym rzekomo ulegały. Rok 1830 miał zaledwie lat 20, gdy umarł ze starości.

Próbowano wtedy śmiać się, ale bez powodzenia; śmiech był tak samo zużyty, jak i łzy.

Synowie Woltera przez nienawiść dla swych ojców, wymyślali w r. 1830 nowe religie.

Wnukowie Woltera przez nienawiść dla naszych religii, usiłowali powrócić do Woltera.

Ale ateizm okazał się równie zużytym, jak nowe religie, a nowe religie okazały się tak samo zużyte, jak ateizm. Niezużyta pozostaje tylko — nuda.

Ona to po każdej klęsce zabiera do niewoli pozostałych przy życiu wojowników.

Ludzie nudzą się przy śmiechu, nudzą się płacząc. Szydzą — i tej roli również długo utrzymać się nie mogą. Człowiek jest istotą żyjącą: gdy nie miłuje, musi nienawidzić. Ogólna obojętność jest mu niedostępna. Człowiek, który mówi: „o nic się nie troszczę” — kłamie. Ironia nigdy nie może mieć ostatniego słowa u człowieka.

Ironia za sobą prowadzi łzy. Nie bez słuszności mówią: „kto śmieje się w piątek, ten płacze w niedzielę”.

Ale łzy, to krzyk wołającego, a wołanie, na które niema odpowiedzi, męczy wkońcu i ustaje. Po długim szukaniu człowiek, który nic nie znajduje, siada choćby na kamieniu, by spocząć.

Człowiek 1830 r. siadłszy na kamieniu, stał się człowiekiem r. 1850, tj. człowiekiem, powracającym do spokojniejszej postaci nudy. Wołanie jego nie zostało usłyszane. I oto widzimy go w rozczarowaniu. Od pewnego czasu u młodzieży naszej złudzenie przybiera postać rozczarowania. W tym stanie, godniejszym jeszcze śmiechu i pogardy, niżeli stan poprzedni, ludzie sądzą, że prawda jest oziębła i że entuzjazm należy do dziedziny błędu. Ale ponieważ ludzie mają upodobanie w błędzie, nadają mu więc nazwę, która im się ładną wydaje; zowią go „złudzeniem”. Człowiek 1830 r. poddawał się złudzeniom, ale lubił nadewszystko rozwichrzony ich rodzaj. Ten sam człowiek od r. 1850 wyrzekł się złudzeń, ale ich żałuje; ustatkował się i teraz się nu-

dzi. Oto, jak niektórzy ludzie pojmują nawrócenie. Sądzą oni, że nawrócenie jest oziębieniem duszy. Sądzą, że młodzież od pewnego czasu powinna szafować ogniem, jaki ma w sobie, ale w późniejszym wieku powinna się nawrócić, tj. począć się nudzić wedle pewnych reguł. Nie spostrzegają, że prawda znajduje się po stronie wprost przeciwnej. Nawrócić się, to znaczy zwrócić się ku Bogu, który jest płomieniem pochłaniającym. Nawrócić się, to znaczy przystać do tego, co daje uniesienia radości. Nawrócić się, to znaczy obrócić się ku miłości, to błagać Boga o część Jego życia, byśmy mogli kochać po bożemu. Nawrócić się, to być ogarniętym bez miary i ograniczenia przez niegasnące nigdy płomienie miłości niezmierzonej.

Ci, którzy biorą za nawrócenie spokojne znużenie zniechęconego romantyka, powinni zwrócić uwagę na pewien ciekawy objaw, dający się spostrzedz w obecnej chwili. Człowiek 1830 r., który pragnął jakiejś nowej religii, a nie znalazłszy jej, przez pewien czas przycichł, jeżeli się nie nawróci do pożerających ogni religii wiekuistej, będzie wołał raczej, zamiast spać ciągle, poddać się na nowo swoim dawnym złudzeniom i powrócić do swoich lat dwudziestu. Wiek młody oszukał go być może. Ale wiek dojrzały oszukiwać go będzie jeszcze bardziej. Woli on już biegać i nic nigdy nie schwytać, aniżeli nie biegając i nie chwytając nic, zanudzać się w nieruchomym spokoju. I oto patrzcie! Ludzie

powracają znów do odwiecznej starzyny; mury Paryża pokryte są starymi afiszami. Stary melodramat, który tak lubiłem w epoce, gdy nic nie kochałem, stary melodramat, który oszukiwał moje pragnienie i z którego tak wyśmiewałem się następnie, powraca obecnie. Powraca z krzykami dzikimi, z szaleństwami i rozpaczami, które przed kilkunastu laty wstrząsały murami naszych teatrów. Cóż chcecie? Człowiek woli to, aniżeli nic. Człowiek potrzebuje jakiegokolwiek pokarmu; gdy mu zbraknie chleba, chwyta za truciznę. Nienasycona natura ludzka potrzebuje zawsze czegoś i gdy się nie karmi ogniem bożym, który gasi pragnienie i orzeźwia, rzuca się na ogień, który pali i niszczy, aby tylko czuć cośkolwiek. Człowiek, który się oszukał, potrzebuje chleba żywota, nie nicestwa. Człowiek, który błdził w swych pragnieniach, potrzebuje chrześcijaństwa. Człowiek, który błdził w swych pragnieniach, pragnął nie za wiele, lecz za mało. Nie sięgał dość wysoko swem spojrzeniem. Ogół pospolity sądzi, że błdzić w swych pragnieniach jest to być nadto ambitnym. Rzecz się ma wprost przeciwnie. Błdzić w swych pragnieniach znaczy to nie być dość ambitnym, znaczy to chcieć zadowolić się tem, co nie jest Nieskończone. Tylko Nieskończoność nasycić może człowieka. Temu, kto pragnął nowej religii, potrzeba słowa bożego, potrzeba mu chrześcijaństwa takiego, jakim ono jest w swej istocie, chrześcijaństwa płomiennego.

Konwenans. Fantazya. Ład.

I.

Dzieło sztuki utworzone przez artystę drugorzędnego wypowiada, jaką była myśl jego. Genialne dzieło Sztuki oznajmia nam również, jaką była myśl artysty; ale z punktu widzenia znacznie wyższego, odsłania nam, jaką myśl ta nie była. Bo z natury rzeczy myśl ta, wyższa od wszelkiego wykonania, nie daje się nigdy zupełnie wypowiedzieć.

Artysta opracował bryłę marmuru i osiągnął w niej urzeczywistnienie pewnego piękna. Wydobyl on piękno ukryte przez ociosanie materii bezkształtnej, przez zniszczenie bryły, przez wydobyć formy wewnętrznej i niewidzialnej, która zawierała w sobie piękno ukryte poza materią, jak iskra kryje się we wnętrzu krzemienia.

Skoro uzna, że praca jego jest doskonała, to jest bez wady, artysta mierny zatrzymuje się zadowolony.

Człowiek genialny, skoro uzna, że praca jego pulsuje życiem, że pełna jest jego myśli, nasycona

i tryskająca ogniem jego duszy, zatrzymuje się także, ale zatrzymuje się mimo woli, smutny, zwalczony własnym swym tryumfem.

Przez ociosanie materii, będącej dlań zarazem przeszkodą i środkiem, zbliżył on dzieło do ideału, ale w chwili, gdy miał już osiągnąć szczytów myśli, musi się zatrzymać, gdyż przy następnej uderzeniu dłuta zepsułby swe dzieło, zniszczyłby je może.

Materia odmawia posłuszeństwa dalszym ciosom dłuta; jeśli artysta chce jeszcze je ponowić, zamiast życia, może śmierć dać swojemu dziełu.

Pragnąc, aby to dzieło było czemkolwiek, musi on je pozostawić niedokończone, musi pozostawić do odgadnięcia z tego, co uczynił, rozmiary i doniosłość tego, czego uczynić nie zdołał.

Każde arcydzieło jest szkicem. Niedokończenie jego jest znamieniem geniuszu, który wielkimi rysami rzuca swe pomysły, nie licząc na możliwość wykończenia ich. To jest jego znamię, jego przywilej, jego potępienie i jego wielkość.

A im więcej wykonanie zbliża się do ideału, tem głębszą i szerszą wydaje się artyście rozdziałająca je przepaść; im bardziej wzrasta ilość boków wpisanego wielokąta, tem silniej daje się uczuć nie-
możność zlania go z okręgiem koła.

Dla zwykłego artysty, czy wie o tem, czy nie wie, prawo jest formułą. Oto dlaczego może on łatwo znaleźć zadowolenie; program jego może być wypełniony.

Dla człowieka genialnego prawo jest życiem, życiem i światłem. To też ocean jego jest bezbrzeżny. Wie on, że formuła płodna, a przynajmniej pożyteczna niekiedy w nauce, absolutnie jałowa jest w Sztuce. Trzeba, aby pot spływał z czoła, jeśli pole życia ma być uprawione. Żadna formuła niezdolna jest tworzyć, ani zapładniać, żadna formuła nie zawiesi grona winnego na gałązkach winnej latorośli. Obyczajem jest geniuszu zastępować wszędzie formułę życiem.

Stąd wynika wzbudzony przezeń podziw. Ci, co są świadkami jego pochod, sądzą bezwiednie, że prawo to formuła, a teraz spostrzegają, że prawo, to życie i światło.

Tutaj zjawia się nam naznaczona w rysach ognistych linia graniczna między jednym i drugim. Wśród tych, co wyrwają sobie cześć świata i dzielą się nią, lub się nią nie dzielą, jedni byli ludźmi formuły, drudzy ludźmi życia.

Artyści, dla których prawo jest formułą, mogą, jak wyżej rzekłem, być sami zadowoleni z siebie, dodam, iż zdolni są zadowolić przez chwilę i publiczność.

Formuła jest receptą, którą trzeba tylko zastosować. Jest pewna ilość reguł dla napisania dobrej tragedii, skoro te reguły ściśle będą przestrzegane, tragedia będzie dobrze napisana. Tam, gdzie reguła zastępuje prawo, rzemiosło zastępuje sztukę, mechanizm zajmuje miejsce organizmu, sztuczna gra spo-

sobów miejsce życia. Owóż wszelkie sztuczne sposoby łatwiejsze są do opanowania, aniżeli życie. Przy pewnej cierpliwości można je sobie przyswoić. Życie zaś wtedy tylko może być uchwycone, gdy samo daje się uchwycić.

Prawo wynika z natury rzeczy.

Prawo sztuki jest wyrazem ładu w dziedzinie sztuki.

Reguła wypływa z umowy dowolnej.

Jest ona wyrazem zwyczaju podstawionego w miejsce życia, — mody, podstawionej w miejsce prawa.

Jest w duchu ludzkim ciasna dążność, która skłania go do zrzucenia z siebie jarzma prawa, łączącego go z powszechnością wszechrzeczy, aby natomiast zamknąć się w regule, będącej jego własnym dziełem i odosobniającej go od powszechności rzeczy. Zamknięty w regule człowiek, chroni się za formułę. Zastępując życie mechanizmem, zastępuje miłość programem. Życie nigdy nie ma dosyć własnej obfitości — mechanizm jest zadowolony, gdy mu nie brakuje żadnej z jego części składowych. Miłość czuje się zawsze niedoskonałą, ponieważ przyrównywa się do nieskończoności, o której marzy nawet wtedy, gdy jest uśpiona. Program nie żąda nic więcej, jak tylko, by wypełnione zostały postawione przezeń warunki.

Stąd łatwe powodzenie ludzi mechanicznych: ich talent dostępny jest wszystkim. Aby go ocenić, dosyć znać warunki programu przez nich wypienio-

nego. Sami wolni od wszelkiej myśli o nieskończoności, uwalniają od niej chętnie swych zwolenników, a uznanie tych ostatnich jest dla nich nagrodą zupełnie zasłużoną.

Aby ocenić jedności mechaniczne Boileau, wystarczy liczyć do trzech. Aby odczuć jedność żywą i organiczną, przez nie sparodyowaną, niema na to żadnego przepisu; trzeba ją odczuć, a liczyć nie potrzeba ponad Jedność. Wogóle reguły mechaniczne pociągają pospólstwo grubym powabem przezwyciężonej trudności. Człowiek mierny lubi liczne reguły, jak lubi widzieć płot na drodze rozpędzonego konia. Nie cieszy on się koniem, ale cieszy go śmieszne i szpetne zakłopotanie, w które głupota ludzka wprowadza szlachetne zwierzę: — lubi on na dewszystko sztuki i sztuczki.

Owóż im liczniejsze są reguły, tem więcej zasługi przypisuje sobie człowiek mierny ze ścisłego ich zachowania. Nie spostrzega, że owe reguły są to wybiegi, zapomocą których artysta niezdolny tworzyć, wyzwala się od jedynej trudności, wartej zwycięstwa, od walki istotnej, poważnej i pełnej chwały, w której, chwytając za bary materję i narzucając jej działanie formy, wydobywa z niej i tworzy piękno.

Człowiek genialny nie zadaje sobie trudu gwałcenia sztucznych reguł; zapomina o nich poprostu; a wskutek tego człowiek mierny znajduje go bezładnym, gdyż jego wzrok krótki nie sięga wyżyn

prawa, którego władzy poddał się człowiek genialny.

Jeżeli człowiek genialny sprzeniewierza się prawdzie, nie paroduje jej zapomocą reguł dziecinnych, lecz odwraca wprost przyrodzony porządek prawa przeciwko prawu samemu i rzuca się na oślep w otchłań, świadcząc głębokością swego upadku o możliwej wysokości swych wzlotów.

II.

Umysł ludzki ulega łatwo działaniu konwencyonalnych formuł; z natury swojej spragniony prawa, skoro zapomni o prawie powszechnem, usiłuje je zastąpić przez prawa poszczególne. Każdy nieład dąży do wytworzenia w swem własnem łonie względ- nego ładu, bez pewnego ładu bowiem sam nieład musiałby przestać istnieć i ustąpiłby miejsca ni- cestwu. Nieład, który nie chce uleść sile ładu praw- dziwego, ludzi się wytwarzając sobie ład pozorny; — gorączka nakłada sama sobie reguły.

Masz naznaczone spotkanie o godzinie szóstej pod pewnym zegarem; przybywasz o wpół do siódmej, ale zegar spaźnia się o pół godziny; ludzie znajdują, że przybyłeś na czas. Przybywasz o wpół do siódmej, ale zegar spieszy się o pół godziny, ludzie uważają, żeś się spóźnił o całą godzinę. Formuła konwencyonalna to zegar, który wskazuje inną godzinę, aniżeli słońce, i któremu ludzie przeciwko słońcu słuszność przyznają.

Wiersz, to zdumiewające zjawisko, zrodzone z po-

łączenia słowa i muzyki, służy nam za doskonały a pełen tajemnic przykład zastosowania prawa i reguły.

Słowo potrzebuje harmonii; wskutek tego chce przeniknąć w dziedzinę muzyki, nie mieszając się z nią jednak. Rozważmy przez chwilę wiersz, wedle tkwiącego w nim prawa i wedle narzuconej mu reguły.

Wpółśród ludzi, zwanych — nie bez ironii może —
wykształconymi, mało jest takich, którym poezya nie
przypomina najwznioślejszych radości, najjaśniejszych
uniesień i zachwyków, a jednocześnie też śmiesznych
wysiłków i niewdzięcznych trudów, poniesionych dla
niej w młodości.

Są tedy dwa rodzaje poezyi. Jedna objawia się nam w szczęśliwych godzinach wyzwolenia duchowego, druga, w godzinach trudu i ogłupienia bierze nas za swych niewolników. A właściwie jedna jest tylko poezya, która bywa często parodywana.

Wielki poeta nie jest li tylko wielkim pisarzem. Jest czemś więcej: jest władcą tajemnicy, którą zamierzam nieco bliżej wyjaśnić.

Gdyby wam powiedziano, że istnieje szczególna forma mowy, przystosowana do poezyi, z natury swej żyjącej entuzjazmem, odpowiedzielibyście zapewne: — Ta forma musi być najswobodniejsza ze wszystkich, musi być wyzwolona z wszelkich więzów, poeta powinien zależeć tylko od swego natchnienia.

Owóż rzecz ma się wprost przeciwnie. Zdawałoby

się mogło, że człowiek wziął sobie za zadanie gromadzić jak najwięcej trudności i wynajdywać dla umysłu, pragnącego ulecieć na wyżyny, jak najcięższe łańcuchy. Wiersz jest tworem tajemniczym, który tylko dzięki przyzwyczajeniu nie budzi w nas podziwu.

Co to jest rym? Na pozór, to przypadkowy zbieg końcówek. Gdybyś nie złożył nigdy dwóch wierszy i gdyby ci powiedziano ni ztąd ni zowąd: — „Zaczynaj” — zapewne, sądząc rozumowo, przypuszczałbyś, że to nietylko trudne, ale wprost niemożliwe. Jak można się spodziewać, że bez pogwałcenia myśli na końcu każdego wiersza znajdują się w sposób naturalny współbrzmiające rymy, że każdy wiersz będzie miał oznaczoną ilość zgłosek, że rymy męskie i żeńskie następować będą naprzemian i że te wszystkie niesłychane wymagania formy, które powinnyby gwałcić sens mowy, uczynić zeń pustą zabawkę, lub co najmniej zrodzić szereg zdań pozbawionych związku, przyrodzieją myśl królewskim płaszczem, za którym tęskniłaby musiała, gdyby go jej zabrakło.

W tem czarodziejstwie wiersza słychać jakby skargę materii, która zmuszona jest ciągnąć rydwan Harmonii, zwalczona i ujarzmiona przez nią, ale zarazem uczestnicząca w jej chwale i potędze. Dla czego w świetlanych godzinach natchnienia, gdy artysta nie szuka, lecz widzi, rym przychodzi doń sam przez się, ażeby przyrodzić myśl wspaniałością i blaskiem?

Czyż rym nie przypomina tych przypadkowych spotkań dwóch istot dla siebie stworzonych? Ta zgodność osób i rzeczy, które na pozór nie zdały się być przeznaczone do wspólnego działania, — czyż nie podobna jest do tej uległości słów i zgłosek, które nie śmia zwlekać swojego przyjsia, skoro myśl wzywa je na swoje usługi? Czyż naprawdę niema istot ludzkich, których imiona zdają się rymować ze sobą i które spotykają się pomimo tysiąca przeszkód, aby kiedyś stać się epizodem wielkiego poematu świata, gdyż tkwiące w nich typy ukrywały w sobie zaród tego powinowactwa, które może gdzieś poza światem nosi miano Harmonii.

Tak więc, chociaż ujęta w ścisłe formy panującego nad nią prawa, poezja rozwija się z nieprzebranej swej obfitości; jest ona rozpostarciem najgłębszych i najgorętszych naszych pragnień. Czyżby słowo także w poświęceniu miało czerpać zasoby swej siły i wzniosłości? Tak to przyćmiona na pozór, poezja staje się blaskiem słowa ludzkiego, zamknięta w granicach, ogarnia wszystko, ujęta w więzy prawa, jest śpiewem wolności.

Wiersz poetycki skazany jest na rytm, będący dlań niewolą czasu i przestrzeni. A tymczasem dzięki temu niewolnictwu, poezja wybucha w całej swej swobodzie, panuje nad czasem i przestrzenią i sprawia, że odczuwamy z drżeniem sąsiedztwo rzeczywiste wieczności, o której aż nadto często zapominamy. Oto, dlaczego poeta nazwany został tem sa-

mem mianem co prorok. Oto, dlaczego wielcy ludzie unieśmiertelnieni zostali przez poezję, która rozporządza przyszłością i miesza ją dowolnie z przeszłością, odnosząc obie do rzeczy niezniszczalnych. Jedną ręką dotyka ona świata widzialnego, drugą świata niewidzialnego i skoro poruszy na tym padole strunę wszechświatowej harfy, wprawia zarazem w drżenie inną strunę: odpowiadającą jej strunę świata niewidzialnego.

Oto jedna z form prawa.

III.

Co się tyczy reguł, czytajcie korespondencję Boileau i Racina. Pochwycicie w niej reguły na gorącym uczynku. Oto przykład:

Chodzi o to, czy Homer używał, albo nie używał wyrazów pospolitych. Boileau utrzymuje, że nigdy poeta grecki nie popełnił tego występku i że użyty przezeń wyraz „osieł”, w greckim języku jest bardzo szlachetny.

„Dobrze zważywszy,” — odpowiada na to Racine, „sądzę, iż zamiast nazwać wyraz osieł w greckim języku bardzo szlachetnym, należałoby powiedzieć raczej, iż nie ma on w sobie nic poniżającego i że stoi on na równi z takimi wyrazami jak jeleń, koń, owca. Epitet „bardzo szlachetny” wydaje mi się tutaj za silny”.

Oto, na jakim gruncie toczyła się rozprawa: do

jakiego stopnia wyraz osieł może być nazwany szlachetnym? Czy trochę? Czy wiele? Czy wcale nie?

Pewnego razu u pani de Broglie ktoś utrzymywał, że w *Fedrze* Pradona reguły ściślej zostały zachowane, niż w *Fedrze* Racina. Na to Boileau odpowiedział:

„Perypetya i agnicya powinny zawierać się jednocześnie w każdej tragedyi, jakoż znajdujemy je u Racina, a nie znajdujemy wcale u Pradona”.

Na to przeciwnik przerwał, zapytując, co to znaczy perypetya i agnicya.

„Jako”, — zawołał Boileau, — „chcesz Pan rozprawić o regułach, a nie znasz nawet zasadniczej terminologii? Pamiętaj nadal nie wdawać się w rozprawy o rzeczach, które ci są obce”.

Czy chcecie wiedzieć, czem były dla Boileau bóle porodu poetycznego? Przeczytajcie jego list do Racina, datowany z Auteuil i dołączony do rękopisu satyry o *K o b i e t a c h*:

„Ta praca zabija mnie” — pisze tam — „wskutek mnóstwa przejść i odcieni, które wedle mego zdania są najtrudniejszym arcydziełem w poezyi”.

Perrault napadał na Pindara; Boileau, zarzucając mu niepojmowanie greckiego pieśniarza „z powodu słabych wiadomości”, taką przy tem czyni uwagę:

„Perrault”, — mówi on, — „poczytywał za śmieszne te godne podziwu ustępy, w których poeta nie posiadający się wśród unoszącego go natchnienia, by to zaznaczyć, z umysłu przerywa jednolity ciąg mowy”.

Czy pojmujecie? Cóż to jest wielki poeta, jeśli nie szarlatan, który z u m y s ł u przerywa ciąg swej mowy, aby zaznaczyć, iż nie posiada się wśród unoszącego go natchnienia?

„Sądzę“ — ciągnie dalej Boileau, — „że nie mogłem lepiej usprawiedliwić Pindara, jak przez ułożenie ody francuskiej wedle jego wzorów, pełnej ruchu i uniesień, w której duch zdaje się raczej unoszony przez demona poezji, niż kierowany przez rozum“.

Postanowiwszy w ten sposób umyślnie być porwanym i wpadać w szal poetycki, Boileau dodaje jeszcze :

„Na wzór dawnych poetów dytyrambicznych sta-
rałem się używać w tej Odzie najsilniejszych prze-
nośni tak, iż białe pióro, które król nosi zwykle przy
kapeluszu, przyrównałem nawet do komety, fatalnej
jego wrogom, którzy sądzą się zgubionymi, skoro
ją tylko ujrzą“.

Trzeba by wszystko cytować, ale wstrzymuje mnie od tego pewien rodzaj wstydu; pozostało nam jeszcze dosyć wielkości w duszy, aby uczuwać wstręt do tego, co poniża naszą inteligencję. Powiedziałem dosyć o regułach, aby dać o nich wyobrażenie tym, którzyby ich dotąd nie znali.

IV.

Przed kilkudziesięciu laty grano u nas osobliwą komedję.

Pewna ilość zbuntowanych pisarzy uwzięła się

na reguły i konwenanse literackie. Mając dosyć energii, aby je nienawidzić, ale nie mając dosyć siły, aby nad niemi zapanować, powzięli oni przeciw regułom gniew szalony, który im się wydawał święty, a który był prawdziwą wściekłością, wybuchającą w obelgach. Ci młodzi ludzie, między którymi najgłośniejszym stał się Wiktor Hugo, odegrali bardzo poważnie i uroczyste rolę, polegającą na tem, żeby brać po jednym zwyczaje swych poprzedników i sprzeciwiać się im zawzięcie. Gdy ci ostatni nazwali coś białem, tamci krzyczeli, że to czarne. A żaden z nich nie dostrzegł, że wszyscy oni w odwrotnym kierunku ulegali przymusowi, z którego pragnęli się wyzwolić, gdyż obowiązek gwałcenia ciągle jakiejś reguły równoznaczny obowiązkowi ulegania jej zawsze i stanowi nową regułę, która jest odwrotną stroną poprzedzającej, często o wiele więcej jeszcze od niej krępującą. Byli to ludzie ducha stronniczego, nie mający dostępu do prawdy. Żaden z nich też nie wzniósł się do pojęcia Sztuki.

Żaden z nich nie był dość wielki, aby w obliczu Sztuki zapomnieć o sobie. I stało się, że wszyscy oni zostali zapomnieni z tego powodu właśnie, że chcieli błyszczeć i stać się głośnymi. Wszyscy szukali rozgłosu, to też żaden z nich nie okrył się chwałą. Jeśli wielu z nich osiągnęło czasowe powodzenie, to pochodziło ono z tych samych przyczyn, co powodzenie zwalczanych przez nich poprzedników. Pisarze ci, których zwano, nie wiem dlaczego,

romantykami, zadowolili siebie i publiczność, podobnie jak ich poprzednicy, zapomocą pewnej recepty artystycznej, odwrotnej, a zarazem identycznej ze sposobem poprzednim.

Był to ten sam mechanizm, działający tylko w kierunku wprost przeciwnym, a ponieważ działał on wedle programu, którego ściśle określone warunki mogły być wypełnione od pierwszego do ostatniego, artyści i publiczność mogli być zadowolonymi ze siebie nawzajem, oklaskiwać się bez zastrzeżeń i powstawać prawidłowo przeciw wszelkim prawdom, nie wykluczając żadnego z nich. Tylko prawdziwa wielkość celów i zadań nie pozwala artyście doznawać zupełnego zadowolenia z siebie. Chcąc być sprawiedliwym, dodać trzeba, że ona jedna tylko może dać zupełną radość. Gdyby rozgniewani przeciwnicy Horacyusza i Boileau patrzyli z wysoka, zamiast gniewać się, śmieliby się raczej, a gdyby spojrzeli z jeszcze wyższej wzniosłości, musieliby zapłakać.

Śmieszna walka klasyków z romantykami był to zapas krótkowzrocznych karłów, walczących w ciemnościach, aby pochwycić nieznaną zdobycz znajdującą się na wzgórzu, a niedostępną tak dla ich ramion, jak i dla ich oczu — zdobycz przeznaczoną dla orłów. Skoro Boileau i Wiktor Hugo zostali zwyciężeni, nie, jeden przez drugiego, ale każdy z nich przez siebie, walka ustała z powodu braku walczących: — obaj oni utonęli w niezdrowym potopie

swych słów pustych, jak dwie muchy w szklance wody, a żaden z nich nie tylko nie rozwiązał, ale nawet nie postawił problemu. Zamiast zapomnieć po prostu o istnieniu *Sztuki rymotwórczej*, szkoła 1830 roku miała słabość nienawidzenia jej, wskutek tego zamiast dać światu wyzwolenie, ukazała współczesnej publice śmieszne widowisko odwetu ¹⁾.

Charakterystyką każdego systemu jest stawianie ograniczeń. Owóż granice zarówno są bezwzględne w nowym, jak w starym systemie. Każdy system przez to samo, że jest systemem, sądzi, że nie dosyć jest mówić, jak się myśli. Kładzie na słowa inne obowiązki, niż te, które wynikają z własnej ich natury, pragnie im nadać piękno, pochodzące skądinąd, aniżeli z natury samych rzeczy. Największe nieszczęście, jakie może przydarzyć się stylowi, zachodzi wtedy, gdy jest on podziwiany niezależnie od wyrażonych w nim idei, a system skazuje go zawsze na to hańbiące nieszczęście. System każe mu być bądź to szlachetnym, bądź poufnym itd., a przez to odbiera mu jego chwałę, jego świetność, jego szlachectwo prawdziwe, polegające na niezłomnej wierności idei.

Nowi prawodawcy, którzy zasłużyli w zupełności

¹⁾ Nie myślę tutaj dawać wyczerpującej oceny autorów, których wyżej przytaczałem. Rozpatrywałem tu nie całkowitą ich działalność, lecz tylko błąd ich. Jest to strona, którą oni przynależą do dziedziny kaprysu i złudzenia. Nie może ona oczywiście starczyć dla całkowitej oceny ich indywidualności twórczych.

na tę nazwę, zastąpili konwencyonalną formułę fantazy, to znaczy inną konwencyonalnością, bo czemże jest wszelka konwencyonalność, jeśli nie fantazyą pewnej liczby ludzi? I naodwrot, fantazy jest nie czem innem, jak konwencyą, którą człowiek sam z sobą zawiera.

Konwencyonalność i fantazyja, nie mając nic wspólnego z nieskończonością, zadowolone są zawsze same z siebie i podobają się zawsze ogółowi pozorami nowości, któremi fantazyja pyszni się zuchwale, a które konwencyonalność ukrywa pod fałszywą postacią dawności. Ale ułudne zadowolenie wytwarzane w ten sposób, pozostawia poza sobą próżnię, która przez prawdę tylko może być zapełniona.

Człowiek jest tak mały, że lubuje się sam w sobie, ale też jest tak wielki, że tylko Bóg może go zadowolić. Przewódzca szkoły chce być panem, narzuca s w ó j system. Uczeń prawdy chce być sługą; przyjmuje prawo nie przez siebie uczynione. Owóż ten, który chce być panem, zapoznaje swą własną wielkość i pozbawiony jest prawdziwej ambicji, gdyż biorąc sam siebie za cel, zapomina o swym celu ostatecznym, którym jest jego chwała.

Tylko rola sługi jest dosyć wielką dla człowieka. Oby Bóg zesłał nam ludzi genialnych dosyć ambitnych, aby zapomnieć o sobie, dosyć wielkich, aby mieć pokorę, dosyć pokornych, aby stać się wielkimi, ludzi, którzyby przywrócili rzeczom ich majestat stracony.

V.

Wśród ludzi pospolitych jedni sądzą, że poezya jest to pewne ćwiczenie, które można wykonać przy pomocy formuły; inni biorą ją za waryatkę, której zasadniczym warunkiem jest bezład, która z istoty swej musi być wyuzdana. Tymczasem oto jest prawda:

Poezya i muzyka żyją miłością, a mają swą zasadę w prawach matematycznych, niewzruszonych i bezwzględnie ścisłych; możnaby powiedzieć, że miłość i ład, które nam się czasem wydają wrogami, w tym razie z pewną lubością głoszą swe zjednoczenie w najwyższych swych objawach.

Krytyka.

Krytyka! Słyszeliście nieraz zapewne ten wyraz. Ale czy człowiek, co go wymawiał, rozumiał jego znaczenie? Nie sądzę. Mało jest wyrazów bardziej zapoznanych. Gdyby prawdziwa krytyka literacka istniała dziś w Paryżu, oblicze świata zmieniłoby się w ciągu dni ośmiu.

Krytyka taka, jak zazwyczaj bywa uprawiana, gadatliwa jest, tchórzliwa i służalcza; nie umie ona mówić, nie może i nie śmie. Krytyk Paweł zna pisarza Piotra, musi go zatem oszczędzać — cokolwiek

by Piotr napisał. Zresztą Piotr podziwiany jest przez Jakóba, a zatem Paweł musi go także podziwiać. Zresztą Paweł nic nie ma do powiedzenia, nie ma ani idei, ani stylu, ani pragnień, ani żalów, ani widnokręgów żadnych. Uważa za słuszne, że Piotr jest do niego podobny i oklaskuje go. Albo też Paweł czytał w dzieciństwie książkę, podpisaną imieniem starem i znanem; od tego czasu Paweł podziwia tę książkę i stawia ją za wzór pisarzom przyszłości. Paweł najsilniej jest przekonany, że wszystkie książki, jakie czytał za lat młodości, są świętością, ale że żaden wyższy talent nie może już przyjść na świat i że Stwórca już się wyczerpał. Po Buffonie i Monteskiuszu, wedle przekonania Pawła już nic nie zostaje do powiedzenia.

Patrzac na Paryż, nieraz sobie mówiłem: Mój Boże! biedne miasto! Wieleż sił straconych porusza się w twem łonie! Podczas gdy oziębłe mierności zdobywają wesoło łatwe powodzenie, wieleż inteligencji zabłąkanych lub uwięzionych nie może znaleźć drogi wyzwolenia z braku przewodnika lub poparcia!

Wieluż ludzi młodych, którzy może życie w sobie nosili, odtrąconych zostało chłodnie przez niechęć, lub jeszcze sroższą obojętność — tę straszną obojętność, która nie znosi zamachów przeciwko sobie — i skazanych bez apelacji za to, że pozostali wierni sobie, mimo nakazu pedantów, pragnących, aby każdy podobny był do wszystkich i aby nikt nie

wznosił się ponad poziom znany? Jakież zadanie miałby krytyk, który, jak Herkules chciałby przebiegać świat, aby czynić sprawiedliwość?

Zastanówmy się na chwilę, co by się stało w Europie i w całym świecie, gdyby sprawiedliwość w rzeczach sztuki zapanowała w Paryżu ponad żywymi i zmarłymi. Przypuśćcie na chwilę, (nie lękajcie się, wszak to marzenie tylko), przypuśćcie na chwilę, że ta sprawiedliwość intelektualna wszędzie dzisiaj wraz ze słońcem bożem, ponad miastem uspionem! Przypuśćcie, że dane będzie ludziom uczuć choć przez jedną sekundę bicie serc, uderzających w jedną miarę z prawdą; rzucić tę zaslonę ołowianą, która mrozi, przygniata ich ramiona i zasłania ich oczy; zbudzić się w świetle żywym, wobec prawdziwego piękna, wolnymi od starych błędów, powtarzanych od dzieciństwa, pełnymi świeżej miłości, któraby i ich odmłodziła, pełnymi miłości tego, co się nie starzeje; — przypuśćcie, że słońce dzisiejsze oświeci ten widok i zgadnijcie, co oświecać będzie na powierzchni ziemi słońce jutrzejsze!

Ale zniechęcenie, ten straszliwy podstęp piekła, znajduje się zawsze, aby zmrozić duszę i zatrzymać ramię. „Nie zdołasz dokonać wszystkiego“, mówi ono, „więc nie rób nic“. Ale, naprawdę, czyż jest w tem słusność?

Czyż, aby mówić, trzeba czekać, aż cały świat będzie z góry przekonany? Ponieważ są głusi, czyż słowo straciło swe prawa?

Nie sędzę tego. Mówmy więc pomimo głuchych.

Mówmy więc o krytyce, jaką ona jest, i o krytyce, jaką być powinna.

Jeżeli powiem małej krytyce, że jest mierna i małostkowa, nie zdziwię jej tem bardzo. Ludzie dość łatwo godzą się ze swą miernością, żyjąc w przekonaniu, że nie można od niej się uwolnić, jeśli się nie chce wpaść w przesadę.

Ale jeśli jej powiem, że jest okrutna, zadziwi się, gdyż nie biorąc się na seryo, nie bierze też na seryo ran, które zadaje swą ręką chłodną, opiętą w rękawiczkę. Jeśli jej powiem, że nie zdolna zbudować cokolwiek, może jednak wiele zniszczyć; że nie mając dość siły, aby dać życie, przy całej swej słabości posiada zdolność zadawania śmierci, i że chcąc nie być okrutną, powinna stać się rozumną, wtedy niezdolna dobrze zrozumieć, co chcę powiedzieć, odpowie, że idę *n i e c o z a d a l e k o*. Zapewni mnie, że nie ma zamiaru zadawać śmierci. E, ja też nie mówię o waszych zamiarach! Wiem dobrze, że nie macie żadnych zamiarów, ale właśnie z tego wam zarzut czynię! Powinniście je mieć.

Temu, który ma sądzić, trzeba powiedzieć, że podniosłość, szerokość i głębokość nie są dla niego przedmiotem zbytku, lecz obowiązującym prawem.

Daj krytykowi pospolitemu nieznane arcydzieło. Zanim wypowie swój pogląd, zechce wprzód poznać twoje zdanie. Zanim poweźmie jakąkolwiek opinię,

przejdzie myślą wszystkie względy na korzyść osobistą, a okiem twarze wszystkich swych przyjaciół. Wyczerpawszy swoje zachwyty dla starożytnych, ma on tylko sztywną obojętność dla tych, którzy walczą, którzy cierpią i którzy potrzebują odwagi.

Zmieńcie podpis jakiegoś dzieła: stronice, które poczytywał za szalone, uzna teraz za wzniosłe i odwrotnie.

Pochlebia on, krępuje, prześladowuje.

Wogóle mała krytyka wszystko, co wielkie, uważa za niemożliwe; uznaje, że to tylko może istnieć co zawiera się w obrębie jej sfery widzenia. Owóż geniusz nie należy do tego obrębu; to też zapatruje się nań, jak swego czasu zapatrywała się na lokomotywy i telegrafy elektryczne. Co do ludzi znanych, dawno zmarłych, ogłasza ich genialność słusznie czy niesłusznie, nie wiedząc dobrze, co mówi, ponieważ przyzwyczaiła się poczytywać ich za genialnych i ponieważ przez pół tylko wierzy w ich istnienie. Rzuca tedy na wszystkie strony osobistościom, które ma za abstrakcye, wieńce chwały, które nic jej nie kosztują, gdyż nie istnieją wcale. Że przeszłość ma swoje chwały, godzi się na to, bo nie wierzy ani w przeszłość, ani w chwałę; ale teraźniejszość, ale przyszłość? Gdzież znowu!

To też owa krytyka grzeczna, poprawna, miódopłynna i mierna, żywi tylko przekonania umówione, podziwy przezorne i zachwyty urzędowe. Przebaczy ci nowoczesność, jeśli zarazem jesteś mierny; ma

ona bowiem dla mierności jakąś szczególnie serdeczną względność; poznaje w niej sama siebie i lubuje się w niej. Wtedy nawet, gdy jej nie uważa za wolną od wad, przebacza jej i wyrozumiewa wszystko.

Człowiek mierny to pieszczone dziecko, to beniaminek ciasnej krytyki. Ma ona dlań wyraźną słabośćkę. Dość, żeby mierność była miernością, aby miała prawo do względów owej krytyki, gdyż wady mierności same są mierne, a przeto sympatyczne krytyce, o której tu mówię. Nie razi one oczu, a wszystko, co nie razi, podoba się jej. Wady człowieka wyższego dają poznać osobistość, która żyje i rozwija się; mała krytyka nie cierpi ich, nie dlatego, że są wadami, lecz dlatego, że mają w sobie siłę.

Sama miękka i martwa, lubi ona wszystko, co miękkie i martwe. Lękając się, aby człowiek zbrojny ideą, nie wydał głosu, do którego ucho jej nie nawykło, przekłada ona o wiele tych, którzy piszą, aby nic nie powiedzieć; ci są jej uleglejsi, lubuje się ona i rozpoznaje w nich. Wzbrania ona człowiekowi być sobą samym i nakazuje mu być podobnym do każdego innego; zowie się to u niej: być surową. Zanim zacznie się zachwycać, szuka w swych zwyczajach, czy przyjętem było zachwycać się rzeczą daną lub rzeczami jej podobnymi, i w imię dobrego smaku, wzbrania ukazania się pięknu, którego rysopis nie jest jej z góry znany. Nie sądzi ona, aby sądzić — sądzi, aby się podobać tym, co ją sądzą; to

też lubi ona szczególnie ukute od dawna frazesy, bo te nie kompromitują w żadnym razie; wie ona, że taka moneta jest w obiegu. Dawno ukute frazesy są to starzy znajomi, którzy nie budzą w niej żadnej obawy. Człowiek mówiący własnym swym językiem jest młodym dla współczesnych, nim stanie się wielkim dla potomności. Mała krytyka przekonana, że wielcy ludzie nie byli nigdy młodymi, ani żywymi, że po wszystkie czasy byli oni starożytnymi, zmarłymi od czterech tysięcy lat, naigrawa się i odwraca się, gdy się znajdzie wobec wielkości współczesnej i żywej. Jej wstręt do geniuszu zmieszany jest ze wstydem. Wobec tego obcego dla niej zjawiska rumieni się ona sama za siebie. Wobec geniuszu wielkość prawdziwa polegałaby na schyleniu głowy, ale mała krytyka stoi zawsze wyprostowana i sztywna. Aby się zemścić wykazuje ona w dziełach genialnych brak przecinka, a mierność klaszcze w dłonie.

Z jakichkolwiek przyczyn pochodzi ten fakt zadziwiający, pewnem jest, że mierność nigdy nie traci głowy. Chce ona, by świat się stał jej łupem, domaga się tego z przeświadczeniem o swoim słusznym prawie, jakby świat osobistą był jej własnością. Przed ludźmi miernymi wszystkie drzwi stoją otworem, przed człowiekiem wyższym szczerlnie bywają zamykane.

Wspomnijcie na wielką ilość ludzi miernych. Nie spodziewajcie się, abyście zdołali wzruszyć mierność odwagą, bohaterstwem. Jest ona z natury nie-

litościwa! Gdyby raz dała się porwać i wzruszyć, nie byłaby sobą.

W jej wszystkich poruszeniach nic nie ma nieprzewidzianego.

Ma ona tylko jedno oblicze: usiłuje zachować uroczystą powagę. Jednocześnie jest ona swarliwa, małostkowa, zrzędna, ciasna i zawistna. Lubi rzeczy małe, rozmiary małe, zamiary drobne, fraszki zwyczajowe, lękliwe niedorzeczności, napotymane w życiu codziennem. Sądzi ona człowieka wedle wieku, powodzenia, stanowiska i fortuny. Sądzi go wedle jego przeszłości i pozorów, nie wierząc ani w rzeczywistość istoty ludzkiej, ani w jej przyszłość. Ma ona najgłębszy szacunek dla tych, którzy już drukowali. Bierze ona wszystko na wagę, nie na miarę. Nie ośmieli się ona powiedzieć wobec dzieła człowieka nieznanego: Oto chwała i geniusz. Jeżeli widzi człowieka tryskającego życiem i miłością, otacza go cmentarzem.

Jeżeli nastaje na okrucieństwo bezwiedne głupoty, czynię to ze względu, iż okrucieństwo zazwyczaj jest niedostrzeżone przez tego, który je popełnia, ani przez tego, który patrzy na nie z daleka. Geniusz, to cierpienie nieznajdujące nigdy litości, nawet u kobiet. Kobiety, które wzruszają się tak chętnie nad fałszywymi wielkościami, są często bez miłosierdzia dla wielkości prawdziwych. Lubią one to, co błyszczycy, nie lubią tego, co jaśnieje.

Wspomnijcie imiona tych wszystkich, którzy osiągnęli nie rozgłos, lecz chwałę; czytajcie ich dzieje.

Wypytajcie ich; odpowiedzą, że zużyć musieli więcej sił na rozsunięcie tłumu i zdobycie miejsca, niż ich potrzeba, aby stworzyć tysiące arcydzieł. Zużyli najczystsza krew swoją w walce zewnętrznej i bezpłodnej, która powstrzymała płodnorodną pracę sztuki; zniechęcenie po tysiąc razy skradło im i światu najpiękniejsze ich uniesienia, młodzieńcze ich zapaly; wieleż godzin, które mogły być godzinami genialnych natchnień, godzinami światła, które mogły promieniować w czasie i w przestrzeni i tworzyć rzeczy nieśmiertelne, stały się bezpłodnymi godzinami smutku i przygnębienia! Owóż, było to może dziełem małej krytyki, która pozostała obojętną. Wzięła ona sobie za zadanie przytłumić święty ogień, który miał obowiązek podtrzymać.

Bodajby ją żywcem pogrzebano!

Czy chcecie wiedzieć, jak wysoko wznieść się może krytyka? Patrzcie, jak nisko spaść może. Mierzcie jej dobrodziejstwa możliwe według spustoszeń, które sprawia.

Sztuka miewa różne okresy i fazy; nadchodzi czasem w jej życiu dzień, w którym osiąga pełną świadomość siebie. Czy każdy z nas nie przechodził tych wspaniałych godzin światła wewnętrznego, gdy wydaje się, że człowiek, w pełnem posiadaniu swej własnej istoty, dostrzega ją i rozpoznaje po raz pierw-

szy? Rzekłbyś, że uwolniony od przeszkód wszelkich i wyzwolony z ciemności, poza któremi ukryty był sam dla siebie, wkracza наконец w dziedzinę wolności i radości istnienia swego. Jest to rzut oka na sfery, które zdawały się stracone! Jest to zbudzenie spojrzenia ludzkiego. Chwile te rzadkie są i prędko mijają.

Najczęściej jesteśmy niewidzialni dla siebie samych, wyrzuci z siebie samych. Człowiek rozpoznaje się tylko przy świetle błyskawicy. Błyskawica przerywa ciemności nocy, jaśnieje przez chwilę i gaśnie, a człowiek żyje wspomnieniem, oczekując przyszłej błyskawicy.

Gdy błyskawica zabłyśnie nad Sztuką, to krytyka budzi się, powstaje. Trzeba oczyścić tę nazwę krytyki od znaczenia rzeczy z natury ujemnej, żyjącej negacją i szykaną. Krytyka znaczy r o z r ó ż n i e n i e. Owóż rozróżnienie jest to dzieło światła.

Krytyka jest sumieniem Sztuki.

Kiedy Sztuka dostrzega i odczuwa się, kiedy woła: — oto jestem; — ten jej krzyk radosny, to wznoszący się w górę lot krytyki. To też krytyka żyje entuzjazmem, nie przeczeniem. Wystawiają ją sobie zazwyczaj zwróconą ku nicości; ja ją widzę zwróconą ku istnieniu. Czas już, aby nauczyła się uwielbiać.

Jedna z prerogatyw geniuszu polega na tem, że entuzjazm, który jedynie może go odczuć, ma wy-

łączne prawo do sądzenia o nim. Mierność, pozbawiona tego odczucia, dostrzega w geniuszu tylko ujemną jego stronę, braki jego; sądzi go, jak urzędnik sądowy winowajcę. W oczach mierności geniusz zawsze jest winowajcą, a jeśli nie znajduje ona w lekcyach, które umie na pamięć, tekstu mogącego go potępić, niewiele się o to troszczy; jest on potępiony z góry w imię prawa bez określonej formuły, umyślnie stworzonego. Wielka krytyka żyje uwielbieniem, mała drobnemi szykanami. Entuzjazm w świecie obecnym jest rzadkością; niechże krytyka wyteży wszystkie swe siły dla pobudzenia go, a stanie się żywą. Niechaj przyniesie swą cegielkę do budowli nowej młodości, młodości oczekiwanej przez świat cały, bo brak młodości wielce czuć się daje na ziemi. Trupy wyziębione zaludniają pracownie i siedziby artystów.

Rozpusta przeszła tędy. Ona to włóczy po ulicach Paryża, w promieniach zawsze młodego słońca, owych starców dwudziestoletnich. Owóż, krytyka ma wzniosłe posłannictwo odświeżyć krew pracowników i przywrócić im młodość. Aby dokonać tego zadania musi ona mieć przedewszystkiem duszę, wiele duszy.

Czy nie wiecie, że artysta, który chce tworzyć, cierpi zawsze straszliwie? Czy nie pomyśleliście, że nie urzeczywistnia on nigdy tego, co chce urzeczywistnić? Czy pomyśleliście, że każde arcydzieło musi być nieodzownie ofiarą? Czy pomyśleliście, że

wielki artysta wydaje bitwę, mając pewność przegrania jej, że jest skazany na wieczne chybienie swego celu, ponieważ celem jego jest piękno doskonałe, do którego z wyższego rozkazu musi dążyć, a którego z zakazu wyższego nigdy osiągnąć nie zdoła?— Zużywać swe życie i zapytywać siebie, czy go się nie zużywa daremnie, zaczynać swe dzieło i powątpiewać o niem, wszystkiego się lękać, a postępować wciąż naprzód, jakby się nie miało żadnej obawy — oto jego los! Natchnienie potrzebuje światła, szczęścia, a jednak tylu jest ludzi pracujących w ciemności, w cierpieniu, którzy stłumili krzyk swego serca, którzy zapomnieli o swych bólach, aby nie stać się bezpłodnymi, którzy tworzyli, ponieważ chcieli tworzyć wtedy nawet, gdy już nie pragnęli tworzyć.

Napróżno zresztą wielki artysta próbowałby wypowiedzieć się szczerze przed swem otoczeniem. Jemu podobni nie z tego są świata. Musi on przechodzić mroźne przestwory samotności.

Skoro go ujrzy z daleka, mała krytyka (przypuszczam, że sama nie wie, co czyni) kole go tysiącem szpilek i bawi się, patrząc, ile kropel krwi pozostało mu jeszcze do wylania.

Czy pojmujecie wzniosłe zadanie, jakie staje wówczas przed krytyką prawdziwą? Powinna ona wznieść się dość wysoko, aby stać się pocieszycielką. Powinna wkroczyć śmiało na pole życia, jedną ręką ująć zimną dłoń tego, który idzie samotny, a drugą

wskazać go oczom ludzkim. Powinna być dość odważna, aby wielbić i piętnować otwarcie. Powinna ukazać całą hańbę stada ludzkiego, tak głupio uległego ślepcom, którzy mu przewodniczą, a tak głupio opornego wobec tych, którzy widzą światło dzienne. Tam, gdzie niema miejsca dla miłości, nie znajdziecie nic pięknego, prawdziwego, ani płodnego; charakterem zaś krytyki ujemnej jest brak miłości. Niechaj w krytyce zbudzi się miłość nieskończoności, a oblicze sztuki ulegnie zmianie. Jeżeli krytyka umiłuje nieskończoność, zdobędziecie się na spojrzenie ogarniające ogół zjawisk.

Pierwsze słowo człowieka miernego, gdy sąd wydaje, dotyczy zawsze szczegółu, i to pierwsze słowo jest zawsze fałszywe, choćby zawierało prawdę. Fałszywe jest miejscem, które zajmuje, fałszywe znaczeniem, jakie mu nadano, fałszywe odosobnieniem, w którym pozostaje. Zdaje się ono wykluczać wszystko, co nie jest w niem zawarte, zdaje się poczytywać za wszystko, to, co jest niczem, a wszystko, co naprawdę jest czemś, za nic.

Wielki krytyk zajmuje stanowisko dość wyniosłe, aby jednym rzutem oka objąć całość jej części. Nikt nie może sądzić tego, nad czem nie panuje. Upředzenia pospólstwa powodują stronnictwo. Entuzjazm natur wyższych powoduje bezstronność, która jest chwałą sądu. Entuzjazm daje odwagę, a odwaga pozwala podziwiać to, co piękne, piętnować to, co szpetne.

Czego więc potrzeba? Potrzeba śmiałości. Oto warunek zasadniczy.

Jeżeli jesteś wielki, krytyka powinna to wyrzec śmiało, choćbyś sam o tem nie wiedział i choćbyś się tem zadziwił. Powinna ona obchodzić się z tobą, jakiegokolwiek jest twoje miano i wiek twój, jak gdyby cztery tysiące lat przeszły ponad twym grobem. Taki jest jej obowiązek pod karą hańby. Jeśli skradłeś imię, które nosisz, powinna głośno to oznajmić, kimkolwiek jesteś.

Cóż więc przeszkadza nam śmieć? I czegoż się lękamy? Zkąd ten bezrozumny szacunek dla nicości? Czyż władztwo śmierci jest prawem nienaruszalnem? Dlaczego pozostawiać przywilej słowa tym, którzy chcą powstrzymać obieg krwi i bicie serca? Czyż jest przepis nakazujący względy dla niedorzeczności i bezecności, gdy trwają przez czas dłuższy? Podnieście więc głos wy, którzy sądzicie! Wobec tej Sztuki, którą nam dziś dają, podnieście głos potępiający! Pocóż macie oręż w ręku, jeśli z zimną krwią patrzycie na poniżenie powszechne? Jeśli znosicie ludzi, którzy zowią się artystami, a żywią obawę, że ziemia nie dość jeszcze przepelniona błotem? Pragną oni prześcignąć hańbę życia rzeczywistego hańbą życia urojonego, do którego nas wprowadzają.

Wzbudźcie więc w publiczności przytłumioną iskrę: pragnienie piękna! Krytycy, podnieście głos i powiedzcie tym ludziom: — Wy artyści, wy ludzie oble-

czeni taką godnością i taką potęgą, iż myśl wasza staje się chlebem, który karmi innych ludzi, i krwią, która krąży w ich żyłach, wy stróże czystości języka, wyście splugawili język, wyście zarazili współczesnych swymi występami, aby następnie ciągnąć korzyści z ich upadku, będącego waszem dziełem! Wy, którzy nosicie imię artystów i którzy za drogie pieniądze sprzedajecie hańbę ludziom, uprzytomnijcie sobie utraconą godność, ażeby zmierzyć, jeżeli to jest możliwe, całą głębię waszego upadku!

Wielki krytyk szuka wielkiego poety, jak żelazo szuka magnesu. Nie pytajcie mnie, który z nich wyższe zajmuje stanowisko, nie oznaczam im stopnia. Otaczam ich tym samym szacunkiem, tym samym podziwem. Krytyka jest jedną z najwyższych form Sztuki. Krytyk użyźnia grunt i głosi prawa. Odkrywa on poetę i wieńczy go. Obaj oni wytrzymali próbę. Obaj byli odważni, walczyli i cierpieli. Obaj mieli zaszczyt obudzić te same gniewy. Ci, którzy schylają czoła przed każdym powodzeniem, zarówno ich znienawidzili. Niechże więc będą złączeni w tej samej chwale. Pozwólmyż im więc spotkać się i ucisnąć na wyżynach odwagi i na wyżynach radości. Ten, który może powiedzieć nieznanemu pracownikowi: — jesteś człowiekiem genialnym! — ten zasłużył na nieśmiertelność, którą przyobiecuje. „Zrozumieć, to dorównać“ — powiedział Rafael.

Pole krytyki rozleglejsze jej, niż sądzą ogólnie. Nie jest ona ograniczoną do uprawy tego lub owego

drzewa. Cała przyroda jest jej dziedziną. Powinna ona być wszędzie obecną, gdzie jest wielkość zagrożona. Przebyła ona przylądek Dobrej Nadziei wraz z Vasco de Gama. Wszystkie tony, wszystkie harmonie powinny być dopuszczone w jej słowie, wolno jej miłować, wolno jej zachęcać. Miała ona swe miejsce przy Krzysztofie Kolumbie na pięć minut zanim okrzyk: — Ziemia, ziemia! — rozległ się na pokładzie szczęsnego okrętu. I to jest właściwe jej miejsce, jej trud, jej przeznaczenie, jej chwała. Wierność, wierność! oto tryumfalne jej hasło. Wierność, to trwałość zdobyta przez entuzjazm. Krytyka powinna być wierną jak potomność i głosić w chwale obecnej słowo przyszłości.

Krytyka w obliczu człowieka, która oczekuje sądu, powinna rozpocząć rolę ludzkości i zagrać pobudkę hymnu, który potomność wygłosi nad jego grobem. Powinna ona tworzyć imiona, tworzyć sławy, pobudzać do lotu. Czyż nie warto zrywać palmy takiej zasługi?

Styl.

I.

Co to jest styl?

Styl to słowo ludzkie. Słowo ludzkie powinno być szczere i rozważne, czyli — łącząc w jednym wyrazie dwa te wyrazy: — powinno być prawdziwe.

Prawda, która jest prawem myśli i prawem życia, jest także prawem słowa i zawsze tą samą jest prawdą.

Błąd, który wszystko rozrywa, zdołał dać odrębny kierunek myśli, odrębny życiu i odrębny słowu, i wynalazł dla tych trzech dziedzin reguły wyłączne i sprzeczne z sobą.

Zbudźmy się. Otwórzmy oczy. Zobaczmy prawdę najprostszą i najbardziej zapoznaną: — Jedność prawa.

Prawda jest życiem. Jasne jest, że człowiek powinien żyć w prawdzie.

Jasne jest, że myśl jego powinna odpowiadać tej samej prawdzie, co jego czyny, gdyż niema dwóch prawd sprzecznych z sobą.

Jasne też jest, że słowo ludzkie powinno odpowiadać tej samej prawdzie, co myśl i czyn człowieka, ponieważ niema trzech prawd sprzecznych ze sobą.

A zatem człowiek powinien:

Żyć w prawdzie.

Myśleć tak, jak żyje.

Mówić tak, jak myśli.

Oto jest prawo stylu. Jest ono pełne prostoty, albowiem jesteśmy tu w dziedzinie prawdy.

Czy to znaczy, że styl wszystkich ludzi winien być jednaki?

Wcale nie; gdyż jeśli prawda jest jednolitą, my różnimy się wielce jedni od drugich, i różnorodne, choć nigdy nie sprzeczne między sobą, są wrażenia, które od niej odbieramy.

Pod tymi samymi promieniami słońca zakwitają lilie i róże. Lilie i róże w odmienny sposób przyswajają sobie ciepło i światło, ponieważ ich ustrój wewnętrzny, ich potrzeby, ich wrażliwość rozmaite są, choć sobie wzajemnie nie przeczą.

Błąd jednostajny jest, a pełen sprzeczności. Prawda jest jednolita, a zawsze nowa. Pozostawia ona każdemu własny jego styl.

Idee, które dany człowiek wypowiada, są własnością ogółu. Ale styl tego człowieka jest wyłączną jego własnością.

Włóżcie te same słowa w usta dwóch ludzi, nie wydadzą one tych samych tonów.

Oto człowiek pewien mówi; sfera dźwięczna, która go otacza, szeroka jest, drgania jego głosu rozbrzmiewają w świecie, który go pojmuje; i oto słowem swoim otwiera wam on okno na nieskończoność.

A ówdzie mówi inny człowiek. Wymawia te same zgłoski; ale otaczająca go sfera dźwięczna zaciężniona jest, głos jego nie rozlega się. I oto nie dostrzeżliście nic poza bezpośrednim znaczeniem wyrazów, które wymówił.

Styl jest wykwitem naszej osobistości, jest naszym tworem.

Nie tworzymy idei, które wypowiadamy, ale tworzymy styl. Człowiek, nie będąc geniuszem, może dojrzeć wielką prawdę. Ale, aby ją wypowiedzieć w wyrazach ostatecznych, w języku nieśmiertelnym, by ją podpisać swoim imieniem, by ją w obliczu rodzaju ludzkiego zespolić z tym podpisem, na to trzeba być człowiekiem genialnym. Właściwe siedlisko geniuszu, to styl, styl jest jego stolicą, jego znaczeniem, jego chwałą. Cokolwiekbyście wypowiedzieli, jeśli nie macie stylu, nie będziecie mieli chwały.

Styl nie może być zastąpiony przez myśl, jakkolwiekby myśl była świetną lub wspaniałą. Nic go nie zastąpi. Jest on koniecznym warunkiem chwały: — jak ona musi być zasłużonym i jak ona musi być zdobytym.

Powiadamy o jakimś człowieku, że włada pewnym

językiem, gdy mówi nim tak, jak chce mówić. Zaiste bowiem język nie oddaje się pierwszemu lepszemu; wymaga on walki i temu tylko się podda, który go zwycięża. Ludzkość, tak odporna dla myśliciela, wtedy dopiero zaczyna go podziwiać, gdy świetnością swego słowa zdobył sobie jej cześć. Zgina ona się z musu pod uderzeniem słowa i zdaje się mówić mimowoli, stosując to do wielkiego pisarza, który walczył ze swemi ideami, aby niemi owdnąć i z językiem, aby go ujarzmić:

Niechaj panuje z chwałą nad własną zdobyczą,
I niechaj głowę swoją zwycięstwem uwieńczy!

Skoro człowiek zdobył styl własny, wtedy, jak monarchowie, nie może przejść niedostrzeżony. Poznają go, skoro się tylko odezwie. Skoro się tylko ukaże, zdradzi się.

Retoryka radzi wam naśladować wielkich pisarzy. Sądzi ona, że mają oni receptę i że należy tylko poznać ją dokładnie. Tymczasem recepta ich polega na tem, że są sami sobą. Osobistość ich nie może być zgwałcona, nikt nie może jej sobie przywłaszczyć. Można tylko skraść jej odzież. Lecz oto kara zasłużona złodzieja: odzież skradziona nie leży na nim dobrze, za obszerna jest dla niego.

Dajcie jednemu człowiekowi idee innego człowieka dajcie mu wszystko: plan dzieła, całość i szczegóły, materiały, wszystko, aż do słów, a nigdy oba dzieła nie będą do siebie podobne.

Wielki pisarz i ów drugi, mały lub średni, na wieki rozdzieleni są przepaścią. Każdy z nich będzie miał swój styl.

Styl! Oto wielkie słowo, oto imię tajemnicy. Ale jakie jest znaczenie tego słowa? Co to jest styl naprawdę?

Ta sama idea, gdy przeniknie tysiąc inteligencji, będzie przez nie oddana w tysiąc różnych sposobów. Owe sposoby wyrażenia będą rozmaite, jak rozmaite będzie praca tajemna, dokonana przez ideę w myśli każdego z nas. Nasz sposób wyrażenia myśli wpływać będzie z przeróbki, jakiej myśl ulegnie w naszej duszy. Myśl nada słowu postać, jaką sama w nas przybierze. Pochłonięta przez nas, wchodzi do naszej pracowni umysłowej, urabia się tam odpowiednio i objawiając się na zewnątrz, ukaże się w tem odzieniu, jakie jej nada odrębność naszej umysłowości. Stosunek wytworzony między nią a nami, objawia się w słowie. Styl nasz, to podpis osobisty położony na pewnej idei. Styl nasz, to nasz herb, nasze znamię, nasz profil, nasza korona, która sama się odciska w gorącym, roztopionym jeszcze metalu słowa.

To samo prawo działa wszędzie; jest to prawo wszechświata. Jedność tworzy piękność ciał; piękno wybijając monetę z materii, wyciska znamie królewskie na jej masie martwej i bezdusznej.

Styl wielkiego pisarza i retora będą się różniły, jak różnią się kwiat róży jaśniejący na krzaku i jego naśladownictwo z papieru.

Pierwszy będzie tworem organicznym, drugi fabrykatem mechanicznym.

II.

Styl organiczny, to słowo żywe na usługach idei żywej. Styl mechaniczny, to układ słów, stworzony dla wyrażenia martwych pojęć-formuł. Styl organiczny trafia w sam rdzeń rzeczy, przenika w żywe ich ciało; styl mechaniczny ślizga się po ich powierzchni; rzekłbyś, że lęka się mówić, gdyż ma nieczyste sumienie. Pierwszy jest wolny, szczery, dobitny, śmiały; jest bez trwogi, gdyż jest bez zarzutu; — drugi jest lękliwy, nieokreślony, wątpliwy, kłamliwy. Pierwszy jest nawskróś osobisty; wymaga, aby człowiek myślał, i mówił, co myśli, aby wierzył szczerze, istotnie, żywo w to wszystko, co mówi. Drugi zbiera na wszystkie strony zwiędłe kwiaty, które tysiąckrotnie były już w użyciu; składa się całkowicie ze starych szmat. Pierwszy chwytą myśl tak silnie, iż tworzy z nią jedno ciało. Nie można go od niej oderwać, nie można się zachwycać słowami odłączonymi od idei, ani pomyśleć idei bez użycia wyrazów, które ona sama, zda się, dla siebie wybrała. Drugi jest luźną draperyą, która fałuje dokoła myśli, nie dotykając jej nigdy. Pierwszy jest walką — drugi fechtunkiem.

Nazywam pierwszy styl organicznym, ponieważ wyrasta on żywo z idei, jak kwiat ze swego pączka;

piękność jego jest promieniowaniem na zewnątrz piękności wewnętrznej, którą nam objawia; umie on uwydatnić widocznie i dobitnie wszystkie postaci myśli; pozwala zabłysnąć ukrytym jej świetnościom i rozprawdza wszędzie światło słowa; oświeca ścieżki, podkłada ogień pod prochy, aby wybuch i płomienie rozbudziły śpiących.

Nazywam drugi styl mechanicznym, ponieważ jest on sztucznym wytworem pierwiastków zewnętrznych i kawałków obok siebie położonych; jego bogactwo jest nędzą, gdyż jest zapożyczone, nie należy do niego; pochodzi z zewnątrz. Między obu tymi stylami zachodzi taka różnica, jak między człowiekiem żywym i automatem. Styl organiczny ma ruchy własne, nieprzewidziane, uniesienia serdeczności i zapалу samorodne, urozmaicone, jak życie; zmienia on wyraz jak oblicze ludzkie, jest on żywy i przenikający, jak ogień i spojrzenie.

Styl mechaniczny ma wymierzone ruchy maszyny. Nie ma wdzięku, bo nie ma siły; jest nieruchomy, a jeżeli zda się poruszać, ruch jego chłodniejszy jest jeszcze, aniżeli nieruchomość. Czuje się zamiar mechanika, który chciałby niekiedy go ogrzać, lecz nie mając na swe rozporządzenie ciepła, porusza tylko sprężyny.

Styl mechaniczny jest niekiedy wykwinny w fałszywym znaczeniu tego słowa.

Styl organiczny jest zawsze prosty, ale jego prostocie wolno przypominać prostotę gromu, gdy dwie

chmury naelektryzowane spotykają się w przestworzu podczas dnia burzliwego.

Styl mechaniczny jest sentymentalny, przesiąknięty tem fałszywem i głupowatem namaszczeniem, które zdaje się być przeznaczone do recytowania ogólników. Ton sentymentalny odkrywa grunt duszy mówiącego, a tym gruntem: głęboka nieczulość.

Styl organiczny jest pełny, silny i czysty zarażem, skupiony w sobie i wylany na zewnątrz. Nosi w sobie tę wstydlivość wielkich myśli i wzruszeń głębokich, które, tem spokojniejsze im bardziej ogniste, okazują miarę nawet w rozwinięciu całej swej wspaniałości. Ma on nieskazitelną ciał twardych, które zawierają ogień ukryty w swych żyłach; ogień jest siłą oczyszczającą. Styl ten przeszedł przez ogień, jest on skałą, jest dyamentem.

Styl mechaniczny rozlaży jest i klejowaty.

Jeżeli rada retorów, rada naśladowania wielkich pisarzy, albo tych, których oni za takich poczytują, jest śmieszna, to rada przyswajania ich sobie może być radą poważną. W istocie, obcując z geniuszem wielkiego człowieka, możemy tak się nim przeniknąć i nasycić, że coś z niego przejdzie w nas; pod warunkiem wszelako, że na to zasłużymy i że przedstawimy jego promieniom podatną powierzchnię. Nie może to być osiągnięte przez kopię, przez zastosowanie pewnego sposobu, lecz tylko przez bezpośrednie udzielanie się ciepła i życia. Człowiek nie żyje jak zwierzęta niższych gatunków przez wchła-

nianie, lecz przez przyswajanie. Otóż pisarz daje nam na pokarm duszy swój styl, słowo swoje, czyli siebie samego. Wolno nam żywić się nim.

Staralem się określić w sposób ogólny, co to jest styl.

Postaram się teraz przedstawić, jakim był styl różnych ludzi.

III.

Rzućmy okiem na ogół pisarzy; w samej naturze ich zawiera się podział na trzy klasy.

Jest naprzód między nimi klasa dzieci. Człowiek-dziecię spogląda na siebie i dokoła siebie; dziwi się i zachwyca, dziwi się wszystkiemu i wszystkim się zachwyca. Przygląda się własnej myśli i działaniu z podziwem naiwnym i radością dziecięcą. Nie myśli jeszcze o tem, jakby można lepiej myśleć, lepiej działać. Cieszy się tem, co ma, jak dziecko, ciesząc się swemi zabawkami. Spogląda dokoła siebie; widzi, że światło jest piękne i powiada to. Przygląda się materji, maluje ją słowami; maluje ją i na tem koniec. Nie zastanawia się wyraźnie nad stosunkiem, w jakim może do niej pozostawać; w rzeczach miłuje rzeczy same.

Typem poety-dziecka jest Homer. Homer daleki jest od ideału geniuszu ludzkiego. Jeżeli starożytność nie przewyższyła go, to dlatego, że naśladowała go zawsze, a naśladownictwo wyklucza wyższość. Żadna kopia nie przewyższa swego wzoru. Człowiek

może przewyższyć Homera i przewyższyć go olbrzymio, ale Homer pozostanie na zawsze nieśmiertelnym dzieckiem. Epitety charakterystyczne, nazwane od jego imienia epitetami homerycznymi, tak rażące we wszelkim przekładzie, dają się objaśnić wiekiem poety, odpowiadają dziecinnemu jego charakterowi. Homer patrzy wiele więcej, aniżeli myśli. Widzi swego Achilesa, a ponieważ lekkość nóg jest przymiotem widocznym, uderzającym oko dziecka, kojarzyć będzie dalej nierozłącznie ten przymiot z wyobrażeniem Achilesa i Achilles będzie zawsze u niego Achilesem lekkonogim. Gdyby go nam przedstawił ranionym, sparaliżowanym, zwałby go zawsze lekkonogim, podobnie jak zowie Jowisza mądrym, chociaż go przedstawia oszukany, wyśmiany i bezrozumny. Epitet homeryczny wynika nie z uwagi uczynionej w odpowiedniej chwili, lecz z dokonanego raz na zawsze stwierdzenia faktu. Homer jest poetą stwierdzania. Zdumiewa się i nie roztrząsa, sam usuwa się w cień wobec przedmiotów, by nam mówić, czem one są. Homer wchodząc w życie, jest jak dziecko przybywające do wielkiego miasta. Rozgląda ono domy jedne po drugich, nie na to, aby sądzić o nich, lub je klasyfikować, lub wybrać jeden z nich, lecz aby je oglądać. Jeden jest biały, drugi szary, ten niski, tamten wysoki. Później dopiero wejdzie na szczyt wieży kościelnej i zobaczy miasto. Wtedy się zorientuje, wynajdzie drogę wiodącą do oznaczonego punktu. Tymczasem przechadza się tylko.

Dziecko nie idzie nigdy z określonym celem. Sama droga jest dla niego celem. Oto dlaczego opowieści Homera są takie przedłużone. Sprawia mu taką przyjemność patrzeć na tarczę, iż zatrzymuje się przed tym ciekawym przedmiotem, nie myśląc o czasie. Dziś możemy objaśniać Homera, wykazywać, że on był ojcem całej poezji greckiej; ale on siebie nie badał; patrzył tylko i malował słowami.

Ale świat się starzeje i Homer nie może być wieczny. Dziecko zachwycało się blaskiem złota, człowiek pragnie posiadać złoto. Przyjemność oczu nie wystarcza mu. Ludzkość musi zmienić styl. Dziecko widziało i oddawało tylko barwy, człowiek zwraca się do badania zjawisk. Dziecko patrzyło na przedmioty, aby je widzieć, człowiek będzie na nie patrzył, aby ich użyć. Dziecko nie odnosiło ich do niczego, człowiek odnosi je do siebie samego. Ten zwrot na siebie samego zmieni głęboko jego sposób wyrażania się. Przed chwilą mówił, aby słowami malować, teraz mówi, aby mówić dobrze. Wsłuchuje się w swe słowa. Jego mowa nie jest już samorodnym objawem radości lub smutków, nie jest krzykiem lub śpiewem, staje się utworem literackim. Przed chwilą natura była dlań tylko ciekawym widowiskiem, teraz poczyną rozważać ją jako pole do uprawy, a ponieważ myślał o sobie, gdy badał, nie przestaje myśleć o sobie, gdy mówi. Na miejsce Homera występuje Wirgiliusz.

Na nieszczęście człowiek zachwycony pięknnością

dziecka, stara się je naśladować. Oto dlaczego epitet homeryczny, dobry u Homera, śmieszny jest u Wirgiliusza. Bo Homer posługuje się nim nie postrzegając go prawie, podczas gdy Wirgiliusz słysząc i wymierzając z największą starannością wszystkie zgłoski, gdy wymawia wyraz, używa go z rozmysłem. Jeśli tyle rzeczy wybaczymy Homerowi, to dlatego, że nie możemy liczyć się ściśle z dzieckiem. Jeśli Wirgiliusz razi nas często, to dlatego, że jest człowiekiem światowym. Nie jest on dzieckiem, nie jest też przyjacielem; jest światowcem, który przywdział strój wykwinny, aby prowadzić z nami rozmowę, i który z upodobaniem wsłuchuje się w dźwięk swych słów. Nie jest on tyle niedoświadczony, ani nie ma jeszcze dość doświadczenia, aby o sobie zapomnieć, gdy z nami mówi. Wyszedł już z dzieciństwa, a nie osiągnął jeszcze dojrzałości. Stracił swobodę, a nie odzyskał jej jeszcze na nowo.

Lubimy Achileśa lekkonogiego, nie lubimy pobożnego Eneasa: bo Achilles ma dobrą wiarę w swej chyżości, Eneasze nie ma jej w swej pobożności. Odyseusz poszukuje swej Itaki, aby raz jeszcze ujrzeć dym wznoszący się wieczorem ponad dachami chat; Eneasze wiedziony jest do Italii przez względy religijne i polityczne, których zdaje się nie pojmować. Nie jest on poważny, ani wzruszony; ma uroczystą minę głupca. Pobożność jego podobnie jak dzielność Giasa i Kloanta (*fortemque Giam — fortemque Cloanthum*) zjawia się w chwilach kry-

tycznych, wymagana przez miarę wiersza, ale sam autor nie zdaje się przywiązywać do niej wielkiej wagi. Zauważmy, że epitet homeryczny odnosi się zawsze u Homera do przymiotu zewnętrznego znajdującego się naprawdę tam, gdzie został spostrzeżony. U Wirgiliusza odnosi się on do przymiotu moralnego, w który autor zdaje się sam nie wierzyć. Homer widział biegnącego Achileśa. Ale jeśli Eneasze był pobożny, a Kloant dzielny, Wirgiliusz z pewnością nic o tem nie wiedział, a im więcej to powtarza, tem mniej zdaje się o tem wiedzieć.

Krytycy wynoszący Wirgiliusza przypisują, jakby się zdawało, upadek, który po nim nastąpił, nadmiarowi jego doskonałości. Skłonni są mniemać, iż po nim ludzkość upaść musiała, dlatego, że nie mogła się utrzymać długo na tak wyniosłej wyżynie. Jestto pogląd wcale nie głęboki. Jeżeli upadek nastąpił po Wirgiliuszu, sądzę, że stało się to nie pomimo niego, ale przez niego. Jeżeli rozwinął się po nim, to dlatego, że w nim tkwił jego zarodek.

Zarodek upadku w stylu, to kult słowa dla samego słowa. Wirgiliusz był o tyle zręcznym, że umiał ukryć ten zarodek śmierci pod kwiatami, które miał na swoje rozporządzenie; ale tem ukryciem nie zdołał go stłumić. Poczucie natury, czułość i smętny nastrój stanowią prawdziwą ozdobę Wirgiliusza. Nizus i Euryale, Mezencyus i jego koń wymownie o tem świadczą. Ale obok tego jest zawsze ozdoba

falszywa, kult frazesu. Owóż krytyka fałszywa wynosi zawsze wady pisarza, a zapomina o jego zaletach. Wady podaje za wzór naśladownictwa innym pisarzom, a ponieważ w istocie łatwiej je naśladować, aniżeli zalety, nie dziw, że nie te ostatnie, ale tamte znalazły chętnych naśladowców. Nie zapożyczili oni od Wirgiliusza rzewnego i pełnego słodyczy pocztucia wsi, nie umieli tak jak on wsłuchiwać się w odgłosy ryczących trzód, ani zażywać słodkiego wczasu w cieniu drzew, ale zdołali naśladować mechaniczną technikę wierszy wirgiliuszowskich. Ztąd upadek, tj. ubóstwienie frazesu.

Owidyusz skarżył się na swoje osamotnienie w kraju barbarzyńców, gdyż żaden z nich nie rozumiał jego języka. Sądzę, że Owidyusz przechwalał się tylko. Udawał niezrozumianego, ale jestem pewien, że w istocie rzeczy barbarzyńcy rozumieli i lubili go bardzo. Największem właśnie przeciwieństwem barbarzyństwa jest prostota. Najpodobniejsza zaś do niego jest wymuszoność. Wymuszoność musi podobać się barbarzyńcom, którzy są barbarzyńcami właśnie dlatego, że brak im prostoty. Owidyusz poniżył poezję aż do gry słów. W społeczeństwie rozumne i wykształconem, czyli pełnem prostoty byłby istotnie niezrozumiany i wyśmiany, wyproszoneby go za drzwi i zrobiono by słusznie. Wśród barbarzyńców miał publiczność godną siebie, oklasków więc nie brakło mu zapewne.

Widzieliśmy w Homerze człowieka-dziecko, miłującego naiwnie i radośnie wysławiającego rzeczy i słowa; widzieliśmy w Wirgiliuszu człowieka wyszłego z dzieciństwa, a dalekiego jeszcze od dojrzałości, który miłuje w sposób wymuszony, a wysławia napuszycie rzeczy i osoby, widząc w tem środek wiodący do fortuny i sławy.

Cóż będzie czynił człowiek dojrzały?

Dziecko odnosiło rzeczy i słowa do nich samych, młodzian wyzyskiwał rzeczy i słowa, odnosząc je do siebie samego.

Człowiek dojrzały odnosić będzie rzeczy i słowa do myśli, której powinny służyć, do myśli, którą mają wyrazić.

Wobec okrętu Homer podziwiał urządzenie jego zewnętrzne, Wirgiliusz myślał o Eneasz i politycznych następstwach jego żeglugi, ten trzeci myślałby o jedynej, wielkiej podróży i o wielkim jego celu.

Pierwszy styl ma charakter zasadniczy, zachwyt nad samym sobą; drugi poszukiwanie siebie samego; trzeci zapomnienie o sobie. Udziałem tego ostatniego jest jaśnieć i oświecać.

Wielki styl, jedyny, jaki winien być dozwolony w przyszłości, zapomina o sobie, a wskutek tego odnajduje się i posiada się. Piękność najwyższa nie oddaje się temu, który z niej robi sobie zabawkę; oddaje się temu, który jej używa za oręż. Nie oddaje się temu, który chce się w nią stroić, oddaje

się temu, który chce jej użyć poważnie.

Mówią, że jest ona kapryśna. Sądzę, że określi-
łem wyżej prawo jej kaprysów.

Słyszę zarzut, który mi czynią.

— A więc — mówią mi — nie uznajesz w literaturze jak tylko wielkich pisarzy? tylko oni dla ciebie istnieją? liczysz się z tem tylko, co jest wzniosłe?

Przepraszam. To tak proste prawo prostoty, ten obowiązek mówienia dlatego, aby coś powiedzieć, a nie dlatego, aby tylko mówić, wydaje mi się prawdziwem na wszystkich szczeblach drabiny umysłowej.

Platon znał je dobrze w pewnych chwilach. Skoro staje się sofistą, co zdarza mu się często, zapomina o niem całkowicie. Sofiści są retorami filozofii.

IV.

Tacyt mówi dla wyrażenia swej myśli. Słowo jego proste jest, silne i zwięzłe. Wszystko, co jest silne jest zwięzłe. Tacyt nadał mowie łacińskiej moc, której bez niego nigdy by nie osiągnęła.

Dość pomyśleć o Cycleronie, który jest Owidyuszem prozy i typem retora, aby ocenić Tacyta i zmierzyć okiem dzielącą ich odległość. U Cyclerona jest wszystko abstrakcją. Rzym to republika, miasto — państwo. U Tacyta wszystko żyje, zowie on osoby po imieniu. Jest w nim prawie zawsze powściągnięta dzielność wielkich gniewów, a niekiedy pogodna

działność wielkich wymiarów sprawiedliwości. Styl tego człowieka daje w nim poznać ową zdolność milczenia, właściwość szczególną ludzi czujących poza sobą potomność, która ich sprawę pomścić musi. W wielkim stylu milczenie poważny zawsze posiada udział. W stylu Tacyta jest milczenie. Gniew popolity wybuch, gniew małostkowy gadatliwy jest; ale bywają oburzenia, które zamykają się w milczeniu, jakby pozostawiając słowo samym rzeczom i faktom i licząc na sprawiedliwość przyszłości. Tacyt nie tylko jest największym pisarzem literatury łacińskiej; jest on największym pisarzem starożytności klasycznej.

Gdy mowa o stylu, niepodobna nie przytoczyć Bossueta. Właściwością szczególną jego słowa jest zdolność uobecniania faktów, które opowiada. W mowie pogrzebowej na śmierć księżnej Henryetty, zachwycono się wielce słynnym wykrzyknikiem: „O nocy straszliwa itd., w której jako uderzenie gromu rozległa się ta wieść zdumiewająca: Księżna umiera! Księżna umarła!”

Nie sądzę wszakże, aby rozpoznano, w czem właściwie tkwi piękność tych słów; nie zawiera się ona w wykrzykniku, tkwi ona całkowicie w wyrazie zdumienia. Oto uderzenie gromu. Zmieńcie ten wyraz, a nic nie pozostanie. A dlaczego? Oto dlatego, że zdumienie Bossueta uobecnia nam katastrofę. Przenosi nas ona w ową noc straszliwą, w ową

noc uderzenia gromu. Bossuet, przemawiający przy zwłokach wielkich umarłych, zdumiewa się z umyślną naiwnością nad trumną, która przed nim stoi. Rzekłbyś, że nie może on przywyknąć do myśli, którą wyraża. Wstępuje na mównicę, aby mówić o śmierci i nagle staje skamieniały, jakby ją widział po raz pierwszy.

Nie mogę też nie przytoczyć de Maistre'a. Są imiona, które same się narzucają. Nie mogąc tu powiedzieć wszystkiego, chcę tylko zaznaczyć między temi dwiema chwałami Francyi, Bossuetem i de Maistre'em pewien uderzający kontrast, który dotąd nikogo nie uderzył.

Bossuet roztacza swą myśl powoli, poważnie, królewsko, jako płaszcz z purpury — de Maistre przeciwnie, skupia się.

Bossuet wyraża na raz tylko jedną myśl i wie, gdzie ją na wyżyny odosobnioną, wystawioną na spojrzenia ziemi. Bierze on w rękę nędzę rzeczy ludzkich, aby z niej czynić widowisko dla ludzi. Daje on nam wysączyć napój z kielicha aż do znajdującej się na dnie goryczy. Powtarza on ciągle, a nie powtarza się nigdy. Zawsze mówi to samo, a nigdy nie mówi za wiele. Uświęca on ogólniki i skoro powie po raz stotysięczny, że człowiek jest śmiertelny, jego głos potężny zdaje się nam oznajmiać nową prawdę.

De Maistre postępuje wprost przeciwnie, nie przez system, ale ze swej natury.

Skupia on pewną ilość myśli, które nie zawsze zdają się łączyć ze sobą i ściska je jedną przy drugiej w tem samem zdaniu. Zdumione niespodzianem zetknięciem spoglądają one na siebie okiem zdziwionem, co nadaje im w naszych oczach pozór nowości.

De Maistre zdaje się zawsze mówić paradoksy. Bossuet zdaje się zawsze mówić ogólniki.

De Maistre szuka bez afektacyi wielkich efektów stylu, albo, jeśli chcecie, nie szukając znajduje je.

Bossuet pogardza bezwzględnie wszystkim, co się wydaje umyślnem, i gdy blask słowa się zjawia, zdaje się czynić łaskę, że mu wstępu udziela.

De Maistre ma rzuty myśli prawowite zazwyczaj. Bossuet nie ma żadnych rzutów. Peryod jest naturalną formą jego stylu, który jest zbyt dumny, aby mógł uleść pokawałkowaniu i zbyt szeroki, aby mógł się zaostriąć w aforyzmy.

Zwracam uwagę, że porównywan tutaj tych dwóch ludzi, tylko pod względem ich stylu. Nie mówię o ich poglądach.

De Maistre ma wzrok bardziej przenikliwy, odmładza on myśl, którą wyraża.

Bossuet nie stara się ją odmładzać, daje ją jaką jest, silną swą starożytnością, zdobną wiekami, które przebyła, zanim dostała się aż do niego, aby raz jeszcze być wypowiedzianą.

V.

Prawo prostoty, jak wyżej rzekłem, obowiązuje na wszystkich stopniach drabiny umysłowej. Weźmy przykład.

Wźmy oto człowieka, któremu obcy jest zupełnie świat idei, który nie zna, co to piękno, który nigdy nie wzniosł głowy ku górze, który nie jest wcale poetą w wyższem znaczeniu tego słowa, który tylko opowiedział rzeczy drobne, opowiedziane już wielokrotnie przed nim, tak, że nawet zasługa wynalazku nie może mu być przyznana, człowieka, który znalazł jednak czytelników i zdobył sobie niewygasłą pamięć.

Człowiek ten istnieje, zowie się La Fontaine.

Człowiek ten, który nie przypuszczał nawet czegoś wielkiego i nie wynalazł nawet powtarzanych przez siebie drobnostek, odznacza się tą szczególną i ciekawą właściwością, że posiada jedną tylko zaletę, jedną jedyną, i że zaświadcza osobiście potęgę owej zalety, przez którą żyje, choć z tylu względów powinienby oddawna należeć do nieżyjących.

Tę potęgą, która unieśmiertelnia La Fontaine'a,
jest styl.

Całkowita jego chwała zawiera się w tym jednym wyrazie i kto chce go wysławiać, nic tu dodać nie może.

Umiał opowiadać i umiał pisać. O, mowo francuska, jakąż posiadasz potęgę, skoro zdołałaś nieśmiertelnić takiego La Fontaine'a.

Nie sądzę, żeby La Fontaine w swej wędrówce ziemskiej raz chociaż spojrzął ku niebu; nie sądzę, żeby chwilę choćby sprawy wieczne stały się dlań powodem cierpienia lub radości. Nie sądzę, żeby było możliwe przy najtroskliwszem badaniu tego serca dopatrzyć i odgadnąć, gdzie się w niem znajdowało miejsce dla Boga. Nie sądzę, żeby było możliwe, słuchając go, pochwycić krzyk jakiś, ani też, by zdolny był odczuć, przed swem nawróceniem, jakiś poryw wyższy ku czemukolwiek.

„Waga moja, to miłość moja“, powiedział pewien człowiek, którego imię zaledwie wymówić się ośmielałam przy tak błahej sposobności; jest to zbyt wiele zaszczytu dla Fontaine'a, żeby wymienić z jego powodu św. Augustyna. Z tem wszystkiem prawda prawdziwą jest przy każdej sposobności — *maxima in minimis*. W czem jest waga La Fontaine'a? czy miłuje on piękno prawdziwe lub fałszywe, lub choćby tylko pozór piękna? Wcale nie.

Niektórzy mają pociąg ku wielkości, ale nie wiedzą, gdzie ona się znajduje; w ten sposób ukazują się ich wyższość wrodzona, choć błędząca. La Fontaine nie należy do ich liczby.

Nie pożąda on ani wielkości prawdziwej, ani wielkości fałszywej, nic nie wie o istnieniu wzniosłości. Zachowuje on (nie podziw swój, gdyż ludzie tego rodzaju nic nie zwykli podziwiać), lecz pochwały swoje dla zręcznej przebiegłości. Ma upodobanie do chytrkości. Rzecz okropna! Jego ideał to lis.

Nie mówię o myślicielu, ani o poecie. Zawiera się on całkowicie w tych słowach: jego ideał, to lis. Mówmy o pisarzu.

Czy jest on pisarzem? Tak. Obowiązkiem krytyki liczyć się ze wszystkim. Musi on pogodzić entuzjazm dla rzeczy wielkich z uwagą na rzeczy małe. Chwałą jej miłować i wspierać tych, co ku górze wzlatują, ale ta miłość chwalebna nie przeszkadza jej liczyć kroki tych, co chodzą po ziemi. Miłość nie przeszkadza nigdy schylać się ku ziemi.

Człowiek nie zdolny czuć zachwyty nie może zachwyty budzić. Nie będziemy się więc zachwycali La Fontaine'em. Krytyka powinna zachować wyrazy uroczyste ludzi i rzeczy, którym one przynależą. Są krytycy, którzy ośmielili się mówić o geniuszu La Fontaine'a.

Ta profanacja wielkich słów jest szkodliwsza, niżli można sądzić. Pozbawia ona szacunku ludzkiego rzeczy prawdziwie wielkie. Poniża prawdziwy majestat, nadając jego miano tym, co nie noszą korony. Nie, nie należy wynosić La Fontaine'a, ale trzeba go chwalić i oceniać w tej mierze, jak na to zasługuje.

Bez stylu, do kogo byłby podobny? Podobny byłby do Floriana. Poznajmyż więc charakter stylu, który zdolny był przeprowadzić tu tak wyraźną linię graniczną.

Główny rys tego charakteru to szczerłość. Florian nie wierzy w osoby, które wprowadza na scenę. La

Fontaine wierzy w swoje osoby. Florian usiłuje dać im mowę. La Fontaine wciela się w nie i mówi przez ich usta.

Czyni się królikiem, w dobrej wierze królikiem! Oto jego tajemnica. Jak na człowieka to za mało, ale zawsze znaczy to coś. A ponieważ ma dobrą wiarę, nie przesadza nigdy.

La Fontaine wznosił się pewnego dnia ponad siebie i zbliżył się do piękna. Było to wtedy, gdy napisał bajkę: *Dąb i trzcina*. Tutaj, i pono tylko tutaj, wznosił się do pojęcia jednej z wielkich prawd porządku powszechnego: spostrzegł słabość silnych. Nie spojrzał na nią z wysoka, spostrzegł ją jednak.

Musimy przyznać mu w tym razie chwałę odczucia, że wszelka istota w chwili, gdy mówi o sobie: — jestem silna, musi być dotknięta śmiercią. A jak przemawia tutaj dąb! jak w jego mowie przebija głupota pychy! z jaką napuszystością głupią, a rozwlekłą, samochwalczej niemocy, ofiaruje on swą opiekę! Jak się tu żywo czuje, że nikomu on nie pomoże, że sam będzie potrzebował pomocy, i że nie pragnie pomódz nikomu, bo nie ma dobroci, ani otrzymać pomocy, bo się czuje silnym! Jak daje się przewidzieć jego upadek! Jak on już jest zawarty w pierwszych wyrazach, któremi przemawia:

„Aż nadto słusznie oskarżasz naturę!”

La Fontaine mówi nam o sile dębu, a uprzytomnia nam jego słabość; kładzie mu w usta słowa władcy, a tak dobrze odczuwamy ciężący na nim

wyrok, że katastrofa już dokonana jest dla czytelnika, zanim autor zdaje się ją spostrzegać. Trzcina jest o tyle ścisła i zwięzła w swej odpowiedzi, o ile dąb jest rozwlekły i napuszysty:

Zginam się i nie łamię.

Lecz czekajmy końca.

Oto mowa godna tego, za kim jest słusność.

Wogóle La Fontaine jest suchy, to też objawy uczucia nabierają u niego szczególnej wartości, odznaczają się one zresztą delikatnością nieporównaną.

Kiedy dwa gołębie łączą się napowrót, La Fontaine każe nam wyobrażać sobie:

„Jak wielka radość nagradza ich cierpienia“.

Ich cierpienia! A jednak jeden z nich podróżował tylko! La Fontaine mniema z dobrą wiarą, że dzieliły one te same niebezpieczeństwa. Nie umie on już rozróżnić tego, który kocha, od tego, który jest kochany.

Te słowa ujmujące tem szczególnie zachwycają, iż dają nam odczuć swe niedostrzegalne prawie działanie. La Fontaine sam zdaje się ich nie dostrzegać i zniewala czytelnika, aby czynił tak jak on. Jego niedbałość literacka nadaje mu urok w naszych oczach. Nie ma on żadnych zamiarów, niczego nie szuka, nic nawet nie znajduje, tylko napotyka przypadkiem. I wdzięczni mu jesteśmy tem więcej za jego prostotę, gdy wspomnimy datę jego urodzenia. Widzimy go wśród wieku XVII. Najmniejszy objaw naiwności staje się wtedy zadziwiającą zasługą. Prze-

nieśmy La Fontaine'a w inne stulecie, a nie będziemy już wobec niego zajmowali tego samego stanowiska, chociaż on wobec nas swego stanowiska nie zmieni.

Zasluga jego w naszych oczach polega głównie na tem, że oparł się on wpływom atmosfery, którą oddychał i pozostał La Fontaine'em, chociaż Boileau żył współcześnie.

Dodam jeszcze na chwałę La Fontaine'a, że miał on poczucie sprawiedliwości. Nie mówię o sprawiedliwości wyższej, gdyż ta styka się z tajemnicą i aby ją odgadnąć, trzeba spojrzenie wznieść tam, dokąd nie sięgał nigdy wzrok naszego bajkopisarza. Mówię o sprawiedliwości dość pospolitej, nieco filisterskiej, ale rzeczywistej i godnej szacunku, którą zazwyczaj dostrzega pospolity rozum ludzki, — jednym słowem o sprawiedliwości widzialnej. Taka sprawiedliwość podyktowała bajkę o wilku i jagnięciu.

Na nieszczęście nie jest niepodobieństwem schwycić La Fontaine'a na gorącym uczynku sprzeczności z sobą i napotkać go czasami wśród stronników wilka i zabójców jagnięcia. W gruncie rzeczy bogiem jego jest, nie powiem, siła (idea ta jest dlań zbyt wysoka), lecz umiejętność radzenia sobie w życiu.

Jest to tak dalece prawdziwe, że wracając do bajki o dębie i o trzcinie, mimowoli dodać muszę następującą uwagę. Jeśli La Fontaine potępia dąb,

to nie dlatego, iż jest on pyszny i zły, lecz dlatego, że ma zginąć. Zamiast mówić: Jest winien, gdyż się pyszni, a więc musi zginąć, La Fontaine mówi: musi zginąć, a zatem jest winien.

Tak więc w całej pełni możemy w nim chwalić tylko styl jego. Wy, którzy miłujecie prawdę, i którzy rozmyślacie nad nią, zbrójcie się w styl, przyswajajcie sobie tę potęgę, a skoro na wzór La Fontaine'a, owdadniecie słowem, umiejcie go użyć tak, jak La Fontaine go nie użył.

* * *

Bajka, jeśli się nie mylę, mogłaby mieć wielkie przeznaczenie. Jest chwała, po którą mogłaby sięgnąć, jest mowa, którąby dla niej była stosowna. Trzebaby, żeby spytała rzeczy o ich treść istotną, żeby rozumiała znaczenie wyrazu: symbolizm.

Ujrzałyby się wnet przyodzianą w godność, której jej nie dostaje. Z dziedziny zabawy wkroczyłaby w dziedzinę Sztuki.

La Fontaine'owi brak najzupełniej zmysłu dla symbolizmu. Wprowadza on w grę zwierzęta i rośliny, ale odczucia przyrody nigdzie w nim nie widzę. Wieś nieobecna jest w jego utworach, równie jak myśl, równie jak piękno.

Najwybitniejszą cechą bajkopisarza powinno być uszanowanie typów. Cechy tej w La Fontaine'ie nie znajdujemy ani śladu. Jakież to są lwy i orły, lwy i orły jego bajek! Jak się rzuca w oczy jego miłość, gdy aktorowie jego dramatów wielkie noszą

imiona! Mówiłem już, czuje się on swobodnym w towarzystwie lisów jedynie. Nie sądzę, by kiedykolwiek wywołał w czytelniku to poczucie wielkości ludzkiej, która jest chwałą i radością Sztuki.

Nie mogę pominąć tu jeszcze uwagi uderzającej i jasnej aż do banalności. La Fontaine wyprowadza na scenę figury, które wszystkie ubiegają się o lepsze w przebiegłości — i są tacy, co mówiąc o nim, śmiały wymawiać imię Sztuki! I człowiek nie spostrzegł dotąd, że chytrność jest przeciwieństwem Sztuki?! Zaiste, jeżeli tego nie widzi, to jest jeszcze bardzo dawnym człowiekiem!

* * *

Taine ogłosił w *Journal des Débats* kilka artykułów o La Fontaine'ie. Chce on nas natchnąć najżywszym zachwytem dla bajkopisarza; dochodzi zaś do wzbudzenia dlań najżywszej pogardy. Ale La Fontaine mu przebaczy, bo jeśli Taine mu ujmę przyniósł, to zupełnie bezwiednie.

„Nasz bazar,” pisze on, „znosi to bez wstrętu, że barany bywają pożarte przez wilki i że głupiec bywa wyprowadzony w pole przez oszusta... To też jego nauki nie mają w sobie nic bohaterskiego; ...najszlachetniejsze z nich zalecają posłuszeństwo, poddanie się złu dla siebie i innych, ponieważ zło leży w przeznaczeniu ludzkim. Doradza on dość cynicznie pochlebstwo, i to pochlebstwo niskie. Jeleń stawia w rzędzie bogów królowę, która mu przedtem zadusiła żonę i syna, i głosi jej chwałę naksztalt

nadwornego poety. La Fontaine uznaje wiarołomstwo, a gdy fortel jest korzystny a zręczny, zapomina on, że był zasadzką. Przedstawia on między innymi mędrca, który, ścigany przez waryata, ujmuje go sobie pochlebstwem i wśród słodkich słówek każe go związać i zabić. Znajduje pomysł ten dobrym i radzi nam iść za jego przykładem".

Tenże sam Taine, w tej samej rozprawie, powiada o tym samym człowieku:

„Był on poetą. Zdaje mi się, że ze wszystkich Francuzów był nim najprawdziwiej“.

Tak to się dokonywa u Taine'a kojarzenie się pojęć. On sam nie waha się nam odsłonić, co rozumie pod wyrazem: poeta. Mówi on dalej:

„Bardziej niż ktokolwiek inny posiadał on obie główne cechy poety, zdolność zapomnienia świata rzeczywistego, oraz życia w świecie idealnym; dar niewidzenia rzeczy pozytywnych i pogoni wewnętrznej za snami swymi pięknymi“.

A więc La Fontaine przebywał w świecie idealnym, kiedy doradzał pochlebstwo niskie? Miał on widocznie o świecie idealnym pojęcie dość osobliwe. A w swych pięknych snach wiecie, o czym marzył? O zręcznych fortelach. Co za poeta!

Taine mówi też, że był „entuzjastą“, a potem:

„Nawet w swych ulicznikowskich conceptach wystrzegał się on wyrażen trywialnych; zachowywał zawsze styl dobrego towarzystwa“.

Widzicie, jaki to był entuzjizm!

Jemu to zapewne zawdzięczał La Fontaine, iż nie widział rzeczy pozytywnych. Wprawdzie ten sam krytyk, mówiąc o tym samym pisarzu, w chwilę potem wynosić zaczyna jego dar spostrzegawczy i długo się rozwodzi nad tą nową pochwałą. Zapomina, że La Fontaine nie widział rzeczy pozytywnych i okazuje go nam jako „niby ciekawego i badawczego cudzoziemca, stojącego przed światem żywym, który się wokoło niego rozgościł“.

Co chcecie? Entuzjizm Taine'a nie daje mu spostrzedz sprzeczności twierdzeń, wychodzących z pod jego pióra. Nie spostrzega jej, bo ona jest pozytywną, a on jest entuzjastą.

Taine uważa La Fontaine'a za znawcę człowieka, uważa go za przedstawiciela Francji; chcącym poznać ducha Francji posłałby jego dzieła.

Sądzę, że w imię ludzkości i w imię Francji wolno jest każdemu człowiekowi i każdemu Francuzowi odpowiedzieć: Nie, człowiek odmalowany przez La Fontaine'a jest taki, jakim go chce mieć Taine, ale to nie jest człowiek prawdziwy. To nie jest człowiek stworzony na obraz Boży, odkupiony przez Syna Bożego. Nie jest to nawet człowiek upadły; La Fontaine nie widział głębokości otchłani, jeno skorupę zewnętrzną, niedoskonale narysowaną sylwetkę człowieka upadłego.

Owa Francja, którą ma przedstawiać La Fontaine, odpowiada widocznie pojęciu Taine'a, ale nie

Wszystkie stworzenia postawione są w pewnym określonym stosunku do życia, do siebie samych i do innych stworzeń. Styl jest wyrazem działania wewnętrznego, które one wywierają, oraz które jest wywierane w nich i na nich.

Wszystkie rośliny otrzymują światło; każda otrzymuje je w sposób sobie właściwy. Wszystkie pożądają ciepła słonecznego, ale rozmaicie działa ona na nie. Każda przyswaja je sobie w sposób szczególny, odpowiedni do swoich potrzeb, swoich usposobień i swoich uzdolnień wewnętrznych.

Stylem róży jest jej zapach.

Styl, jako objaw życia, otwiera przed nami rozległy widnokrąg. Powinniśmy badać go nie tylko na stronnicach pisanych, winniśmy śledzić za nim wszędzie, gdzie się objawia, a niekiedy odgadnąć go tam, gdzie niema wyraźnych jego objawów. Styl występuje przede wszystkim w słowach, ale widoczny jest także w ruchach, widoczny jest też w spojrzeniu, widoczny jest we wszystkich objawach, nie wyłączając milczenia. Milczenie może mieć styl wielki. Milczenie może być słowem; może być nawet szczytem słowa, jego punktem kulminacyjnym. Wogóle mowa, skoro jest w najwyższym stopniu wzniosła i uroczysta, zatrzymuje się na pewnej wysokości, brak jej wyrazów. Milczenie wtedy ją zastępuje i wyraża rzeczy niewysłowione. Pełne wzruszenia milczenie jest najwyższym rozkwitem słowa, jest to styl w najwznioślejszej swej postaci.

Co rozumie mowa ludzka przez wyraz: wielki człowiek? czy jest to człowiek, który dokonał tego lub owego czynu? nie! gdyż wątpię, by określono mi dokładnie czyn, którego należy dopełnić, aby zostać wielkim człowiekiem.

Wielkość nie polega na tym lub owym czynie, tkwi ona w sposobie dokonania czynu. Ten sam czyn dokonany przez tysiąc ludzi, da nam poznać tysiąc różnych charakterów. Wielkość nie jest w fakcie, lecz w sprawcy faktu.

Chcecie dobitnego przykładu? Oto człowiek się topi. Rzucacie się do wody, aby go ratować, narażacie życie i ocalacie go. Ale oto waryat i małpa, którzy widzieli was czyn, naśladują was i każde z nich ocala też człowieka; naśladowali oni fakt przez wasz dopełniony, ale nie mogą naśladować czynu, nie mogą przyswoić sobie waszego stylu. Wszystko można skraść człowiekowi, za wyjątkiem jego stylu. Styl nie może być naruszony, podobnie jak charakter osobisty, którego jest wyrazem.

Wielkość nie może być określona przez żaden fakt zewnętrzny. Tryska on z uświęconego źródła.

Czyżby jej charakter polegał na wytrwałości? coś znowu? Buffon zdawał się to twierdzić. Sam nie wiedział, co mówił. Wielkość miałaby wtedy za symbol muchę brzęczącą długo i uparcie koło ucha.

Czy może wielkość jest to wielka miłość?

I to nie zupełnie.

Więc może wielka inteligencja?

I to nie zupełnie, a przynajmniej nie wyłącznie. Można pojmować najwyższe idee, a nie wyrażać ich w sposób wielki; słowo wtedy zdradza niższość natury.

Wymówilem mimowoli imię słowa; w niem leży tajemnica wielkości, którą miałem na ustach i której ująć nie mogłem.

Słowo jest wybuchem wewnętrznej natury danej istoty.

Lew, aby ukazać swą siłę, nie potrzebuje czynić wielkich wysiłków; daje się ona widzieć w najdrobniejszych jego ruchach. Herkules zawsze prawie przedstawiony jest w spoczynku; rzekłbyś, że jego potężne ramiona nic nie mają do czynienia w danej chwili.

* * *

Niejednen człowiek poskramiał nieujeżdżonego rumaka; ale patrząc na dzielnego jeźdźcę, który poza tem może być najpospolitszym człowiekiem, nikt nie zawołał: „Oto przyszły pan świata!“

Czy rzeczywiście nikt? Mylę się. Zdarzyło się to raz jeden. I to ojciec mówił tak o synu. Jakiż to ojciec powiedział kiedy: Mój syn będzie panem świata? Sfera, w której ja żyłem, za ciasna jest dla niego. Niechże on ją rozsadzi i zdruzgoce, skoro jest na to dość silny!

Czy Filip wyrzekł to dlatego jedynie, że Ale-

ksander poskromił Bucefała, zasłaniając przed nim
cień, który go straszył?

Między Aleksandrem poskramiającym Bucefała i zwyczajnym ujeżdżaczem, wykonywającym swe rzemiosło, w czym leży różnica?

Różnica leży w stylu.

Ujeżdżacz ma prawo do wynagrodzenia pieniężnego. Lecz Aleksander, w dniu, gdy Filip rzekł do niego: Synu, idź, zdobywaj świat, Macedonia ci nie wystarczy! — gdy obrócił konia do światła, by mu zakryć cień jego, gdy słońca użył do poskromienia rumaka, w dniu owym Aleksander dał słyszeć słowo swoje, ukazał się światu, I stało się jasnym dla widzów, dla Filipa samego, że Aleksander wszedł w owej chwili w posiadanie władzy, że zdobył nie konia, lecz siebie samego, siebie i Wschód, Wschód chciwy słońca, Wschód bojący się cienia swego.

Dlatego Bucefał ma miejsce przynależne sobie w historii. Gdybym był malarzem, nie mógłbym przedstawić wielkiego zdobywcy bez Bucefała.

Bucefał jest symbolem tego, przed którym ziemia cała zamilkła.

Zdobycz ta była słowem Aleksandra.

Słowo orla możecie usłyszeć, gdy uwięziony wstrząsa szponami kraty swego więzienia, dzwoni niemi i niejako myślą swą je wyłamuje — lub gdy odwróciwszy głowę rzuca w przestrzeń spojrzenie zepchniętego z tronu władcy.

W dniu burzy możecie usłyszeć słowo Oceanu.

Rozdzierając mieczem mgłę, która jeszcze chciała mu zakryć ojczyznę (bo kraj upragniony jest ojczyzną), rozkazując w imię Słowa przedwiecznego światła, by mu okazało Amerykę, Krzysztof Kolumb dał światu słowo swoje. Stwierdził w jego obliczu władzę swoją i gdy Królowa Hiszpańska mianowała go admirałem wielkich mórz, on był już nim oddawna. Władza jego istotna poprzedziła tytuł.

Czasami świętość zajaśnieje nad geniuszem, jak słońce nad Oceanem. Tak św. Paweł, który się cały oddawał wszystkim, we łzach czy w radości; który doskonałym dawał słowa mądrości, a innym pragnął być piorunem gromiącym; który taką troskliwością ogarniał wszystkie Kościoły; cały oddany walce zewnętrznej obok ciężkich rozterek wewnętrznych, uzupełniając Mękę Chrystusa tem, czego brak było jeszcze — okazał się władcą, bo dźwigał cały ciężar władzy.

* * *

Umysł ludzki sądził dotąd bardzo często, iż chcąc urzeczywistnić w sobie piękno, trzeba występować w przebraniu i to przebranie nazwano Sztuką.

Sztuka była tą grą, której umysł się oddawał, gdy wedle pewnych prawideł przyjętych chciał z całą paradą występować sam przed sobą.

Trzeba, by powstał człowiek genialny, któryby począł mówić, był słuchany i powiedział:

Chcę, by nadal sztuka była szczerą.

Chcę, by sztuka przestała być przebraniem człowieka, a stała się jego wyrazem.

Chcę, by sztuka była wybuchem bezpośrednim, naiwnym i wzniosłym wewnętrznych blasków duszy. Aby sztuka była piękną i aby jej piękność była prawdziwą; chcę, by odtąd przedstawiała rzeczy tak, jak one są.

Bóg sprawi, jeśli się nie mylę, że taki głos będzie usłyszany.

Retoryka dawna mówiła:

Jesteś szpetny, więc przebierz się, bo skoro okazesz się takim, jakim jesteś, przestraszysz wszystkich. Sztuka jest przebraniem, wybierz więc sobie jakiś jej typ konwencyonalny, przypadający ci do gustu; patrz dokoła siebie i szukaj, będziesz miał tylko trudność wyboru. Naśladuj! udawaj! odgrywaj rolę, która podoba się publiczności! Piękno jest fikcją. Prawa życia są szpetne; aby się podobać, Sztuka musi ułożyć sobie pewne reguły własne, niezależne od praw rzeczywistości.

Obecnie trzeba, aby ten, który ma położyć podwalinę Sztuki przyszłości, oczyścił atmosferę zbrukaną temi słowami i powiedział:

Brzydota istotnie ma miejsce swe w życiu ludzkim, bo ludzkość upadła; ale odrodzenie jest możliwe.

Piękno dozwolone jest jeszcze. Oto zbliża się ono do nas. Chwytajmy je, obleczmy się w nie, i wtedy będziemy mogli pokazać się światu.

Przywzdejmy je nie jako przebranie, lecz jako światłość prawdziwszą od nas samych, którą powinniśmy posiadać zawsze, nigdy jej nie tracając. Jesteśmy zbrukani, więc oczyśćmy się! Człowiek dawny wstydził się swej postaci, niechaj człowiek nowy powstanie i zjawi się, niech zajaśnieje przed oczyma ludzkiemi, nie jako bohater teatralny, lecz jako prawda żywa, bardziej żywa, aniżeli dawny człowiek, którego miejsce zajęła. Niechaj się zjawi i niechaj działa, niechaj działa w blasku swej natury odrodzonej, niechaj objawi się typ w nim ukryty, niech wykwitnie zeń ideał, który w sobie nosi! Niechaj czyni prawdę! Piękno wtedy wytryśnie. Piękno nie jest fikcją, lecz jest odbłaskiem prawdy. Niechaj Sztuka, która była przebraniem człowieka kłamliwego, głosi w szczerości swego słowa chwałę człowieka szczerego!

Człowiek nie mogąc się obejść całkiem bez piękna, czyni usiłowania, aby się doń zbliżyć i czyni to dwójakim sposobem: albo próbuje kłamać sam przed sobą w imię piękności, albo mówi sobie prawdę również w imię piękności. Gdy chce sobie kłamać,

wtedy próbuje upiększyć swój upadek i nadać wdzięk swoim grzechom. Gdy chce mówić prawdę, stara się przywdziać wewnątrz i zewnątrz w blaski rzeczywiste, dla których został stworzony. Sztuka nie może wyrzec się zupełnie piękna, musi przybierać jego pozory sposobem sztucznym, albo też posiadać je istotnym wysiłkiem. Musi zeń uczynić paradyę albo zdobyć swoją. Sztuka nie może nie odczuwać szpetoty człowieka dawnego.

Musi ją zatem albo ukrywać, albo gromić.

Musi przebrać człowieka, patrzącego w dół, albo
uznać, przyjąć i głosić światu człowieka patrzącego
w górę.

Sztuka przywiązująca się do człowieka zwyrodniałego zmuszona jest ubarwić swój przedmiot, bo człowiek dawny jest szpetny, a sztuka, jakakolwiek jest, nie może się wyrzec piękna. Sztuka w ten sposób pojęta jest kłamstwem.

Sztuka przywiązująca się do człowieka odrodzonego może przedstawić swobodnie i otwarcie w czystości swego ducha tego, którego pragnie odmalować, bo człowiek odrodzony jest istotą wspaniałą, a sztuka oddając go spotyka wspaniałość, nie wykraczając poza obwód szczerości.

Bardzo często cechą osobistą, sztuką, stylem wielkich artystów bywał wysiłek, polegający na upiększaniu człowieka kłamliwego pięknoscią, która doń nie należy, pięknoscią kradzioną, zwodniczą, a właściwie pięknoscią istotną, która umieszczona tutaj,

jako aureola na czole zła, stawała się kłamstwem i kradzieżą.

Jednocześnie inni artyści, niższego rzędu, artyści-naśladowcy, nie ośmielając się wziąć odważnie piękności dobra, aby nią ozdobić czoło zła, wynaleźli na swój użytek piękność konwencyonalną, która nie należy ani do dziedziny dobra, ani do dziedziny zła, gdyż wogóle nie istnieje, lecz jest tylko po prostu pewną formą zwyczajową. Jest to jakieś przebranie, układ, zwyczaj, jakaś moda, na mocy której należy przybierać pewne postawy, a unikać innych, wymawiać pewne wyrazy, unikać innych, wygłaszać je w takim a nie w innym tonie. W tym to duchu poczęte zostały liczne bardzo tragedye. W takim poniżeniu swojem sztuka zdaje się dążyć nie do piękności, lecz do *decorum*, będącego parodią piękności, i bierze sobie za prawo nie życie, lecz przyzwyczajenie, bierze za cel nie prawdę, lecz to, co przyjęte. Ideał tragedyi klasycznej zbliża się w końcu do ryciny dziennika mód.

Czas już, by sztuka uznała piękno, by poczęła czerpać je tam, gdzie ono istotnie się znajduje i oznajmiła, gdzie je czerpie; aby w ten sposób stała się śmiałą, prostą, prawdziwą i potężną. Oby Bóg nam dał wielkiego artystę, którego styl jaśniałby żywą świetnością szczerości!

Byłoby to badanie wielkiej wagi i znaczenia odczytać Historię z punktu widzenia stylu, to jest za-

pytać każdego wielkiego człowieka o przyczynę i naturę jego wielkości, czyli o właściwy charakter i siłę jego stylu.

Aleksander Wielki odpowiedziałby nam, że styl jego, to geniusz zdobywczy, że stosunek jego do rzeczy polegał na opanowywaniu ich; tak dobitny był styl tego człowieka, że imię jego konia, uświęcone jego ustami, podniesione zostało do godności symbolu. Cezar powiedziałby nam, że styl jego zaznaczony jest w słowach, które wyrzekł podczas burzy do przerażonego sternika: „Czego się lękasz? wiesz Cezara“. Jego słowem było stwierdzenie prawa swojego do oczekiwanego panowania nad światem. Jego słowo, to łyż, które wylewał w trzydziestym roku na wspomnienie Aleksandra zwycięskiego już w tym wieku.

Styl Homera, to pierwsze słowo prośby Priama :
Wspomnij Achillesie Ojca twego, jak ja słabego
starca.

Słowa te zawierają całego Homera, jego bogów,
ojcowsztwo, starość, siłę, słabość.

Styl Bossueta to wykrzyknik: „Księżna umiera, księżna umarła!“ Wielkość światowa, a obok niej śmierć.

Styl Kolumba to znak krzyża, nakreślony w mgle
ostrzem jego miecza.

Sądzę, że w chwili uroczystej, którą przechodzimy, potrzeba nam wielkiego człowieka, a raczej

wielkich ludzi, którzy przemówiliby w imieniu ludzkości, przemówiliby stylem człowieczym, wyciskając na nim różne znamiona swoich charakterów, różne swe podpisy.

Sądzę, że modlitwa jest najpełniejszą formą stylu człowieczego, wyrazem człowieka.

Co to jest wyrazić człowieka? znaczy to wyrazić jego nędzę i jego wielkość.

Owóż modlitwa stwierdza nędzę człowieka; rzuca go na kolana jak żebraka z Ewangelii. Okazuje go biednym i ślepym, potrzebującym i błagającym. Ale stwierdza ona bardziej jeszcze wielkość człowieka; pokazuje nam oddziaływanie tej wielkości na wyroki boże.

Przez nią wprowadza nas Bóg w tajniki swych rządów, a chwila, w której nas tak wprowadza do swej rady, jest chwilą, w której padamy twarzą do ziemi. Modlitwa jest zarazem krzykiem skargi i hymnem chwały. Owóż krzyk skargi i hymn chwały, czyż nie jest to wyraz całego człowieka? czyż nie jest to styl człowieczy? Styl człowieka, to odpowiedź, którą usłyszał Mojżesz:

Jam Jest, którym Jest.

O Ty, który Jesteś, usłysz więc — usłysz i wysłuchaj!

TREŚĆ:

Przedmowa tłómacza.		
	I. ŻYCIE.	Str.
Sfinks		2
Wieża Babel		7
Słaba strona wiedzy współczesnej		19
Duch sprzeciwieństwa		23
Człowiek mierny		31
List		44
Ludzie praktyczni		47
Rozgłos i sława		55
Miasto, gdzie nie mają czasu		61
Podróże		66
Świat		76
Obojętność		89
Szaleństwo		95
Kojarzenie się pojęć		101
Niechaj zmarli grzebią swych zmarłych		111
Honor		118
	II. SZTUKA.	
Sztuka		138
Pogarda dla sztuki		146
Piaski ruchome		155
Konwenans. Fantazya. Ład.		165
Krytyka		181
Styl		197



6839A

74742

WYDAWNICTWO

SYMPOSION

∞ POD REDAKCYĄ LEOPOLDA STAFFA ∞

- I. *Platon. Uczta.* Dyalog o miłości. W przekładzie, ze wstępem i objaśnieniami Władysława Witwickiego. Wydanie drugie. Kor. 3.
- II. *Montaigne. Wybór dzieł.* W przekładzie Stanisława Lacka. Kor. 3.
- III. *Vauvenargues. Uwagi i myśli.* W przekładzie Jana Kasprowicza. Kor. 2.
- IV. *Walter Pater. Wybór pism.* W przekładzie Stanisława Lacka. Kor. 3.
- V. *La Rochefoucauld. Zdania moralne i uwagi.* W przekładzie Leopolda Staffa. Kor. 2.
- VI. *Leopardi. Myśli.* W przekładzie Józefa Ruffera. Kor. 2.
- VII. *Diderot. Kuzynek mistrza Rameau.* W przekładzie Leopolda Staffa. Kor. 3.
- VIII. *Goethe. Wybór myśli prozą.* W przekładzie Stefana Frycza. Kor. 3.
- IX. *Chamfort. Maksymy i myśli.* W przekładzie Konrada Drzewieckiego. Kor. 3.
- X. *Cztery głosy. O Poecie.* Ralph Waldo Emerson. Karol Spitteler. Ryszard Dehmel. Hugo von Hofmannsthal. W przekładzie Jana Kasprowicza. Kor. 2.

-
-
- XI. *La Bruyère. Charaktery.* W przekładzie Antoniego Potockiego. Kor. 3.
- XII. *Fichte. Powołanie człowieka.* W przekładzie Adama Zieleńczyka. Kor. 3.
- XIII. *Fontenelle. Rozmowy zmarłych.* W przekładzie Juliusza Germana. Kor. 3.
- XIV. *Walter Savage Landor. DIALOGI fikcyjne.* W przekładzie Maryi Rakowskiej. Kor. 3.
- XV. *Voltaire. Refleksye.* W przekładzie Grzegorza Glassa. Kor. 3.—.
- XVI. *Hebbel. Dzienniki.* W przekładzie Karola Irzykowskiego. Kor. 3.—.
- XVII. *Hello. Studya i szkice.* W przekładzie Walego Gostomskiego. Kor. 3.—.
- XVIII. *Emerson. Wybór dzieł.* W przekładzie Maryana Olszewskiego.
- XIX. *Kardynał Newman. Wybór myśli.* W przekładzie Stanisława Brzozowskiego.
- XX. *Marek Aureliusz. Pamiętnik.* W przekładzie Maryana Reitera.
- XXI. *Rousseau. Wybór pism.* W przekładzie Zygmunta Matkowskiego.
- XXII. *Sören Kierkegaard. Wybór pism.* W przekładzie M. Bienenstocka.
- XXIII. *Tomasz Carlyle. Wybór pism.* W przekładzie Savitri.
- XXIV. *Zygmunt Krasiński. O poezji i sztuce.* Zebrał i wstępem o poglądach estetycznych Krasińskiego poprzedził Adam Siedlecki.
- XXV. *Ernest Renan. DIALOGI filozoficzne.* W przekładzie E. L. Wagnera.
-
-

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
..... WE LWOWIE.

STANISŁAW BRZOWSKI

■ ■ KULTURA I ŻYCIE ■ ■

Treść: I. ZAGADNIENIA SZTUKI I TWÓRCZOŚCI: Medyceusze. W odpowiedzi na protest. Miriam. Czechow. Staff. Norwid. Nad grobem Ibsena. Koniec legendy. — II. W WALCE O ŚWIATOPOGLĄD: Katarakty. Kant. Etyka Spencera. Monistyczne pojmowanie dziejów. Zagadnienia i drogi nowoczesnej filozofii. Zagadnienie wartości i psychologia. — Cena K. 4.

.....

LEGENDA MŁODEJ POLSKI

STUDYA O STRUKTURZE DUSZY KULTURALNEJ. Wydanie drugie z portretem autora, zdołił Jan Bukowski.

Treść: I. Nasze „ja“ i historia. II. Kryzys romantyzmu. III. Polska dziecięciniała. IV. Mity i legendy. V. Duszy nie potrzeba. VI. Wyprowadź starych zabawek. VII. Polskie Oberammergau. VIII. Rozbrojenie duszy. IX. Nieboska dni naszych. X. Naturalizm, dekadentyzm, symbolizm. XI. Humor i prawo. XII. Dusza samotna. XIII. Czciociele tajemnic. XIV. Sam na sam z kłeską. XV. Stanisław Wyspiański. Cena K. 7, w oprawie K. 8'20.

.....

IDEE

... WSTĘP DO FILOZOFII DOJRZAŁOŚCI DZIEJOWEJ. ...

Treść: Materyalizm dziejowy jako filozofia kultury. — Filozofia czynu. — Filozofia czystego doświadczenia (Ryszard Avenarius). — Powstawanie prawa. — Epigenetyczna teoria historii. — Przyroda i poznanie. — Pragmatyzm i materyalizm dziejowy. — Prolegomena filozofii pracy. — Bergson i Sorel. Anti-Engels. — Etapy sentymentalizmu. — Złudzenia racjonalizmu. — Alfred Loisy i zagadnienia modernizmu katolickiego. — Stron 503.

... Cena koron 7—, w ozdobnej oprawie koron 8'20. ...

1609.76
096604 36

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
..... WE LWOWIE.

LEOPOLDA STAFFA

POEZYE:

Sny o potędze. Wydanie III.	kor. 3'—
Mistrz Twardowski. Poemat z ilustracjami E. Okunia	„ 6'—
Dzień duszy. Wydanie III.	„ 3'—
Ptacom niebieskim. Wydanie II.	„ 4'—
Gałąź kwitnąca. Wydanie II.	„ 4'—
Uśmiechy godzin	„ 3'—
W cieniu miecza	„ 3'—
Wybór poezyi. Z portretem autora w oprawie „	4'— 5'50

DRAMATY:

Skarb. Wydanie II.	kor. 4'—
Godiwa	„ 3'—
Igrzysko	„ 3'—
To samo	„ 3'—

Każdy tom w oprawie droższy o jedną koronę, w oprawie
ozdobniejszej o dwie korony.

JAN KASPROWICZ.

SALVE REGINA.

Cena koron 2'—, w ozdobnej oprawie koron 3'—.

MIŁOŚĆ.

Wydanie III. Cena koron 3'—. W ozdobnej oprawie kor. 5'—.
